

polska zbrojna

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 9 (857) WRZESIEŃ 2017

INDEKS 417 459 ISSN 0867-4523

ŚWIADEK HISTORII

NIE WYBIERALI MNIE NA ŚMIERĆ

KAZIMIERZ PIECHOWSKI
O FENOMENIE UCIECZKI
Z AUSCHWITZ

PRZEPUSTKA DO ELITY

KURS JATA, CZYLI
PIERWSI CYWILNI
KANDYDACI DO WOJSK
SPECJALNYCH

DEBATA

Z LABORATORIUM NA POLIGON

**JAK SPRAWIĆ, ABY INNOWACYJNE
TECHNOLOGIE OBRONNE SZYBKO TRAFIŁY
DO SIŁ ZBROJNYCH?**





WOJSKOWE ZAKŁADY KARTOGRAFICZNE

Sp. z o.o.
w Warszawie

**DRUKARNIA
POLIGRAFIA**

**ARCHIWIZACJA
CYFRYZACJA**

INTROLIGATORNIA

KARTOGRAFIA

***Usługi potwierdzone
Certyfikatem Bezpieczeństwa Przemysłowego***

www.wzkart.pl

tel. 22 32 33 34 3

Fort Wola 22, 01-258 Warszawa

Z SZEREGU WYSTĄP



IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

” STOPNIOWA PODWYŻKA BUDŻETU OBRONNEGO, TAK ABY OSIĄGNĄĆ W 2030 ROKU POZIOM 2,5% PKB, JEST JEDNYM Z NAJWIĘKSZYCH SUKCESÓW RESORTU OBRONY NARODOWEJ.

Miliardy złotych, które zasilą zbrojeniową kiesę, zapewnią finansowanie realizowanych dziś programów. Ostatni rok był bardzo intensywny, obfitował w liczne decyzje wpływające znacząco na stan polskiego uzbrojenia. Wykorzystywane już w linii moździerze samobieżne Rak i haubice samobieżne Krab, samoloty dla VIP-ów, wprowadzany sprzęt dla wojsk obrony terytorialnej – to dopiero początek i zapowiedź dalszych zakupów. Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego w Kielcach jest miejscem, w którym można obejrzeć militarne nowinki techniczne, a także wymienić opinie z ekspertami i specjalistami w dziedzinie obronności. Debata, która odbyła się w redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna”, prowadzi do konkluzji, że mądre i szerokie spojrzenie na kwestie innowacji i technologii w przemyśle zbrojeniowym oraz właściwe podejście do zespołów projektowych mogą się przyczynić do przełamania impasu w procesie komercjalizacji wyników badań w dziedzinie obronności. Jest to możliwe, tym bardziej że polska zbrojeniówka ma wybitne zaplecze naukowe – to pasjonaci, którzy z przemysłem zbrojeniowym wiążą się nieprzypadkowo. Jak podkreślali prelegenci w trakcie naszej debaty, problemem jest jednak luka pokoleniowa, dlatego firmy zbrojeniowe otwierają się na absolwentów szkół wyższych. Gorąco zachęcam do lektury artykułów poświęconych możliwościom rodzimego przemysłu zbrojeniowego i kierunkom, w których zmierzają zbrojeniowe potęgi.

Publikujemy również wywiad z wyjątkowym człowiekiem – Kazimierzem Piechowskim, który opowiada o pierwszych dniach wojny, brawurowej, wręcz fenomenalnej ucieczce z Auschwitz-Birkenau i o zmaganiach z niepamięcią o zbrodniach niemieckich. To prawdziwa, żywa lekcja historii, odwagi, bohaterstwa i patriotyzmu. Podobnie zresztą jak rozmowa z mjr. Bolesławem Kowalskim „Wichrem”, uczestnikiem kampanii wrześniowej i bitwy pod Kockiem.

Chciałbym powiedzieć młodym, by cieszyli się z tego, że mamy dziś wolną ojczyznę. Niech pamiętają jednak, że nie przyszło to łatwo. Ceną były miliony ofiar i morze polskiej krwi”, podkreśla stuletni kombatan. Bądźmy dumni z naszych bohaterów, niech będą dla nas inspiracją.





Zdjęcie na okładce:
Arkadiusz Dwulątek/
Combat Camera
DORSZ

NR 9 (857)
WRZESIEŃ 2017

TEMAT NUMERU

12 / **Z laboratorium na poligon**

O możliwościach polskiej zbrojeniówki rozmawiają przedstawiciele Instytutu Technicznego Wojsk Lotniczych, Polskiej Grupy Zbrojeniowej i Wojskowego Instytutu Technicznego Uzbrojenia.

PAWEŁ BEHRENDT
26 / Na podbój rynków
Koreański sprzęt wojskowy.

TADEUSZ WRÓBEL
30 / Strategiczni gracze
Ranking światowych gigantów przemysłu zbrojeniowego.

PIOTR RASZEWSKI
40 / Nowe życie w Nowym Mieście

Pomysł na modernizację lotniska.

KRZYSZTOF KUSKA
43 / Baza dla największych
Płk Dariusz Płóciennik o rozwoju 33 Bazy Lotnictwa Transportowego.

EWA KORSAK
45 / Obrońca Morza Czarnego
Relacja z ćwiczeń „Saber Guardian”.

MICHAŁ ZIELIŃSKI
48 / Instynkt desantowca
Recepta 6 Brygady Powietrznodesantowej na najbardziej efektywne szkolenie.

EWA KORSAK,
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
52 / Jestem częścią legendy
Plut. Adam Lewkowski, żołnierz 6 Brygady Powietrznodesantowej, opowiada o służbie, misjach pokojowych i o tym, dlaczego nazywają go „polish marines”.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
56 / Szkolenie w trzech wymiarach

Dlaczego poligon w Ustce jest taki wyjątkowy?

PIOTR ZARZYCKI
60 / Wehikuł czasu i przestrzeni

Pomysły Wojskowej Akademii Technicznej na wykorzystanie VBS3 w szkoleniu.



ARSENAŁ

RAFAŁ CIASTOŃ
70 / Czas na decyzję

„Orka” – program ważny nie tylko dla marynarki wojennej.

RAFAŁ CIASTOŃ
78 / Jak krążownik
Chińskie marzenia o wielkiej flocie oceanicznej.

KRZYSZTOF WILEWSKI
80 / Bombowy przypadek
Jakiej broni użyć, żeby pokonać systemy elektroniczne przeciwnika?

Znajdziesz nas tutaj:



ARMIA

EWA KORSAK,
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
34 / Przepustka do elity

Lubliniecki kurs Jata to dla cywilów szansa na spełnienie marzeń o służbie w wojskach specjalnych.



STRATEGIE

TOMASZ OTŁOWSKI

84 / Z deszczu pod rynnę

Jak ostateczne pokonanie IS w Iraku zmieni sytuację w tym kraju?

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

90 / Konflikt bratanków

Rozmowa z Januszem Daneckim o wielkim chaosie na Bliskim Wschodzie.

ROBERT SENDEK

94 / Krew i miód

Państwo Islamskie na Bałkanach.

TADEUSZ WRÓBEL

97 / Echo brexitu?

Brytyjski miniprzegląd strategiczny.

HISTORIA

ANNA DĄBROWSKA

100 / Nasz duch jest silniejszy

Wojna obronna w polskiej prasie w 1939 roku.

PIOTR KORCZYŃSKI

108 / Nie wybierali mnie na śmierć

Rozmowa z Kazimierzem Piechowskim o ucieczce z Auschwitz i zachowaniu pamięci o historii.

JAKUB NAWROCKI

112 / Kresowi straceńcy

Dramatyczna walka obrońców Rejonu Umocnionego „Sarna”.

ROBERT SENDEK

115 / Pod polskimi skrzydłami

Jak Polacy Bułgarów na pilotów uczyli.

JACEK MATUSZAK

118 / Cieszę się, że mogę żyć w wolnej Polsce

Rozmowa z Bolesławem Kowalskim „Wichrem”, jednym z bohaterów kampanii „Rycerze Biało-Czerwonej”.

PIOTR KORCZYŃSKI

122 / Pocałunek śmierci

O tym, jak książkę Józef Poniatowski został marszałkiem Francji.

TADEUSZ WRÓBEL

126 / Francuskie trzydziestki piątki

W cyklu „Niezwykłe maszyny” – lekkie czołgi Renault i Hotchkiss.

HORYZONTY

MICHAŁ ZIELIŃSKI

130 / Piekielny Posmyk

Kto się katował w tym roku na Biegu Katorznika.

EWA KORSAK

136 / Z czułością do czołgów

Co się dzieje za drzwiami warsztatu konserwatorskiego Muzeum Polskiej Techniki Wojskowej?

PIOTR RASZEWSKI

140 / Ocalają od zapomnienia

Grupa Rekonstrukcji Historycznej „Wir”.

ANNA DĄBROWSKA

144 / Rycerska kadra

Rycerze w XXI wieku istnieją i trenują w nowoczesnym centrum walki.

KADR



**15 SIERPNIA 2017 ROKU W DEFILADZIE Z OKAZJI ŚWIĘTA
WOJSKA POLSKIEGO** Alejami Ujazdowskimi w Warszawie
przejechały pojazdy polskich i sojusznicznych sił zbrojnych.

FOT. JAROSŁAW WIŚNIEWSKI





WZZ CHOJNICE

Nawał pracy po nawałnicach

Żołnierze wspierają ofiary żywiołu z pomorskiego i zachodniopomorskiego.

Wojsko pomaga w najcięższych pracach związanych z udrażnianiem koryta Brdy czy usuwaniem wiatrołomów. Ma do tego sprzęt gasienicowy, ciężkie transportery, amfibie”, podkreśla Michał Dworczyk, sekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej. Żołnierze wykonują prace m.in. przy oczyszczaniu rzek i usuwaniu zatorów z dróg. Poza tym dostarczają mieszkańcom wodę pitną, pomagają usprawnić przewody elektryczne i odgruzowywać budynki.

Liczbę niosących pomoc sukcesywnie się zwiększa, zgodnie ze zgłaszanymi przez gminy potrzebami. W usuwaniu skutków nawałnicy uczestniczy już około pół tysiąca żołnierzy, włączonych do trzech wojskowych zgrupowań zadaniowych (WZZ), wydzielonych do pomo-

cy poszkodowanym. Wykorzystują w tym celu kilkaset jednostek sprzętu. W gotowości pozostają żołnierze Żandarmerii Wojskowej i specjalistyczne pojazdy.

„Najwięcej dramatycznych obrazów znamy z rejonu Rytle, ale takich miejsc pełnych szkód jest znacznie więcej”, mówił 21 sierpnia 2017 roku na konferencji prasowej Michał Dworczyk. Właśnie tam, w okolicach Rytle, działa WZZ Chojnice, w którym pracują żołnierze m.in. z 3 Batalionu Drogowo-Mostowego, 2 Pułku Saperów, 34 Batalionu Radiotechnicznego, 2 Pułku Inżynieryjnego, 4 Batalionu Inżynieryjnego, 43 Batalionu Saperów Marynarki Wojennej. Zajmują się m.in. oczyszczaniem koryta i kanału Brdy oraz dwóch mniejszych rzek, Zbrzycy i Miłosznej.

POMOC POSZKODOWANYM JEST UDZIELANA NA MOCY DECYZJI MINISTRA ANTONIEGO MACIEREWICZA WYDANEJ NA WNIOSK WOJEWODY POMORSKIEGO



Żołnierze razem ze strażakami udrażniają Wielki Kanał Brdy wraz z równoległą drogą.

Pracują także nad przywracaniem przejezdności dróg. „Udało się na przykład udrożnić i poszerzyć drogę krajową na odcinku Ryteł – Chojnice”, mówi ppłk Anna Pęziół-Wójtowicz, rzecznik prasowy MON-u.

Drugie ze zgrupowań – WZZ Bydgoszcz – działa m.in. na terenie powiatu nakielskiego (woj. kujawsko-pomorskie). Tu zadania są podobne. W gminie Sośno wojskowi oczyszczają drogi. Żołnierze m.in. z 2 Inowrocławskiego Pułku Inżynieryjnego usunęli też zator na rzece Kamionka w okolicy Wielkiej Kłoni oraz przygotowali bazę pod budowę linii energetycznych w okolicy Mierucina i Tonina. Dzięki temu na terenie tych miejscowości firmy energetyczne mogły rozpocząć odbudowę sieci przesyłowych i przywracać dostawy prądu w części gospodarstw rolnych.

Pomoc niosą także żołnierze z WZZ Szubina. W usuwanie skutków nawałnicy zaangażowani są wojskowi z 1 Pomorskiej Brygady Logistycznej w Bydgoszczy. „W Szubinie wojsko zajęło się oczyszczaniem wiatrołomów, a w Smolnikach dostarczaniem wody pitnej dla ludności. Prowadzone też były prace związane z przywróceniem dostaw energii do lokalnych gospodarstw oraz odgruzowywaniem budynku gospodarczego”, twierdzi ppłk Anna Pęziół-Wójtowicz. Na terenie sołectwa Królikowo żołnierze pomagali także mieszkańcom w porządkowaniu budynków.

Pomoc poszkodowanym jest udzielana na mocy decyzji ministra Antoniego Macierewicza wydanej na wniosek wojewody pomorskiego. Jak podkreślił szef MON na jednym ze spotkań poświęconych przeciwdziałaniu skutkom nawałnic, „mamy 9,5 tys. żołnierzy, którzy są gotowi do pracy w całym kraju. Stanowią siłę wsparcia dla organów cywilnych i tylko w takich pracach, których nie mogą wykonać służby cywilne”. PZ ■

Polacy zwolennikami rozwoju armii

Wzrost liczebności armii oraz wydatków na obronność – takie są plany MON-u na najbliższe lata. Według sondaży polskie społeczeństwo popiera dążenia resortu.

Centrum Badania Opinii Społecznej zrealizowało na zlecenie Ministerstwa Obrony Narodowej sondaż „Opinie na temat obronności kraju”. W całej Polsce 4–7 sierpnia przeprowadzono rozmowy z tysią-

śli, że już w styczniu tego roku powstał piąty rodzaj sił zbrojnych – wojska obrony terytorialnej, które mają liczyć 50 tys. żołnierzy służących w 17 brygadach na terenie całego kraju.



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

cem dorosłych Polaków. Zapytano ich m.in. o plany resortu obrony dotyczące wzrostu wydatków na obronność. Budżet obronny ma systematycznie się zwiększać i w 2030 roku wynieść 2,5% PKB (obecnie to 2% PKB). Takie dążenia ministerstwa popiera aż 74,8% respondentów.

Wyniki sondażu pokazały także aprobatę polskiego społeczeństwa dla rozbudowy naszej armii, dziś liczącej około 100 tys. żołnierzy. Na „tak” w tym wypadku było 66,7% respondentów, w tym 40% z nich wskazało odpowiedź „zdecydowanie tak”. „Polskie siły zbrojne w ostatnich latach raczej się kurczyły. W tej chwili mamy po raz pierwszy poważny, zauważalny wzrost. Docelowo polskie siły zbrojne mają liczyć blisko 200 tys. żołnierzy i oficerów”, mówił w mediach Michał Dworczyk, sekretarz stanu w MON-ie. Podkre-

Polacy dostrzegają też potrzebę modernizacji sprzętu polskiej armii. Aż 87% pytanym uznało, że Wojsko Polskie wymaga zmian w tym zakresie. 6,5% było przeciwnego zdania, a 6,4% nie miało określonego zdania na ten temat. Zdecydowanej większości Polaków (86%) podoba się współpraca polskiego wojska z armiami innych państw sojuszu północnoatlantyckiego. Przeciwnego zdania było zaledwie 8,9%, a 5,1% nie określiło swojego stanowiska w tej kwestii. 80% pytanym z kolei pozytywnie odbiera współpracę ze Stanami Zjednoczonymi. „Widać, że praca Ministerstwa Obrony Narodowej jest doceniana. Cieszy nas to, że Polacy rozumieją, jak bardzo ważne jest bezpieczeństwo Polski”, tak dla mediów skomentował wyniki sondażu wiceminister Dworczyk. PG ■



Głowy w górę

Tegoroczna edycja Międzynarodowych Pokazów Lotniczych „Air Show 2017” w Radomiu przyciągnęła tłumy sympatyków lotnictwa i przemysłu zbrojeniowego zarówno z Polski, jak i zagranicy.

Organizatorzy przygotowali dla widzów wiele atrakcji, takich jak pokazy dynamiczne i statyczne statków powietrznych, parada lotnicza, pokazy balonów, pilotaże indywidualne oraz grupowe, prezentacje grup rekonstrukcyjnych. Na radomskim niebie można było zobaczyć za-

równo wojskowe, jak i cywilne samoloty oraz śmigłowce polskich i zagranicznych sił zbrojnych, np.: MiG-29, Su-22, F-16, TS-11 Iskra, PZL-130, SW-4, Mi-2, Mi-24, W-3, Mi-8, Mi-17, Mi-14, Gulfstream 550, EF-2000 Eurofighter, M-346 Master, Su-27, AWACS, B-1 oraz B-52.

Nowością były strefy tematyczne. Strefa Challenge 1932 powstała na przykład po to, żeby pokazać uczestnikom Air Show chlubne tradycje i barwną historię polskiego lotnictwa. Najmłodsi uczestnicy imprezy mogli obejrzeć filmy o tematyce lotniczej, wziąć udział w konkursach oraz sprawdzić się w symulatorze lotów. Na pokazach w Radomiu w alei przemysłu obronnego można było odwiedzić stoiska wielu firm promujących Air Show, m.in. partnera strategicznego pokazów, Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Z kolei na stoisku Wojskowego Instytutu Wydawniczego na uczestników pokazów czekało wydanie specjalne „Polski Zbrojnej”. ■

Studenci w mundurze

Około 10 tys. studentów będzie mogło przejść ochotnicze szkolenie wojskowe.

Porozumienie w sprawie programu pilotażowego „Koncepcja edukacji wojskowej studentów w ramach Legii Akademickiej”, w imieniu ministrów konstytucyjnych, 21 sierpnia 2017 roku podpisali sekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej Michał Dworczyk oraz sekretarz stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego prof. Aleksander Bobko. Szczegóły programu wiceministrowie przedstawili podczas spotkania z przedstawicielami mediów. „Przed polskimi Siłami Zbrojnymi RP stoi bardzo ważne zadanie odbudowy rezerw osobowych”, mówił sekre-

tarz stanu w MON-ie. „Jednym z naszych przedsięwzięć jest właśnie stworzenie możliwości ochotniczego szkolenia studentów”.

Program pilotażowy będzie się składał z części teoretycznej i praktycznej. Zajęcia mają się odbywać zarówno na uczelniach w trakcie roku akademickiego, jak i w jednostkach, centrach i ośrodkach wojskowych. Program nauczania obejmie około 30 godzin wykładów, m.in. z historii, obronności i wiedzy wojskowej. Przewiduje się również możliwość przeprowadzenia niektórych zajęć za pomocą platformy e-learningowej.

Po zaliczeniu części teoretycznej student ochotnik, po złożeniu wniosku (przez administrację uczelni) do organów wojskowych, zostanie karter powołania na ćwiczenia w wytypowanych jednostkach oraz ośrodkach szkoleniowych. Będą one prowadzone w czasie przerwy wakacyjnej, w dwóch turach po sześć tygodni.

Każda tura składa się z kolei z dwóch modułów, trwających po 22 dni: szkolenia podstawowego, które kończy się egzaminem i złożeniem przysięgi, oraz szkolenia podoficerskiego, również zakończonego egzaminem i mianowaniem na stopień kaprała. PZ ■

ANTONI
MACIEREWICZ

Wyjątkowy rok

Tegoroczna edycja Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego jest wyjątkowa. To już ćwierć wieku tej wystawy w Kielcach. 25 lat to nie tylko gwarancja organizacji targów na wysokim poziomie, lecz także dowód na to, że w takiej formule spotkania przemysłu z użytkownikami sprzętu wojskowego i instytucjami zamawiającymi są skuteczne.

Rok temu właśnie w Kielcach ogłosiłem decyzję dotyczącą sposobu pozyskania systemu obrony przeciwrakietowej i przeciwlotniczej Wisła. Jednocześnie targi przyczyniły się do nawiązania wielu ciekawych i korzystnych dla rozwoju sił zbrojnych kontaktów. W 2016 roku MSPO pokazały również, jak duży potencjał rozwojowy mają polskie instytuty i przedsiębiorstwa, czego dowodem jest chociażby DragonFly, opracowany przez Wojskowy Instytut Techniczny Uzbrojenia, który będzie produkowany w Wojskowych Zakładach Lotniczych nr 2 i Bydgoskich Zakładach Elektromechanicznych BELMA SA.

Wojsko Polskie wymaga modernizacji. Potrzebuje nowoczesnego sprzętu. Praktycznie w każdej dziedzinie występują wieloletnie opóźnienia, które staramy się nadrobić. Realizacja budżetu w 2016 roku w 100%, na poziomie 2% PKB, to dowód na dynamicznie zmieniające się siły zbrojne. W samym 2016 roku zawarto ponad 140 umów na łączną kwotę ponad 12 mld zł. W sumie do dziś przeznaczono na zakup sprzętu ponad 17 mld zł. Jak widać, znacznie przekraczamy wymóg NATO przeznaczania 20% PKB budżetu MON na modernizację. Po wielu latach marginalizowania polskiego przemysłu obronnego w końcu zaczyna być wdrażany program aktywizacji rodzimej gospodarki. Około 65% zamówień, na kwotę ponad 12 mld zł, zostało zawartych z podmiotami krajowymi. Dostawa czterech modułów ogniowych Regina, ośmiu kompanijnych modułów ogniowych Rak, rakiet Piorun, sześciu baterii Pilica czy odbudowa floty samolotów do przewozu najważniejszych osób w państwie to jedynie przykłady ogromu wysiłku modernizacyjnego. Duży nacisk został położony także na zakup dla Sił Zbrojnych RP najnowocześniejszego uzbrojenia, takiego jak rakiety JASSM-ER.

MSPO 2017 to nie tylko okazja do zapoznania się z najnowocześniejszą ofertą komercyjną. Ministerstwo Obrony Narodowej planuje także podpisać na targach umowy na dostawy sprzętu, w tym na zakup pojazdów dalekiego rozpoznania Żmija, sprzętu noktowizyjnego wytwarzanego w PCO SA czy karabinu wyborowego produkowanego przez ZM Tarnów SA. Podpisanie tych umów to nie tylko podniesienie prestiżu targów, lecz przede wszystkim realne wzmocnienie polskiego przemysłu zbrojeniowego.

Rok 2017 jest wyjątkowy w kontekście modernizacji. Zawarto już około 80 umów na kwotę ponad 5 mld zł, a planuje się podpisanie kolejnych 50, m.in. w sprawie programów „Wisła” i „Homar” czy niszczycieli min Kormoran II.

ANTONI MACIEREWICZ
minister obrony narodowej

TEMAT NUMERU

/ PRZEMYSŁ ZBROJENIOWY

Z LABORATORIUM NA POLIGON FROM LABORATORIES TO MILITARY TRAINING FIELDS

Z Jackiem Borkowskim, Marcinem Sękiem oraz Henrykiem Kowalczykiem
o tym, jak sprawić, żeby innowacyjne technologie obronne szybciej
trafiły do sił zbrojnych, rozmawiają Izabela Borańska-Chmielewska,
Krzysztof Wilewski i Tadeusz Wróbel.

*Jacek Borkowski, Marcin Sęk and
Henryk Kowalczyk*
in the debate with Izabela Borańska-Chmielewska, Krzysztof Wilewski
and Tadeusz Wróbel on how to make innovative technologies faster find
their way to the armed forces' arsenals.



ARKADIUSZ DWULATEK/COMBAT CAMERA DORSZ



K

ommercjalizacja wyników badań naukowych prowadzonych w dziedzinie obronności to od lat pięta achillesowa naszej zbrojeniówki. Jak sprawić, aby to, co wymyślą nasi naukowcy, szybciej trafiało do wojska w postaci nowej broni czy specjalistycznego wyposażenia?

Plk Jacek Borkowski: Widzę dwie przyczyny takiej sytuacji. Po pierwsze, brakuje nam organizacji, która stanowiłaby jeden pion funkcjonalny w Ministerstwie Obrony Narodowej.

Henryk Kowalczyk: Zdecydowanie zgadzam się z tą opinią. Dziś brakuje w wojsku takiej instytucji, której zakres obowiązków byłby zbliżony do tego, który miał dawny główny inspektor techniki. Odpowiadał on za wszystko, od pomysłu na rozwiązanie, przez jego pozyskanie, wdrożenie do służby, aż po wycofanie, lub – gdy prototyp nie trafił do wojska – zagospodarowanie efektów pracy, a czasem, mówiąc kolokwialnie, „zakopanie bez śladu”.

JB: Po drugie, naszą ogromną słabością jest niewłaściwe podejście do zespołów projektowych, które można nazywać również zespołami konstrukcyjnymi.

HK: Przepraszam, że znowu wejdę panu w słowo, ale u nas często się uważa, że zespoły badawcze powinny działać na normalnych zasadach komercyjnych, co jest fatalnym pomysłem, bo nie taka jest ich rola.

JB: Zgadzam się. Zespoły projektowe powinny być uwolnione od tego typu zadań. One i tak mają co robić od strony organizacyjnej. Jest tyle instytucji zaangażowanych w opiniowanie, podejmowanie kluczowych decyzji, że wspo-

C

ommercjalizacja of the results of research and development in defense has for years been the Achilles' heel of Polish defense industry. What should be done to make Polish inventions faster find their way to the army in the form of a new weapon or specialist equipment?

Colonel Jacek Borkowski: I think there are two reasons for such a situation. First, we lack an organization which would be one functional department in the Ministry of National Defense.

Henryk Kowalczyk: I definitely agree. Today, there is no institution in the army covering tasks similar to those of the former head technology inspector. He was responsible for everything, starting from an idea and ending on a solution, or – in case a prototype was never actually used in the army – for effective re-application of the effects of this work, or sometimes even – to say colloquially – “digging them deep down”.

JB: Second, inappropriate approach to design groups (or development groups) is our enormous weakness.

HK: Sorry to interrupt again, but there's a popular belief that research groups should actually follow standard commercial rules, which is a very bad idea since this is not what they are meant to do.

JB: I agree. Design groups should be free from the tasks of this type. They still have a lot of organization work to do. There are so many institutions engaged in the processes of pronouncing opinions or key decision-making that the above-mentioned groups had to devote on servicing them as much as up to 70% of their time.

PŁK JACEK BORKOWSKI:

*Przemysłowi jest potrzebna mocna
agencja, która wskaże, czego potrzebuje
wojsko*

*Our industry needs a strong agency to
be told exactly what our army needs*

mniane zespoły są zmuszone poświęcać na ich obsługę aż do 70% swego czasu.

Co zatem należy zmienić w funkcjonowaniu zespołów projektowych?

JB: Trzeba im zapewnić możliwość doboru ludzi, przygotować strukturę oraz wyznaczyć sprecyzowane zadania badawcze. Przykładem niech będzie kierowany przeze mnie instytut, w którym w 2014 roku przebudowaliśmy całą strukturę organizacyjną i stworzyliśmy kilka nowych zespołów projektowych, m.in. zespół w dziedzinie wysoko przetworzonej mechatroniki. Wyzaczyłem mu prosty, ale zarazem bardzo ambitny cel – skonstruować rakietę do bezzałogowego statku latającego. Do tego są konieczne różnego typu głowice do uzbrajania BSL, które już mamy, teraz pracujemy nad optymalizacją napędu. Oceniam, że za około półtora roku taka rakietka powstanie. Celem zespołu nie jest jednak tylko opracowanie produktu, lecz także zabezpieczenie całego cyklu jego przyszłego funkcjonowania, obejmującego opracowanie, wdrożenie do produkcji, modyfikacje, modernizację, eksploatację aż po wycofanie ze służby i utylizację.

Wydaje się, że jest to bardzo prosta recepta na dobrze funkcjonujące zespoły konstrukcyjne, projektowe. Na czym zatem polega problem?

JB: Trzeba pamiętać, że takie zespoły buduje się nie przez rok czy dwa lata, a przez dziesięć lat. To złożony proces, w którym muszą zostać uwzględnione wszystkie elementy, od stworzenia zasobów kadrowych po uruchomienie odpowiednich mechanizmów ich utrzymania.

What should be changed in the functioning of design groups?

JB: They should be given the ability to select their own group members, group structure should be formed, and specific research tasks should be allocated. A good example can be the institute, managed by me, which in 2014 was completely organizationally restructured, and several new design groups were created, such as for instance a group operating in the field of highly processed mechatronics. I set one simple – but at the same time very ambitious – goal to that group: design a missile for an unmanned aerial vehicle. To achieve that, we need several types of warheads for UAV armament, which we already have but we now work to optimize the propulsion. I think such missile will be ready in about a year and a half. However, the group's goal is not only developing a product, but also designing the entire cycle of its future functioning, such as development, implementation into production, modifications, modernizations, exploitation, and finally withdrawal from service and utilization.

This seems such a simple recipe for a well functioning design or development group. What is the problem then?

JB: We should remember that building such a group takes not a year or two, but even ten years. It's a complex process, with many issues that have to be taken into consideration, from personnel selection to launching proper mechanisms to maintain them. The most crucial is to make the smartest engineers stay with the group – and at the same time with the employer – for many years.



Najważniejsze jest bowiem powiązanie najlepszych merytorycznie inżynierów z zespołem, a tym samym z pracodawcą, na wiele lat.

HK: Nie ma się co dziwić, że tak się dzieje, jeśli brakuje odpowiednich środków na badania. Dlatego kluczowe jest odpowiednie wsparcie ze strony MON-u takich instytucji jak nasze, oraz zrozumienie, jakim skarbem są zespoły projektowe i jak łatwo można je bezpowrotnie stracić.

Do diagnozy pana pułkownika dodałbym dwie rzeczy. Konieczne jest, aby instytucje, które podejmują decyzje o lokowaniu środków w dany projekt, rozumiały specyfikę naszej pracy i tego, że pewnych rzeczy nie da się zrobić na jutro. Amerykańska DARPA na przykład pierwszych efektów prac badawczo-rozwojowych oczekuje po 15 latach, a docelowych nawet po 25. U nas natomiast wszystko sprowadza się do kadencyjności. Jest to zatem horyzont najwyżej kilkuletni. Ponadto chodzi o wdrażanie sprzętu do wojska i jego sprzedaż na świecie. Nie może być tak, że nowy wyrób jest wdrażany bezpośrednio w jednostce wojskowej, która ma przecież inne zadania. W większości krajów istnieją specjalne jednostki doświadczalne, do których trafia produkt, zanim znajdzie się w jednostkach bojowych. To właśnie jednostki doświadczalne testują sprzęt i wypracowują zasady jego użycia.

Mamy już bardzo mocny głos naszej armii, a dokładniej instytucji badawczych pracujących na jej rzecz, dlatego najwyższy czas na państwowy przemysł. Jak oceniacie system finansowania i wdrażania do produkcji nowych technologii obronnych? Jak wygląda współpraca z Narodowym Centrum Badań i Rozwoju?

Marcin Sęk: NCBR w porozumieniu z MON-em i MSWiA finansuje działania związane z badaniami na rzecz bezpieczeństwa i obronności. Ogłaszane są konkursy dotyczące konkretnych tematów badawczo-rozwojowych i finansowane przedsięwzięcia związane z bezpieczeństwem narodowym. Polska Grupa Zbrojeniowa produkuje sprzęt wojskowy na bazie finansowanych z NCBR-u projektów badawczo-rozwojowych w warunkach określonej pewności. Pomimo to nasze przedsiębiorstwa zbrojeniowe wykonujące projekty B+R mają duże problemy z płynnością ich realizacji. Wydawałoby się, że NCBR ma dobre procedury prowadzenia tego rodzaju projektów, ale nie sprawdzają się one w naszej działalności. Istniejący system finansowania programów i projektów badań naukowych oraz prac rozwojowych do-



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

PŁK DR INŻ. JACEK BORKOWSKI

Jest dyrektorem Wojskowego Instytutu Technicznego Uzbrojenia. Jest ekspertem w grupie roboczej Europejskiej Agencji Obrony zajmującej się europejskim rynkiem amunicji oraz przedstawicielem Polski ENNSA (European Network of National Authorities on Ammunition).

Colonel Jacek Borkowski, PhD in Engineering – Director of the Military Institute of Armament Technology (Wojskowy Instytut Techniczny Uzbrojenia, WITU). He is an expert in the working group of the European Defense Agency dealing with the European ammunition market as well as Polish representative in the European Network of National Authorities on Ammunition.

HK: No wonder this is not happening since the resources for research are scarce. Thus the MoND's support provided to such institutions as ours is of key importance, as well as understanding that design groups are real treasure, and that it's very easy to waste them forever.

I would add two things to colonel's diagnosis. It's necessary for the institutions making decisions about allocating resources to a certain project to understand the specificity of our work and the fact that certain things cannot be done for tomorrow. The American DARPA, for instance, expects the first results of its research and

tyczących obronności i bezpieczeństwa państwa przez krajowy przemysł obronny nie sprzyja poprawnemu wykonaniu zadań, w szczególności zagraża terminowości dostaw i efektywnemu wykorzystywaniu publicznych środków. Uważam ponadto, że istniejący model NCBR-u jest zbyt otwartym systemem, ofertą dla wszystkich, a w sferze obronności konieczne jest zachowanie przynajmniej poufności. Dlatego pomysłem Polskiej Grupy Zbrojeniowej, zainicjowanym w Biurze ds. Innowacji i Nowych Technologii, jest zaproponowanie nowego modelu finansowania, np. w drodze funduszu celowego, nazywanego roboczo Funduszem Technologii Obronnych. Nasze biuro współpracuje z instytucjami nauki, producentami i wojskiem. W naturalny sposób Polska Grupa Zbrojeniowa, jako najważniejszy krajowy producent i dostawca uzbrojenia dla SZRP, przejmuje rolę lidera, który dąży do partnerstwa strategicznego między MON-em a innymi kluczowymi krajowymi producentami, jednostkami naukowymi i badawczymi. Mamy przegląd całości informacji, zarówno tych o potencjale wytwórczym i zdolnościach rozwojowych, jak i o potrzebach wojska. Dzięki temu dobrze mogliśmy przygotować analizy dotyczące wspomnianego strategicznego partnerstwa.

Skąd pochodziłyby pieniądze dla takiego funduszu?

MS: To są tylko nasze prognozy, przewidywania. Co roku w budżecie państwa w strukturze działu 752 „Obrona narodowa”, według rozdziałów klasyfikacji budżetowej, jest określona kwota. Na działalność badawczo-rozwojową przewidziano w 2017 roku około 724 mln zł. Chcemy zaproponować, aby dysponentami tych pieniędzy, stały się PGZ oraz MON przez Inspektorat Implementacji Innowacyjnych Technologii Obronnych i Inspektorat Uzbrojenia MON, a później agencja uzbrojenia, która ma powstać na jego bazie. Proponujemy, żeby PGZ przejął rolę partnera strategicznego przez wprowadzenie polskiego przemysłu obronnego do prawnego systemu zapewniającego wykonanie zadań związanych z dynamicznym rozwojem innowacyjnych technologii obronnych.

Jak zostałyby podzielona taka kwota?

MS: Tak jak wspomniałem, są to tylko nasze prognozy. Koniecznością jest zwiększenie nakładów na badania przemysłowe i prace rozwojowe w dziedzinie obronności, a zatem poszukiwanie budżetowych źródeł finansowania oraz wykorzystywanie w tym celu dostępnych instrumentów – prawnych, finansowych, organizacyjnych – ułatwiających krajowym podmiotom prowadzenie działalności naukowo-badawczej. Wstępnie, biorąc pod uwagę bie-

development work after 15 years, and the final ones – even after 25. In Poland, it all comes up to a timespan of one term of office, which is several years at most. What's more, it's about implementing equipment in the army, and selling it around the world. It is unacceptable that a new product is usually implemented directly in a military unit, which as we know has different tasks than that. In most countries, there are designated testing units which receive the product before it goes to combat troops. It is those units who experimentally test the equipment and develop handling procedures.

We've heard from the representatives of our army – or rather research institutions working for it. Now, let's listen to a state defense industry representative. How do you find the system of financing and implementing for production of new defense technologies? How does a cooperation with the National Center for Research and Development look like?

Marcin Sęk: The NCRD in cooperation with the Ministry of National Defense and the Ministry of the Interior and Administration is financing activities related to the research on security and defense. There are tenders on specific research and development issues, and national security activities are financially supported. The Polish Armaments Group (PGZ) manufactures military equipment based on R&D projects financed by the NCRD in the conditions of defined certainty. In spite of that, our defense companies doing such R&D projects have significant problems with the flow of their implementation. It would seem that the NCRD has good procedures for running such projects, but they actually don't work for us. The existing system for financing R&D projects and programs on defense and state security by state defense industry is not conducive to proper task handling, and is particularly disadvantageous for keeping delivery deadlines or effective use of public resources. I also think that the existing NCRD model is too open a system, an offer for everybody, while in the area of defense activity it is necessary to be at least confidential. For that reason, the idea of the Polish Armaments Group, initiated by the Bureau for Innovations and New Technologies, is to have a new model of financing, for example through a designated fund operationally called Defense Technology Fund. Our bureau cooperates with science institutions, manufacturers and the army. Quite naturally, the Polish Armaments Group, being the biggest Polish producer and supplier of armament to the Polish Armed Forces, takes over the role of a leader who wants a strategic partnership between the ➔

żący rok, policzyliśmy, że PGZ i IU mogłyby dysponować kwotami po 300 mln zł, a I3TO – 150 mln zł. Oczywiście to rozwiązanie jest projektem do dyskusji. Pragnę jednak podkreślić, że w tym pomysł nie chodzi o finansowanie PGZ-etu, lecz stworzenie przemysłowego partnerstwa strategicznego w formule prawnej, np. powołanie instytucji, która współpracowałaby na rzecz rozwoju technologii i produkcji obronnych niezbędnych do funkcjonowania Sił Zbrojnych RP, a wykorzystywanych w czasie wzrostu zagrożenia bezpieczeństwa państwa i wojny. W finansowanych w ten sposób projektach zapraszano by określone podmioty, nie tylko państwowe, co znacznie upraszczałoby całą procedurę. Dlatego uważam, że od samego początku konieczne są nadzór MON-u i współpraca zarówno między tymi trzema instytucjami, jak i w trójkącie nauka – przemysł – wojsko. W każdym projekcie wyróżnia się dziewięć poziomów gotowości technologicznej i każda z instytucji zajmowałaby się poszczególnymi etapami.

HK: Według dzisiejszych procedur istnieje u nas zbyt daleko posunięta otwartość, jeśli chodzi o przeprowadzane przez NCBR konkursy związane z obronnością, szczególnie w kwestii wymogu upubliczniania efektów prac. Za granicą często ogłasza się konkursy częstkowe, na produkty, które czasami trudno skojarzyć z konkretnym wyrobem wojskowym. A u nas ogłaszamy publiczny konkurs na całe wyposażenie do danego typu sprzętu.

MS: Potrzebna jest zmiana obowiązującego prawa o zamówieniach publicznych, które teraz wymusza taką otwartość.

HK: Myślę, że nawet przy obecnym prawie można byłoby tego uniknąć. Wystarczy się przyjrzeć, jak działają inne państwa Unii Europejskiej. W konkursach ogłaszanych przez ich resorty obrony są takie zapisy, które de facto preferują rodzimych producentów.

MS: Już w traktacie paryskim z 1951 roku o utworzeniu Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali znalazły się stosowne zapisy, a 15 kwietnia 1958 roku ogłoszono listę produktów wojskowych, do których mają zastosowanie postanowienia art. 346 „Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej”, co umożliwia każdemu państwu członkowskiemu podejmowanie środków, które uważa za konieczne w celu ochrony podstawowych interesów jego bezpieczeństwa, a odnoszących się do produkcji lub handlu bronią, amunicją lub materiałami wojennymi. Wtedy takie środki nie mogą negatywnie wpływać na konkurencję na rynku wewnętrznym w odniesieniu do produktów,

MoND and other key Polish producers as well as academic and R&D institutions. We have access to complex information, both about production potential and development capabilities as well as about the army's needs. This allowed us to prepare analysis on the mentioned strategic partnership.

Where the money for such a fund would come from?

MS: These are just our prognoses. Every year, in the state budget share for national defense (no. 752), in accordance with budget classification shares, there is a defined amount of money. In 2017, it's about 724 million zlotys for research and development activity. Our proposal is that the money would remain at the disposal of the Polish Armaments Group and the MoND via the Inspectorate for Implementation of Innovative Defense Technologies and the MoND Armament Inspectorate, and later of the armament agency which would be created on its basis. We also suggest that the Polish Armaments Group become a strategic partner by introducing Polish defense industry into a legal system ensuring the execution of tasks related to a dynamic development of innovative defense technologies.

How this money would be shared?

MS: As I said, these are just our prognoses. It's necessary to increase expenses on defense research and development activity, which is searching for budgetary sources of financing and the use for this reason all available resources – legal, financial, organizational – enabling domestic entities to run research and development activity. Draft calculations for this year show that the Polish Armaments Group and the Armaments Inspectorate could have each about 300 million zlotys, and the Inspectorate for Implementation of Innovative Defense Technologies – 150 million zlotys. Obviously, this solution is a project open for discussion. Still, I would like to emphasize that this idea is not about financing the Polish Armaments Group, but about creating a defense industry strategic partnership in a legal form, for example by establishing an institution cooperating for the development of technologies and defense productions essential for functioning of the Polish Armed Forces, and used during the increasing danger to state security or war. To the projects financed in this way, certain entities, not only state-owned, would be invited, which would significantly simplify the entire procedure. Therefore, I think that the MoND supervision as well as a cooperation between these three institutions and in the

które nie są przeznaczone wyłącznie do celów wojskowych.

JB: Dzięki temu od dziesięcioleci świetnie funkcjonują przemysły zbrojeniowe Francji, Niemiec czy Włoch.

HK: Dla mnie przykładem tego, jak firma cywilna może skorzystać z rozwiązań opracowanych na potrzeby wojskowe, jest Francja, gdzie blisko 20 lat temu dokonał się skok technologiczny, np. przy produkcji samochodów, dzięki programowi samolotu wielozadaniowego nowej generacji Rafale. Gdy generalna dyrekcja uzbrojenia broń programu, który był mocno krytykowany ze względu na wielki wzrost kosztów i niedotrzymane terminy, przedstawiła analizę świadczącą o tym, że dzięki technologiom opracowanym na potrzeby myśliwca i przekazanym firmom motoryzacyjnym mogły one poprawić konkurencyjność swych samochodów. W Polsce mamy z tym duży problem. Pamiętam, że przed laty przedstawiciel poprzednika PGZ-etu, Bumar, na Dniach Przemysłu MON spytał, kiedy będą mogli komercjalizować swe produkty. Wtedy nie wiedziano, jak to rozwiązać. Mam nadzieję, że agencja uzbrojenia zajmie się koordynacją sprawnego udostępniania efektów programów zarówno jako produktów eksportowych, jak i na rynek cywilny.

Dobrym przykładem na współpracę między przemysłem cywilnym a wojskowym jest Korea Południowa, gdzie miejscowe koncerny równocześnie zajmują się produkcją cywilną i wojskową.

HK: Korea Południowa jest wzorcowym przykładem takiej współpracy.

JB: Przemysłowi jest potrzebna mocna agencja, która mu wskaże, czego wojsko potrzebuje. Dla nas jednak lepsze byłoby szwedzkie rozwiązanie, gdyż mamy podobne problemy. Systemu pracy w koreańskich czebolach [koncernach] nie da się przełożyć na nasz rynek ze względu na różnice kulturowe. Francuska agencja natomiast jest biurokratycznym molochem.

W Europie trwa proces zacieśniania współpracy ponadnarodowej w przemyśle zbrojeniowym, tymczasem my pozostajemy na jego uboczu.

JB: Aby myśleć o współpracy międzynarodowej, najpierw musimy stworzyć silne struktury krajowej zbrojeniówki, tak by mogła ona być partnerem dla zagranicznych potentatów. Podporządkowanie PGZ-etu MON-owi jest krokiem w tym kierunku. Jednym ze sposobów wzmocnienia zbrojeniówki jest zapewnienie pie-



MARCIN SĘK

Jest dyrektorem Biura do spraw Koordynacji Badań i Rozwoju Produkcji Polskiej Grupy Zbrojeniowej, które zajmuje się m.in. analizowaniem kierunków rozwoju nowych technologii na świecie, oraz koordynuje współpracę PGZ z uczelniami i instytucjami naukowymi.

Marcin Sęk – Director of the Bureau for Coordination of the Production Research and Development in the Polish Armaments Group (Polska Grupa Zbrojeniowa, PGZ), the tasks of which cover the analysis of the directions of new technologies' development around the world, as well as coordinates the cooperation between PGZ and higher education schools and scientific institutes.

triangle of science-industry-army is crucial from the very beginning. In every project, there are nine levels of technology readiness, and each institution would deal with specific stages.

HK: According to current procedures, in Poland there's too much transparency if it comes to the tenders on defense launched by the National Center for Research and

niędzy na powołanie, a potem długofalowe finansowanie zespołów projektowych, bo tylko one mogą udźwignąć tworzenie nowych systemów uzbrojenia.

MS: Podzielam tę opinię. Powiązania strukturalne muszą być budowane na bazie źródeł ich finansowania oraz specjalistów zdolnych opanować nowe technologie w naszym kraju. Nie wystarczą same instytucje.

JB: Doświadczenia ostatnich 27 lat pokazują, że współpraca siedmiu czy ośmiu podmiotów w jednym zadaniu nie zawsze się sprawdzała. Stąd w WITU już stworzyliśmy trzy zespoły projektowe – mechatroniki, balistyki oraz symulatorów. Nasz instytut nie współpracuje z przemysłem w pracach badawczo-rozwojowych. Chcemy przygotowywać gotowe rozwiązania i udostępniać firmom licencje, co zresztą robimy już od kilku miesięcy. Oczywiście nasze zespoły wspierają wdrażanie projektów do produkcji. Mam nadzieję, że podobne rozwiązania pojawią się w przemyśle. W PCO powstały już załączki zespołu zajmującego się optoelektroniką.

HK: Szanse dla naszego przemysłu obronnego upatruję również w pewnej prawidłowości – jeśli uzbrojenie staje się zbyt zaawansowane technologicznie i bardzo drogie, to pojawiają się prostsze, tańsze rozwiązania. To byłaby szansa dla wielu polskich projektów, w tym dla naszego lekkiego samolotu Grot 2. Wszak w Stanach Zjednoczonych zaczęła się już dyskusja o lekkiej i tańszej maszynie bojowej niż F-35.

JB: Słynne tysiąc dronów, o których mówił minister Antoni Macierewicz, wzięło się stąd, że nasz dragonfly jest bardzo tani. Jako główne wymaganie postawiłem biurowi konstrukcyjnemu cenę i oczywiście jakość. Relatywnie niska cena bezzałogowców spowoduje powszechność ich użycia, co zmieni pole walki, gdyż dron, wielokrotnie tańszy od pocisku przeciwpancernego, jest równie skuteczny w zwalczaniu czołgów. Wiem, że prace nad bezzałogowcami podobnymi do dragonfly'ą są prowadzone już w kilku państwach. U nas problemem jest to, że wojsko nie ma instrukcji ich użycia. Dlatego wyszliśmy naprzeciw armii i rozpoczęliśmy szkolenie operatorów dronów.

HK: Jedną z podstaw do stworzenia wyrobu spełniającego oczekiwania użytkownika jest bezpośredni z nim kontakt. Tymczasem u nas od lat kontakty wojskowych z przedstawicielami przemysłu są bardzo ograniczone przepisami, które mają zapobiegać korupcji. Z mojego doświadczenia wynika, że o wiele łatwiej i szybciej moż-

Development, particularly as to the requirement of public announcement of the results. In other countries, it is quite frequent that tenders are made public only partially for the products that can hardly be associated with specific military equipment. Here, we go public with a tender for the offer on the entire equipment for a specific type of a machine.

MS: There is a need for a change of the existing law on public tenders which today requires such transparency.

HK: I think that even with today's law it's possible to omit it. It's enough to look at other EU states. In the tenders launched by their defense ministries, there are regulations which de facto prefer domestic producers.

MS: In the Treaty of Paris of 1951 establishing the European Coal and Steel Community, there were already such regulations, and on April 15, 1958, a list of military products, to which the regulations of the Article 346 of the Treaty on the Functioning of the European Union apply, was published, what allows every member state to use whatever resources it considers necessary to protect its primary security interests related to the production of or trading with weapon, ammunition or war materials. In such situations, these resources cannot negatively affect competition on domestic market in relation to the products which are not designed only for military use.

JB: Owing to that, defense industries of France, Germany or Italy have been doing great for years.

HK: For me, the example of how a civil company can use solutions designed for the army is France where almost 20 years ago, there was a technological jump, for instance in the area of car production, as a result of the new generation Rafale multi-task aircraft program. When the general directors of armament were defending the program – highly criticized for its enormous increase of cost and failures to meet deadlines – they presented the analysis proving that technologies developed for that fighter and passed over to car companies could improve the competitiveness of their cars. In Poland, there's a huge problem with this. I remember years ago, when a representative of Bumar company – the predecessor of PGZ – asked during the MoND Industry Days when they would be able to commercialize their products, and the question remained unsolved. I hope that the armament agency would coordinate the process of effective sharing the results of R&D programs both as export products and on the civil market.



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

PPŁK REZ. DR INŻ. HENRYK KOWALCZYK

Jest głównym specjalistą badawczo-technicznym w Instytucie Technicznym Wojsk Lotniczych. Uczestniczył w wielu programach badawczych i modernizacyjnych, m.in. „Głuszec” – polskiego śmigłowca wsparcia bojowego, oraz „Orlik MPT” – samolotu szkolno-treningowego.

Lieutenant Colonel (Res) Henryk Kowalczyk, PhD in Engineering – primary research and technology specialist in the Air Force Institute of Technology (Instytut Techniczny Wojsk Lotniczych, IT-WL). He participated in many research and modernization programs like the Głuszec program for Polish combat support helicopter or Orlik MPT program for a training aircraft.

na by rozwiązywać różne problemy, również przy projektach z NCBR-u, gdybym mógł w ustalony sposób kontaktować się bezpośrednio z przedstawicielami wojska.

MS: To, że teraz łatwiej o kontakty między wojskiem a PGZ-etem, jest efektem przejścia naszej Grupy pod

A good example of cooperation between civil and military industry is South Korea where local companies produce for civil and military markets simultaneously.

HK: South Korea is a perfect example of such a cooperation.

JB:: Our industry needs a strong agency to be told exactly what our army needs. However, in Polish conditions, the Swedish solution would work best as we deal with similar problems. The work system in Korean chaebols [companies] wouldn't translate into the Polish job market due to cultural differences, while the French agency is a red-tape urban sprawl.

In Europe, there is an ongoing process to intensify supranational cooperation in defense industry, while Poland remains aside.

JB: In order to think about international cooperation, we first have to establish strong structures of domestic defense industry so it can be a good partner for foreign potentates. Subordinating the Polish Armaments Group to the MoND is a step in this direction. One of the ways to strengthen defense industry is providing money for establishing and later long-term financing the design groups, as it is only them who can actually develop new armaments systems.

MS: I agree. Structural relations must be based on the sources of their financing and on specialists capable of managing new technologies in our country. The institutions themselves are not enough.

JB: Experience of the last 27 years shows that the cooperation of seven or eight entities in one task has not always worked out. Hence, in the Military Institute of Armament Technology (WITU) we have already created three design groups dealing with mechatronics, ballistics, and simulators. Our institute does not cooperate with the industry on the research and development. We want to provide ready solutions and licenses to the companies, what we've actually been doing for several months now. Naturally, our design groups support the implementation of projects in the production process. I hope that similar solutions will be applied in defense industry. In PCO (Industrial Optics Center), a new group has just started its work on optoelectronics.

HK: I also perceive the chance for our defense industry in certain regularity: if armament becomes too techno-

nadzór ministra obrony narodowej, pana Antoniego Macierewicza. Niestety nadal brakuje sformalizowanych zasad w tej sprawie. Za granicą, chociażby we Francji, bezpośrednie kontakty między wojskowymi zaangażowanymi w konkretny projekt a przedstawicielami wykonawcy są normalnością.

Taki kraj jak nasz nigdy nie będzie samowystarczalny, jeśli chodzi o uzbrojenie. Nawet Francuzi i Niemcy muszą importować niektóre systemy.

MS: Oczywiście pewne zakupy uzbrojenia lub licencji na jego produkcję będą konieczne, ale powinniśmy starać się polonizować nabyte technologie, tworzyć z ich wykorzystaniem własne produkty. Taką drogą przez lata szła wspomniana już Korea Południowa. Najgorsze, co możemy zrobić, to pozwolić ograniczyć się do prostego montażu. Podstawowe cele systemu, który chcemy stworzyć, są takie: wiedzieć, co w Polsce mamy i czego będziemy potrzebować w przyszłości oraz wesprzeć naszych naukowców, by podejmowali pracę w krajowych firmach zbrojeniowych, a nie wyjeżdżali za granicę.

Czy dopuszczalna będzie sytuacja, w której do jednego projektu zostaną zaangażowane dwa zespoły lub więcej?

MS: Za wcześniej na szczegółowe rozwiązania. Uważam, że konkurencja powinna być dopuszczalna na zdrowych zasadach, przynajmniej w początkowej fazie. Niemniej jednak należałoby dalsze prace powierzać zespołowi, który osiągnąłby najlepsze wyniki, ale z wykorzystaniem lepszych rozwiązań cząstkowych innych zespołów.

JB: Nie wiem, czy nas stać na takie rozwiązanie.

HK: Dziwne umiejscowienie wojskowych instytutów badawczych w Polsce powoduje, że od wielu lat praktycznie nie uczestniczymy w przygotowywaniu wymagań taktyczno-technicznych dla sprzętu, który siły zbrojne chcą zamówić. Obowiązek ten w całości spada na coraz mniej liczne zespoły wojskowe jako rodzaj ich pracy dodatkowej. Warto by wrócić do udziału instytucji badawczych, takich jak nasze instytuty, aby tak jak za granicą, wykorzystywać nas do przygotowywania różnych opracowań i analiz na potrzeby ministerstwa obrony.

MS: Dlatego konieczne jest stworzenie funduszu, w innym wypadku zostaniemy wyeliminowani z rynku. Podczas ubiegłorocznej edycji kursu SERA 28, organizowanego w Paryżu dla menedżerów wyższego szczebla

logically advanced and very expensive, than simpler and cheaper solutions come up. This would be a chance for many Polish designs, including our Grot 2 light aircraft. In the United States, the discussion on lighter and cheaper than F-35 combat aircraft has already begun.

JB: The idea of famous thousand drones, about which minister Antoni Macierewicz would say, originated from the fact that a dragonfly drone is very cheap. The main requirement I set to the design bureau was the cost and, of course, quality. Relatively low cost of drones makes their use popular, which will change the battlefield because a drone, much cheaper than an anti-tank missile, is as effective in anti-tank warfare. I know that the work on unmanned aerial vehicles such as the dragonfly drone is conducted in several countries. In Poland, the problem is that the army doesn't necessarily know how to use them. That's why we decided to train drone operators.

HK: One of the basics in the process of creating a product meeting a customer's expectations is a direct contact with that customer. Yet in Poland, contacts between the army and industry representatives are very restricted by law, which is to prevent corruption. My experience shows that it's much easier and faster to solve different problems, also with the NCRD projects, when you directly contact military representatives.

MS: Right now it's easier for PGZ to contact the army, and it is because the Polish Armaments Group has recently become subordinate to the defense minister, Antoni Macierewicz. Unfortunately, this is still not formalized. Abroad, in France for example, direct contact between the army representatives engaged in a certain project and a contractor is customary.

Such a country as ours will never be self-reliant, if it comes to armament. Even France and Germany have to import some systems.

MS: Of course, purchasing some armament or license for its production will be necessary, but we should try to polonize acquired technologies, and create our own products with their use. South Korea used to do that for years. The worst we can do is to allow for restricting our production activity to mere assembly. The basic goals of the system we would like to establish are as follows: know what we have in Poland and what we will need in the future, and support our scientists in

MARCIN SEK:

Konieczne będą pewne zakupy uzbrojenia lub licencji na jego produkcję, ale powinniśmy się starać polonizować nabyte technologie, tworzyć z ich wykorzystaniem własne produkty

The purchase of some armament or license for its production will be necessary, but we should try to polonize acquired technologies, and create our own products with their use

w przemyśle zbrojeniowym, można było zauważyć lansowany przez Niemcy pomysł jednego dużego europejskiego podmiotu. W tym rozwiązaniu nie byłoby miejsca dla nas. Warto uczestniczyć w dialogu międzynarodowym, aby wyrazić swoją opinię i stanowisko dobre również dla polskich interesów.

HK: Trzeba pamiętać, że jednym ze sposobów eliminowania z rynku małych graczy są różnego rodzaju nowe normy i certyfikaty. Często jedynymi ośrodkami je tworzącymi oraz mającymi prawo przeprowadzać badania i wydawać certyfikaty są firmy i instytuty powiązane z wielkimi koncernami. Czy uzyskamy tam certyfikat na nasz produkt, szczególnie gdy jest on konkurencyjny?

taking their jobs in Polish defense companies and not leaving for abroad.

Will the situation where to one project two or more design teams are engaged be acceptable?

MS: It's too early to present details. I think that competition should have access based on fair rules, at least at the beginning. However, further work should be entrusted to the group with the best results, but also incorporate good solutions invented by other groups.

JB: I'm not sure we can afford such a solution.

HK: Strange locations of R&D institutes in Poland is the reason why for many years we have practically not been participating in preparation of tactical and technological requirements for the equipment the Polish Armed Forces want to order. This duty falls entirely on less and less numerous military groups in the form of additional work. It would be worth to come back to the participation of R&D institutions, such as our institutes, so as to – as they do it in other countries – use our help to prepare different outlines or analyses for the MoND.

MS: Therefore, it's necessary to create a fund, in other case we would be eliminated from the market. During the last year's SERA 28 organized in Paris for managers of higher level in defense industry, noticeable was the idea, promoted by Germany, of one big European entity. Such solution wouldn't leave much space for us. It is worth to participate in international dialogue in order to express your own opinion and standpoint supporting Polish interest.

HK: We should keep in mind that one of the ways to eliminate small players from the market are different kinds of new norms and certificates. Quite frequently, the only centers eligible for creating such norms, conducting surveys, or issuing certificates are companies and institutes related to big companies. Will we receive from them a license for our product which is competitive?

Isn't our problem a continuous dispersion of limited financial resources? We're trying to do all, perhaps we should rather spend our money on strategic projects? Is it profitable to design something which the army will eventually order in scarce numbers? It seems like a waste of money.

Czy naszym problem nie jest ciągle rozdrobnienie ograniczonych środków finansowych? Próbowaliśmy rozbicić wszystko, a może należałoby skoncentrować fundusze na strategicznych projektach? Czy warto projektować coś, co wojsko zamówi w kilku egzemplarzach? Przecież to strata pieniędzy.

HK: Sprzęt wyprodukowany w kilku egzemplarzach nie zawsze oznacza stracone pieniądze. Technologie stworzone przy okazji prac nad systemem przeciwlotniczym Loara zostały wykorzystane w wielu innych projektach.

No tak, tylko że podjęto prace nad Loarą, bo wojsko deklarowało zainteresowanie dużą liczbą zestawów, a dopiero potem się wycofało.

JB: Temu, że uruchamiano niepotrzebne prace lub rezygnowano z projektu, na który już wydano duże pieniądze, sprzyjał fakt, że w MON-ie była rozmyta odpowiedzialność za takie decyzje. Nikt więc nie ponosi konsekwencji za popełnione błędy. Wróć teraz do mojej pierwszej wypowiedzi. Konieczny jest jeden pion funkcjonalny, który będzie podejmował decyzje i będzie z nich rozliczany. Niezbędne są w wojsku komisje zadaniowe, ale funkcjonująca w MON-ie kolegialność przynosi kuriozalne efekty, bo nie istnieje coś takiego jak pamięć instytucyjna. Zdarza się, że na posiedzenia komisji są wysyłani przypadkowi ludzie. Podczas realizacji pracy badawczo-rozwojowej przez NCBR problem pojawia się, gdy zachodzi konieczność wprowadzenia jakichś zmian przez przemysł lub MON. Otóż nie mogą one zdecydować w bezpośrednich uzgodnieniach. Resort nie jest stroną umowy, więc nie ma terminu, w którym byłby zobowiązany udzielić odpowiedzi na propozycje przemysłu. Tymczasem umowa z NCBR-em zawiera określone ramy czasowe wykonania pracy.

HK: Dużym problemem są dla nas ciągle zmiany wymagań. Realizacja ustalonych założeń wymaga czasu, a niekiedy wygląda to tak, jakby zmiany wymagań wprowadzano bezkrytycznie po jakiejś wystawie czy przejrzeniu katalogu. Konsekwencją jest z kolei konieczność zmiany opracowanych rozwiązań, wydłużenie realizacji projektu nawet o lata. Bywa też, że przez to staje się on niewykonalny, a niezależnie od wykonawcy opóźnienie służy do wykazania potrzeby rezygnacji z projektu. Dlatego na pewnym etapie prac wymagania powinny być zamrożone i oceniane dopiero po ich spełnieniu. Nie najlepiej jest też z recenzjami projektów, a na tej podstawie NCBR je akceptuje. Otóż przed kilku laty z własnych środków opracowywaliśmy wspólnie z PCO wyświetlacz nahełmowy.

HK: The equipment produced in just several copies doesn't always mean wasted money. Technologies invented while producing the Loara anti-aircraft system were implemented in many other projects.

Agree, but still, the work on Loara was launched after the army declared it wanted many Loara sets, and only after withdrew from it.

JB: The fact that in the MoND some work used to be unnecessarily done or was brought to a halt after a lot of money had already been spent on it stems from lack of a person or department responsible for decision-making. Nobody was responsible nor bore any consequences for failures or mistakes. Here I repeat what I already said: one functional department is needed, eligible for making decisions and being responsible for them. Task forces are necessary in the army, but collegiality present in the MoND gives peculiar effects because there's no such thing as institutional memory there. What happens is delegating accidental people for task force meetings. During the research and development work in the NCRD, a problem arises when some changes have to be introduced by the industry or the MoND: they cannot decide through direct agreements. The ministry is not a party in the contract so it doesn't have any deadline obliging it to respond to the industry's suggestions. Whereas the contract with the NCRD defines deadlines for specific activities.

HK: Also, continuous changes of requirements are a significant problem for us. The implementation of agreed guidelines takes time, and sometimes it seems as if the changes in requirements were introduced indiscriminately after visiting an exhibition or flipping through a catalogue. As a result, another changes in already outlined solutions must be introduced, which prolongs the project implementation even for a few years. It may also happen that after such changes the project becomes unfeasible, and any delay resulting from it leads to the cease of the project although a contractor is not at fault. Hence, at the certain stage of the project, the requirements should be frozen and assessed only after they are implemented. The situation with project reviews is not so good either, and it is on their basis that the NCRD accepts the projects. Several years ago, in cooperation with PCO, we developed a helmet-mounted display, contributing our own financial resources. We tried to apply for additional resources to the NCRD, but the reviewers decided that in Poland there are neither technological capabilities nor

Próbowaliśmy aplikować o dodatkowe środki na ten cel z NCBR-u, ale recenzenci stwierdzili, że w Polsce nie ma ani możliwości technologicznych, ani specjalistów, którzy mogliby taki wyrób stworzyć. Dwa, trzy tygodnie później pokazaliśmy demonstrator w Kielcach. Na szczęście w kolejnej aplikacji, dotyczącej celownika nahełmowego, nikt już nie wątpił w polskie możliwości i ten projekt NCBR wsparło. Wśród osób oceniających niekiedy brakuje takich, które znają się na specyfice techniki woj-skowej.

Czy macie problemy z tym, że młodzi pracownicy naukowemu odchodzą do innych instytucji?

JB: Rocznie zatrudniamy 10–20 osób, a odchodzą, zwykle z przyczyn losowych, jedna lub dwie. Stworzyliśmy sprawnie działający fundusz motywacyjny, dzięki któremu powiązaliśmy efekty pracy z wynagrodzeniem, można więc zarobić dodatkowe pieniądze. To konkret, który szczególnie przemawia do młodych. Poza tym nasi pracownicy to pasjonaci, którzy nieprzypadkowo wiążą swoje kariery z obszarem uzbrojenia.

HK: U nas sytuacja wygląda podobnie. Też przychodzą ludzie zafascynowani lotnictwem. Niestety na ich rozwój wpływa komercjalizacja. Powoduje ona, że nie zawsze można sobie pozwolić na przydzielenie młodemu pracownikowi mentora, osoby z dużym doświadczeniem, która jego entuzjazm ukierunkuje i przyspieszy rozwój. Należy mieć również na uwadze, że nasza praca w instytutach nie ogranicza się do kodeksowych ośmiu godzin, więc czasami niektórzy, zazwyczaj z powodów rodzinnych, szukają mniej absorbującego zajęcia. Znacznie większe trudności kadrowe są w zakładach zbrojeniowych i nie ograniczają się do inżynierów. To konsekwencja niemal całkowitej likwidacji szkolnictwa zawodowego w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku.

MS: W spółkach PGZ problemem nie jest odchodzenie młodych pracowników, tylko w ogóle ich brak. W niektórych wypadkach średnia wieku zatrudnionych przekracza 50 lat. Dostrzegalna jest luka między najmłodszymi pracownikami, którzy muszą się jeszcze wiele nauczyć a doświadczonymi. Staramy się ją zlikwidować. Ostatnio podpisaliśmy porozumienia z 12 uczelniami, a wcześniej z kilkoma innymi, które dadzą możliwość wykorzystania w naszych spółkach ich kadry naukowej. Aby w przyszłości znowu nie pojawiła się luka pokoleniowa, tworzymy system stażów i stypendiów dla studentów. ■

specialists who could make such a product. Two or three weeks later we did show our demonstrator in Kielce MSPO exhibition. Fortunately, with another application for helmet-mounted sight and display nobody ever doubted Polish capabilities, and the NCRD supported the project. Sometimes, some reviewers don't know much about the specificity of military technology.

Do you have a problem of young academic employees leaving for other institutions?

JB: We employ about 10-20 people a year, and usually they quit for personal reasons, one or two of them. We have established a motivational fund where employee's performance and work effects are properly benefited, which is additional money. This is enchanting to young people in particular. Apart from that, our employees are enthusiasts who intentionally choose their careers in armament development.

HK: We have a similar situation. We also employ people fascinated with aviation. Unfortunately, commercialization affects them. As a result, we can't always provide a young worker with a person more experienced, who could be his or her mentor and could help to translate this enthusiasm into a growing career with prospects. It should also be taken into account that our work here doesn't fit into a regular eight-hour work-day, and sometimes some of us, usually for family reasons, look for other less time-consuming occupation. Defense companies have more difficulties with completing personnel, not only limited to engineers. This is the result of almost total elimination of vocational training schools in the 1990s.

MS: In the Polish Armaments Group companies young employees quitting their jobs are not a problem; the problem is that there are no young employees at all. In some cases, the average age of our employees is over 50. There is a noticeable gap between the youngest workers, who have still a lot to learn, and the experienced ones. We're making efforts to eliminate this gap. As of recently, we've signed agreements with 12 higher education schools, and earlier with several others, which would give us opportunity to take advantage of their academic personnel. In order to avoid such generation gap in the future, we're creating a system of trainings, apprenticeship, and scholarships for students. ■

TRANSLATED BY ANITA KWATEROWSKA



PAWEŁ BEHRENDT

Na podbój rynków

**Korea Południowa może być atrakcyjnym partnerem
w modernizacji sprzętu dla polskich żołnierzy.**

Republika Korei formalnie ciągle pozostaje w stanie wojny z Koreańską Republiką Ludowo-Demokratyczną. Nic zatem dziwnego, że przykłada dużą wagę do właściwego zaopatrzenia swoich sił zbrojnych. Już w latach siedemdziesiątych XX wieku, za rządów gen. Park Chung-hee, ojca byłej prezydent Park Geun-hye, uznano, że nie można polegać wyłącznie na imporcie uzbrojenia. Tyle że większość zakładów przemysłowych zbudowanych za japońskich rządów kolonialnych znalazła się po 1945 roku w strefie radzieckiej, czyli późniejszej Korei Północnej. Znaczącą przeszkodą w budowaniu nowoczesnego państwa była wojna koreańska, a przedwojenny poziom PKB udało się osiągnąć w roku 1956. Od tamtej pory nastąpił jednak dynamiczny rozwój gospodarki i mimo licznych zawirowań

co dekadę PKB Korei Południowej ulega podwojeniu, w 2016 roku osiągnęło prawie 1,4 bln dolarów.

Pomyślna koniunktura i umocnienie się rodzimych koncernów – chaebol – pozwoliły na rozbudowę przemysłu zbrojeniowego. Lata konsekwentnej i racjonalnej polityki doprowadziły do sytuacji, w której Republika Korei jest w stanie samodzielnie zaspokoić większość potrzeb swoich sił zbrojnych i zdobyć pewną pozycję na światowych rynkach. Po zdobyciu na początku stulecia pierwszych poważnych kontraktów w Azji, jednym z istotnych partnerów południowokoreańskiego przemysłu zbrojeniowego stała się Turcja, a niedawno do grona współpracowników dołączyła także Polska.

Już w połowie lat siedemdziesiątych lokalny przemysł stoczniowy zaczął w coraz większym stopniu zagrażać

LATA KONSE- KWENTNEJ I RACJO- NALNEJ POLITYKI

DOPROWADZIŁY
DO SYTUACJI,
W KTÓREJ REPUBLI-
KA KOREI JEST
W STANIE SAMO-
DZIELNIE ZASPOKO-
IĆ WIĘKSZOŚĆ
POTRZEB SWOICH
SIŁ ZBROJNYCH

dominującym wówczas w tej dziedzinie Japończykom. Pierwsze kroki były ostrożne – od roku 1978 rozpoczęto wprowadzać do służby nieduże patrolowce typu Chamsuri. To były pierwsze południowokoreańskie okręty, które sprzedano za granicę – 19 patrolowców trafiło w latach 2000–2011 do Bangladeszu, Timoru Wschodniego, Ghany, Kazachstanu i Filipin.

W latach osiemdziesiątych przyszła kolej na większe i bardziej skomplikowane okręty, korwety typu Donghae i Pohang oraz fregaty Ulsan. Systematycznie doskonalone umiejętności pozwoliły w końcu na budowę tak skomplikowanych jednostek, jak uniwersalny okręt desantowy Dokdo, niszczyciele typu Sejongdaewang-Ham z systemem Aegis, notabene największe okręty świata tej klasy, oraz fregaty Incheon.

Ciekawa jest historia południowokoreańskiego programu budowy okrętów podwodnych. Na strategicznego partnera w tej dziedzinie wybrano Niemcy. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych kupiono dziewięć jednostek typu 209. Pierwsza, Chang Bogo, powstała w stoczni HDW w Kilonii, a kolejne zbudowano już w Korei Południowej. Po tych doświadczeniach w 2000 roku zdecydowano się kupić trzy okręty oferowanego przez HDW typu 214. Tym razem wszystkie jednostki Son Wonil powstały w południowokoreańskiej stoczni Hyundai Heavy Industries w Ulsan. W następnych latach Seul zdecydował się zamówić kolejnych sześć ulepszonych okrętów – w dwóch transzach po trzy egzemplarze (dostawy do końca roku 2019). W myśl umowy z HDW Koreańczycy dostali prawo do modernizacji i sprzedaży jednostek typu 209 i w 2011 Indonezja kupiła trzy okręty udoskonalonego typu Chang Bogo.

Kraj ten stał się głównym partnerem południowokoreańskiego przemysłu zbrojeniowego w Azji. W 2003 roku Dżakarta zamówiła u Daewoo okręt desantowy-dok Tanjung Dalpele. To pierwsza tak duża jednostka, którą Koreańczycy sprzedali za granicę. Jeszcze w trakcie budowy dokonano na życzenie klienta jej konwersji na statek szpitalny. Sam projekt został później wykorzystany do budowy desantowców typu Makassar (w indonezyjskich stocznich z technicznym wsparciem Daewoo). Indonezyjczycy zaczęli te jednostki oferować na eksport i w budowie są kolejne cztery – po dwie dla Peru i Filipin.

DOMINACJA W PRZESTWORZACH

Stopniowo rozwijał się także południowokoreański przemysł lotniczy. W 1989 roku uruchomiono licencyjną produkcję śmigłowców MBB BO-105 oraz MBB/Kawasaki BK-117. Dwa lata później udało się zawrzeć ze Stanami Zjednoczonymi porozumienie o zakupie licencji na produkcję myśliwców F-16. Łącznie na potrzeby sił powietrznych Republiki Korei wyprodukowano →

140 samolotów oznaczonych jako KF-16. Z kolei w 2002 roku Seul zdecydował się pozyskać 59 myśliwców wielozadaniowych F-15E. W ramach offsetu lokalny przemysł wyprodukował 40% elementów konstrukcji, w tym skrzydła i awionikę, oraz dokonywał finalnego montażu. Samoloty te zostały oznaczone jako F-15K.

Już na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy trwały jeszcze negocjacje w sprawie pozyskania F-16 i zaczęto rozważać zakup F-15, uświadomiono sobie konieczność posiadania samolotu do szkolenia pilotów. Prace nad taką konstrukcją podjęto w roku 1992, ale ze względu na problemy finansowe projekt był gotowy dopiero w 1999 roku. Wtedy też dotknięte kryzysem finansowym Samsung Aerospace, Daewoo Heavy Industries (Aerospace Division) oraz Hyundai Space and Aircraft pod egidą rządu powołały spółkę joint venture Korean Aerospace Industries (KAI). Trzy lata później oblatano prototyp samolotu szkolenia zaawansowanego T-50 Golden Eagle. Produkcja seryjna ruszyła w 2005 roku i jednocześnie rozpoczęto intensywną promocję tego produktu na rynkach zagranicznych. Żeby zwiększyć szanse sprzedaży, opracowano wersje szkolno-bojową TA-50 oraz bojową FA-50.

Już zanotowano spore sukcesy, jeśli chodzi o sprzedaż tych maszyn – Indonezja kupiła 16 sztuk (T-50I), a Tajlandia zamówiła pięć w wariantcie T-50TH. Do tej pory największym powodzeniem cieszy się wersja FA-50 – 12 egzemplarzy zamówiły Filipiny, a kolejne 24, oznaczone T-50IQ, będą zbudowane dla Iraku. Zainteresowane samolotami KAI są także m.in.: Wietnam, Brunei, Pakistan, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Azerbejdżan oraz Hiszpania. Pojawił się jednak problem – ponieważ w tych maszynach jest montowana amerykańska elektronika, sprzedaż wymaga zgody Waszyngtonu.

Ta kwestia uwidoczniła się podczas prac nad południowokoreańskim myśliwcem V generacji – KF-X. Seul zabiegał o to, aby w ramach offsetu na zakup myśliwców F-35 doszło do transferu technologii radarów z aktywnym skanowaniem fazowym (AESA). Koncern Lockheed Martin chciał przystać na takie warunki, ale Biały Dom wyraził zgodę jedynie pod warunkiem integracji i sprzedaży do państw trzecich pod kontrolą USA. Podobny problem dotyczy systemów śledzenia w podczerwieni i walki radioelektronicznej oraz zasobników celowniczych. Koreańczycy uznali, że z dwoma ostatnimi zadaniami poradzą sobie samodzielnie, ale radar AESA i system śledzenia w podczerwieni będą wymagać pomocy z zagranicy. W roli partnerów wymienia się europejskie koncerny Dassault i Eurofighter. Działania takie oznaczają jednak zwiększenie kosztów. Kontynuacja programu stała pod znakiem zapytania, ale przyszła pomoc ze strony Indonezji. Pod koniec grudnia 2015 roku podpisano umowę

Prace nad K2 Black Panther trwały bardzo długo, bo wojsko-
wi chcieli dostać
pojazd jak naj-
wyższej jakości.



o rozpoczęciu współpracy w rozwijaniu KF-X. Dżakarta ma pokryć 20% kosztów, szacowanych na około 15 mld dolarów, oraz otrzymać jeden z sześciu prototypów. Planuje się, że produkcja myśliwca ruszy w roku 2025.

Dążenie do jak największego uniezależnienia się od USA jest widoczne w całym południowokoreańskim przemyśle lotniczym. W konkursie na nowy śmigłowiec wielozadaniowy dla wojska i policji zwyciężył KUH-1 Surion, czyli powstała we współpracy KAI i Eurocoptera wersja rozwojowa EC725 Caracal. Został on zaoferowany Indiom w ramach tamtejszego „przetargu stulecia”, obejmującego zakup od 440 do nawet 600 maszyn.

Republika Korei rozpoczęła także ambitny program budowy bezzałogowców – bojowego o ograniczonej wykrywalności oraz mniejszego, przeznaczonego do wykrywania intruzów na terenie obiektów wojskowych. W grudniu 2015 roku podpisano umowę z Korean Air Aerospace Division na dostawy mniej zaawansowanego i spektakularnego taktycznego drona. Producent zapewnia, że w konstrukcji wykorzystuje się niemal wyłącznie rodzime technologie, a udział części importowanych zredukowano



Niszczyciel typu
Gwanggaeto
the Great



W 2005 roku ruszyła produkcja seryjna rodzimego T-50.

U.S. NAVY
DAMIAN FIGAJ

do 5%. Koreańczycy myślą już także o eksporcie do krajów Azji Środkowej i Ameryki Łacińskiej.

EKSPANSJA NA LĄDZIE

Głównym zagrożeniem dla Republiki Korei od lat są północnokoreańskie wojska lądowe. Dlatego największy nacisk położono na projektowanie i produkcję sprzętu dla armii. Decyzja o skonstruowaniu własnego czołgu podstawowego zapadła jeszcze w latach siedemdziesiątych. W tym wypadku również skorzystano z amerykańskiej pomocy i na początku następnej dekady ruszyły prace. W rezultacie wprowadzony pod koniec lat osiemdziesiątych typ 88 (nazwę zmieniono później na K1) z wyglądu przypomina pomniejszoną wersję M1 Abrams.

Zachęceni sukcesem Koreańczycy w 1993 roku przystąpili do budowy kolejnego czołgu. Tym razem inspiracją był francuski AMX-56 Leclerc. Prace nad K2 Black Panther trwały bardzo długo, bo wojskowi chcieli dostać pojazd jak najwyższej jakości, z dużym potencjałem modernizacyjnym. Próby prototypów zakończyły się w roku 2007, a pierwsze wozy przekazano armii w 2014 roku.

Taki wysiłek się jednak opłacał. Na początku XXI wieku Turcja rozpoczęła poszukiwania czołgu nowej generacji. Co prawda zdecydowała się skonstruować go samodzielnie, ale okazało się to zbyt dużym wyzwaniem dla rozwijającego się tureckiego przemysłu zbrojeniowego i w rezultacie projekt miał być wykonany przy pomocy partnera zagranicznego. Rywalizacja o kontrakt rozgrywała się pomiędzy niemieckim KMW (Leopard 2), francuskim GIAT (Leclerc) oraz koreańskim Hyundai Rotem (K2), który w 2008 roku niespodziewanie został ogłoszony zwycięzcą. Wartość umowy jest szacowana na 330–400 mln dolarów. Transfer technologii przebiegł sprawnie i produkcja czołgu Altay może się rozpocząć jeszcze w tym roku, a sami Turcy przystąpili do intensywnego promowania go w krajach Bliskiego Wschodu. Korea natomiast zaoferowała Peru wóz K2.

Nie był to pierwszy przykład południowokoreańsko-tureckiej współpracy. W połowie lat osiemdziesiątych Samsung Techwin uruchomił licencyjną produkcję amerykańskich haubic samobieżnych M109A2 (K55). Jeszcze pod koniec tej samej dekady podjęto prace nad samobieżną haubicą kalibru 155 mm nowej generacji. W rezultacie po dziesięciu latach powstała K9 Thunder. Wówczas Turcja szukała następcy M109, zawarła więc z Koreą porozumienie dotyczące transferu technologii, dzięki któremu powstała T-155 Firtina. Ogólna wartość kontraktu wyniosła miliard dolarów. Pierwszych osiem sztuk tych pojazdów dostarczył Samsung, a produkcja pozostałych ponad 300 egzemplarzy jest kontynuowana w Turcji. Państwo to może eksportować T-155, podobnie jak czołg Altay. Taka sytuacja prowadzi do rywalizacji, tak było np. z ofertą dla Azerbejdżanu, kiedy Baku ostatecznie wybrało firtinę.

Koreańczycy jednak nie mogą narzekać na sprzedaż K9. W październiku 2016 roku zwyciężyła ona w konkursie na nową haubicę samobieżną dla Indii. Kontrakt na dostawę setki pojazdów, z opcją na 50 kolejnych, jest szacowany na 800 mln dolarów. Użytkownikiem K9, a właściwie jego podwozia, zostanie też Polska. Krajowe UPG-NG nie spełniło wymagań wojskowych. Z czasem zaczęto rozważać wykorzystanie w haubicy samobieżnej Krab podwozia zagranicznego. Od początku brano pod uwagę K9 i firtinę. Ostatecznie w 2014 roku podpisano umowę na dostarczenie w latach 2015–2017 przez Samsunga 24 podwozi oraz transfer technologii. W latach 2018–2022 Korea Południowa przekaze kolejnych 12 sztuk, a 84 powstaną w Stalowej Woli. Coraz bardziej zainteresowana Europą Środkową Republika Korei jawi się jako interesujący partner w procesie modernizacji sprzętu dla polskich żołnierzy. ■

PAWEŁ BEHRENDT jest publicystą portalu konflikty.pl oraz ekspertem Centrum Studiów Polska-Azja.

TADEUSZ WRÓBEL

Strategiczni gracze

Chociaż od lat na światowym rynku zbrojeniowym najwięksi potentaci się nie zmieniają, to pojawiają się też nowi gracze, którzy szturmem zdobywają kolejne zamówienia.

Według zestawienia przygotowanego przez portal Defense News ubiegłoroczne przychody stu największych firm zbrojeniowych okazały się o 3,6% wyższe niż w roku 2015 i wyniosły 364,8 mld dolarów. Niezmiennie największe na rynku są przedsiębiorstwa ze Stanów Zjednoczonych i Europy Zachodniej. W gronie tych z wielomiliardowymi przychodami znalazły się podmioty z Rosji, Republiki Korei, Japonii i Izraela.

NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN

W 2016 roku w pierwszej dziesiątce, gdy chodzi o przychody ze sprzedaży dóbr i usług w sferze obronnej, były te same firmy co rok wcześniej. Nie odnotowano zmian na pierwszych czterech miejscach, które zajęły amerykańskie koncerny Lockheed Martin, Boeing i Raytheon Company oraz brytyjski BAE Systems. Na piątej i szóstej pozycji uplasowały się dwa następne zakłady zza Atlantyku – Northrop Grumman i General Dynamics. W porównaniu z 2015 rokiem zamieniły się one miejscami. Siódme zachował europejski Airbus. Kolejnością zamieniły się też amerykańska firma L3 Technologies i włoska Leonardo, czyli były odpowiednio na ósmej i dziewiątej pozycji. Dziesiąty w 2015 i 2016 roku był francuski Thales. Na pierwszych



KLEMEN MISIC/FOTOLIA

Dla Boeinga obronność to 31% przychodów, a dla Airbusa zaledwie 17%, ponieważ oba koncerny mają ogromne przychody m.in. ze sprzedaży cywilnych samolotów pasażerskich.

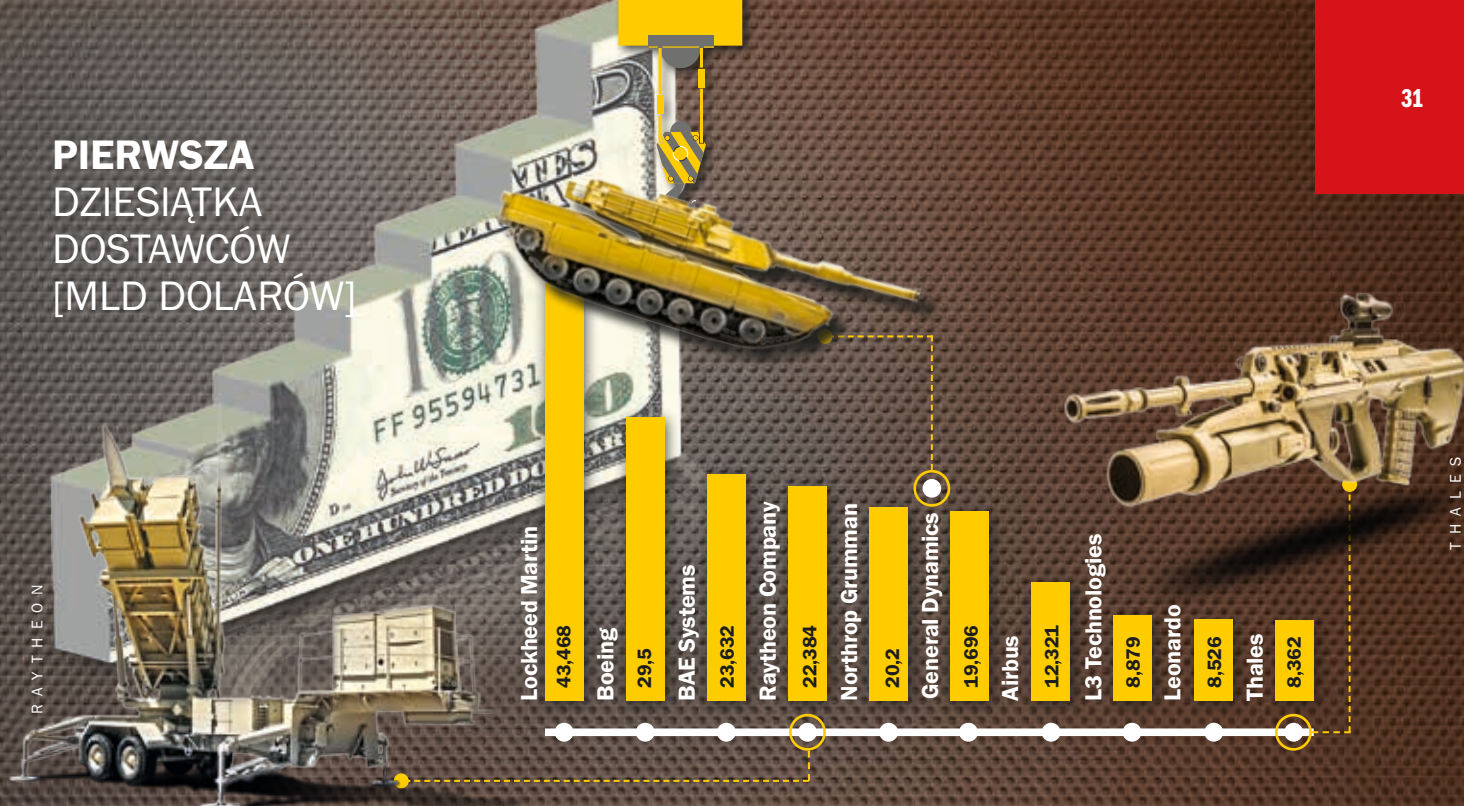
dziesięciu producentów przypadło około 197 mld dolarów przychodów, czyli 54% sumy osiągniętej przez całą setkę. Pierwszych 25 zagarnęło zaś trzy czwarte tej kwoty.

Gdy chodzi o drugą dziesiątkę producentów, warto odnotować pojawienie się na 19. miejscu południowokoreańskiej firmy Hanhwa z przychodem około 4,215 mld dolarów, tzn. o 36% większym niż w 2015 roku, gdy uplasowała się ona na 38. miejscu. Taki duży awans wynikł z uwzględnienia przychodów firmy Techwin odkupionej od Samsunga Electronics. Oprócz niej, brytyjskiego Rolls-Royce'a oraz kolejnych zakładów z USA w drugiej dziesiątce znalazły się dwie firmy działające w Rosji. Podobnie jak w 2015 roku, 11. miejsce utrzymał koncern obrony powietrzno-kosmicznej Almaz-Antiej z przychodami około 7,413 mld dolarów. Wyrobami rosyjskiego giganta są systemy obrony po-

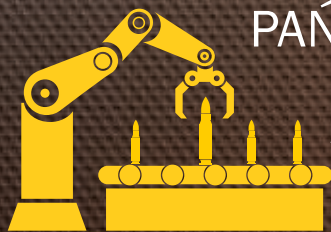


**PRZYCHODY
ZE SPRZEDAŻY
DÓBR I USŁUG
w sferze obronnej
stu największych
firm wyniosły
w 2016 roku
364,8 mld dolarów.**

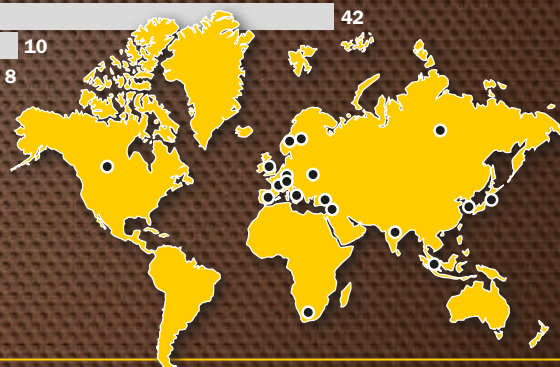
PIERWSZA DZIESIĄTKA DOSTAWCÓW [MLD DOLARÓW]



LICZBA FIRM Z POSZCZEGÓLNYCH PAŃSTW



USA	42
Wielka Brytania	10
Japonia	8
Rosja	6
Francja	5
Izrael	4
Republika Korei, Turcja	3
Indie, Niemcy, Norwegia, Włochy	2
Australia, Brazylia, Finlandia, Hiszpania, Kanada, RPA, Singapur, Szwajcaria, Szwecja, Ukraina	1
Wielonarodowa firma (Airbus, w którym udziały mają Francja, Niemcy, Hiszpania)	1



wietrznej, m.in. S-300, S-400 czy S-500. Z pozycji 16. na 14. awansowała Zjednoczona Korporacja Lotnicza, rosyjski producent samolotów wojskowych, takich jak Il-76, MiG-35, Su-30, Su-33, Su-34, Su-35 i Tu-160. Jej przychody ze sfery obronnej wyniosły w minionym roku około 5,637 mld dolarów.

WZLOTY I UPADKI

Na 25. miejscu uplasowała się brytyjska firma GKN Aerospace, która rok wcześniej była na początku siódmej dziesiątki. Jej przychody ze sfery obronnej były o 27% większe i zamknęły się w kwocie ponad 3,316 mld dolarów. Brytyjska firma jest dostawcą dla przemysłu lotniczego i kosmicznego. W jej zakładach powstają m.in. elementy płatowców, silniki, ale też szkło pancerne i owiewki kabin dla samolotów wielozadaniowych.

Znaczący awans odnotowała japońska firma Komatsu Ltd. (przychody około 885 mln dolarów), która z miejsca 100. przeskoczyła na 69. W jej przypadku wzrost przychodów ze sfery obronnej wyniósł na prze-

strzeni roku aż 187%. Firma należy do największych na świecie producentów sprzętu budowlanego i górniczego, jej wyroby militarne zaś trafiają na krajowy rynek. Są to m.in. lekkie pojazdy opancerzone i kołowe transportery opancerzone typ 96. Inna japońska firma, Fujitsu Ltd. (przychody około 697 mln dolarów), działająca w obszarze elektroniki, informatyki i łączności, przesunęła się z 95. na 81. miejsce. Z kolei Mitsubishi Heavy Industries Ltd. przeskoczyła z miejsca 36. na 21. Wytworza ona szeroką gamę uzbrojenia i sprzętu wojskowego – od czołgów i samobieżnych armatohaubic, przez okręty podwodne i nawodne, po samoloty bojowe i śmigłowce oraz systemy obrony powietrznej.

Spory awans, z 60. na 45. miejsce, ma na swoim koncie rosyjska Uralska Fabryka Wagonów (przychód około 1,584 mld dolarów), od dziesięcioleci najbardziej znana z produkcji czołgów. Obecnie są to zmodernizowane T-72 oraz T-90S. W ofercie rosyjskiego producenta są też różne pojazdy pancerne na podwoziach czołgowych, np. wozy wsparcia ogniowego Terminator →

NIEZMIENNIE NAJWIĘKSZE NA RYNKU SĄ PRZEDSIĘBIOR- STWA ZE STA- NÓW ZJEDNO- CZONYCH I EUROPY ZACHODNIEJ

i Terminator 2. Z kolei z 64. na 52. miejsce przesunęła się amerykańska firma Oshkosh Defense (przychód około 1,351 mld dolarów), główny dostawca pojazdów kołowych, w tym ciężarówek, dla sił zbrojnych USA. Podobnie awansował, z 79. na 66. miejsce, jedyny przedstawiciel Ameryki Południowej w pierwszej setce, brazylijska firma lotnicza Embraer (przychód 937,2 mln dolarów), która oferuje lekkie samoloty śmigłowe A-29 Super Tucano i pracuje nad odrzutowym samolotem transportowym i tankowania powietrznego KC-390. Brazylijski producent lotniczy ma też w swej ofercie systemy wsparcia dowodzenia i rozpoznania oraz radary. O dziesięć miejsc do przodu, na 87., przesunął się jedyny reprezentant Afryki, firma Denel z Republiki Południowej Afryki z przychodami około 560 mln dolarów.

Jednak najbardziej spektakularnym sukcesem jest 46. miejsce amerykańskiej firmy KBR, która w 2015 roku była poza pierwszą setką. Świadcząc różnego typu usługi ze sfery militarnej, miała przychód w wysokości około 1,533 mld dolarów, aż o 186% większy niż w 2015 roku. Podobnie jak w przypadku Hanhwa, ów wzrost wynika z dodania przychodów dwóch zakupionych firm, Honeywell Technology Solutions i Wyle.

Nie dla wszystkich firm rok 2016 był równie udany. Francuska Safran spadła z 21. na 49. miejsce. Producent ten ma w swej ofercie awionikę, urządzenia optoelektroniczne, napędy dla pocisków rakietowych, systemy nawigacyjne i naprowadzania oraz bezzałogowce. O dziesięć miejsc w dół, na 64., przesunął się też inny francuski koncern, Nexter (przychody ponad 987 mln dolarów), dostawca uzbrojenia dla wojsk lądowych. Japońska firma Kawasaki Heavy Industries (przychód około 885 mln dolarów) zajęła 68. miejsce, podczas gdy rok wcześniej znajdowała się na 44., a jej przychody z obronności były prawie dwa razy większe i wynosiły około 1,741 mld dolarów.

NIE TYLKO OBRONNOŚĆ

Same dane o przychodach z obronności nie zawsze oddają realny stan konkretnej firmy. Wiele podmiotów, które znalazły się w pierwszej setce, ma często większe przychody z działalności w innych obszarach. Dobrym przykładem są firmy lotnicze z pierwszej dziesiątki. Dla Boeinga obronność to 31% przychodów, a dla Airbusa

zaledwie 17%, ponieważ oba koncerny mają ogromne przychody m.in. ze sprzedaży cywilnych samolotów pasażerskich. Najmniej uzależnione od sfery obronnej są firmy japońskie. Największe procentowo (12%) przychody z obronności ma Mitsubishi Heavy Industries Ltd. Pozostali japońscy producenci osiągają wyniki w granicach 2–7%.

Na skrajnym biegunie znajdują się firmy, których całe przychody pochodzą ze sfery obronnej. Do tego grona należą: rosyjska Almaz-Antiej, francuskie DCNS

i Nexter, amerykańskie Aerojet Rocketdyne i Vectrus, izraelskie Israel Military Industries i Rafael Advanced Defense Systems, południowokoreańska LG Nex1, ukraińska Ukroboromprom, południowoafrykański Denel, norweska Nammo i turecki Roketsan. Do tego dochodzi grupa producentów, którzy dzięki działaniu na rynku obronności osiągają ponad 90% przychodów. Są to amerykańskie firmy Lockheed Martin (92%), Raytheon Company (3%), Huntington Ingalls Industries (96%), ManTech International (91%) i LGS Innovations (96%), a także brytyjska BAE Systems (91%), izraelska Elbit Systems Ltd. (97%), turecka Aselsan (96%), rosyjska korporacja Taktyczne Uzbrojenie Rakietowe (98%), indyjska Hindustan Aeronautics (93%) i fińska Patria (95%).

Choć jest dostrzegalna pewna poprawa, to jednak w przeszłości bywało znacznie lepiej. W 2012 roku przychody wyniosły ponad 400 mld dolarów, a w 2014 roku około 386 mld dolarów. Znaczący wpływ na to ma sytuacja na rynku amerykańskim. Stany Zjednoczone mają bowiem największy budżet obronny na świecie. Pentagon składa największe zamówienia na dobra i usługi. Niektóre długoterminowe kontrakty mają wartość dziesiątek miliardów dolarów i zapewniają dostawcom wysokie przychody przez lata. Dlatego rynek amerykański jest ważny dla wielu firm zagranicznych, najbardziej dla europejskich i izraelskich. Jednocześnie USA są największym na świecie eksporterem dóbr i usług ze sfery obronności. W efekcie w pierwszej setce znalazły się aż 42 amerykańskie firmy. Niemniej jednak zestawienie Defense News nie odzwierciedla w pełni sytuacji na światowym rynku produkcji obronnej, gdyż nie zostały w nim uwzględnione firmy chińskie. Pekin nie ujawnia bowiem danych niezbędnych do sklasyfikowania konkretnego producenta. ■

www.rosomaksa.pl

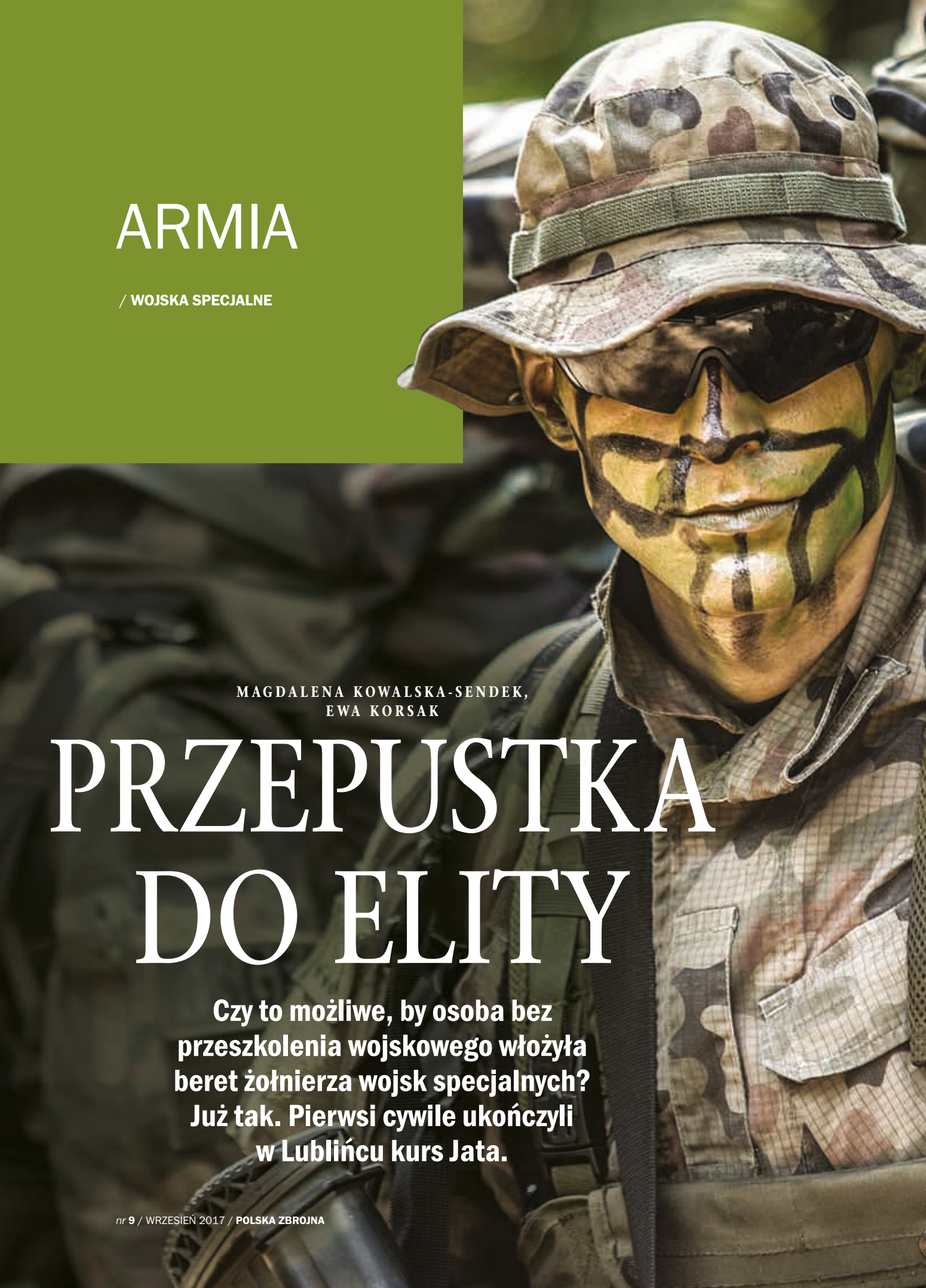


OD POKOLEŃ

DLA OBRONNOŚCI POLSKI



ROSOMAK S.A.
Siemianowice Śląskie

A close-up portrait of a soldier wearing a camouflage bucket hat and goggles. The soldier's face is painted with yellow and black camouflage patterns. The background is blurred, showing more soldiers in similar gear.

ARMIA

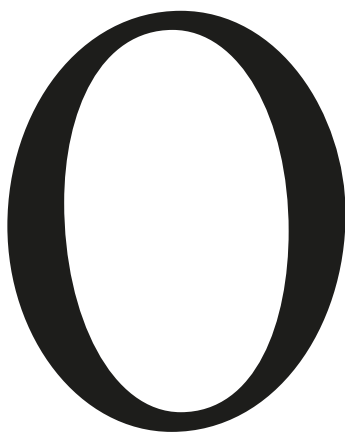
/ WOJSKA SPECJALNE

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK,
EWA KORSAK

PRZEPUSTKA DO ELITY

**Czy to możliwe, by osoba bez
przeszkolenia wojskowego włożyła
beret żołnierza wojsk specjalnych?
Już tak. Pierwsi cywile ukończyli
w Lublińcu kurs Jata.**





Ostatnie pół roku minęło nam bardzo szybko”, mówi z uśmiechem jeden z elewów. „Było ciężko, ale nie żałuję ani jednego dnia spędzonego w Lublińcu”, rzuca drugi i z pośpiechem wskazuje do wojskowego samochodu. W pełnym umundurowaniu, z ważącymi ponad 20 kg plecakami, bronią i sprzętem wyjeżdżają poza Lubliniec. Kolejne cztery dni i cztery noce spędzą w lesie. Przed nimi ostatni egzamin. Od jego wyniku zależy ich zawodowa przyszłość.

JATA DLA NAJLEPSZYCH

Pół roku temu kurs w Ośrodku Szkolenia Wojsk Specjalnych rozpoczęło najlepszych 30 osób – 29 mężczyzn i jedna kobieta. Do Lublińca przyjechali z różnych części Polski, a nawet z Wielkiej Brytanii. Wśród nich byli informatycy, budowlańcy, trenerzy, sportowcy i ratownicy medyczni – wszyscy zmotywowani, by zostać żołnierzami wojsk specjalnych. „Elewi mnie nie zawiedli. Już od pierwszego dnia szkolenia byli bardzo zaangażowani i zdeterminowani. Oczywiście pojawiły się pewne problemy adaptacyjne, ale to nic dziwnego. To naturalne na tym etapie”, komentuje mjr Paweł Wronka, komendant Ośrodka Szkolenia WS. „Oczekiwałem od ludzi, których sami sobie dobraliśmy, najwyższego poziomu zaangażowania, motywacji, chęci rozwoju i nauki oraz ciężkiej pracy. I się nie zawiodłem”, przekonuje.

Kurs Jata (nazwa nawiązuje do rezerwatu Jata w powiecie łukowskim, gdzie w 1944 roku działał ośrodek szkoleniowy, w którym rekruci przygotowywali się do walki w różnych terenach oraz trenowali posługiwanie się bronią) rozpoczął się 1 lutego i trwał sześć miesięcy.

Podzielony był na trzy etapy: na początek kilkudniowe zajęcia zapoznawcze, a potem podstawowe i specjalistyczne. „Trafilibyśmy do nas ludzie z cywila, więc naukę wojskowego rzemiosła musieliśmy zacząć od podstaw. Z jednej strony to ich plus, bo nie mają nawyków z innych służb czy rodzajów sił zbrojnych, ale z drugiej strony nie ruszylibyśmy z miejsca bez znajomości elementarnych rzeczy – takich jak oddawanie honorów, obsługa broni czy robienie okopów”, mówi kpt. Łukasz Rosiński, zastępca komendanta Ośrodka Szkolenia WS.

Po dwóch miesiącach nauki i egzaminach elewi przeszli na wyższy poziom. Podczas szkolenia specjalistycznego uczyli się m.in. o medycynie polowej, łączności, brali też udział w zajęciach inżynieryjno-saperskich. Wiedzę czerpali od instruktorów – żołnierzy Jednostki Wojskowej Komandosów. Poznawali też specyfikę wojsk specjalnych. Działali w sześcioposobowych sekcjach, musieli samodzielnie planować i wykonywać zadania. Przeszli kurs przetrwania SERE na poziomie B, mieli zajęcia ze wspinaczki w górach oraz szkolenie wodne. „Nie można wszystkiego nauczyć się z książek. Jeśli tematem zajęć jest pokonywanie przeszkody wodnej, to trzeba to po prostu zrobić. Musieli więc wejść w marcu do zimnej wody, a później w mokrych mundurach i butach wykonywać kolejne zadania”, dodaje zastępca komendanta.

Po zakończeniu trzeciego etapu nauki w ośrodku, elewów czekała seria egzaminów. Ich zadaniem było pokonanie pętli taktycznej. „Egzamin końcowy jest sprawdzeniem nie tylko tego, czego się dotąd nauczyli, ale też, jaki progres zrobili w pół roku; czy są samodzielni, ale też, czy potrafią działać w grupie. Dowiadujemy się, kto przejmuje inicjatywę, ma zdolności przywódcze”, mówi „Filip”, były dowódca Zespołu Bojowego JWK, teraz mentor Ośrodka Szkolenia WS.



MICHAŁ NIWICZ

Zielona taktyka była jednym z elementów egzaminu kursu Jata.

DO LUBLIŃCA PRZYJECHALI Z RÓŻNYCH CZĘŚCI POLSKI, A NAWET Z WIELKIEJ BRYTANII. WŚRÓD NICH BYLI INFORMATYCY, BUDOWLAŃCY, TRENERZY, SPORTOWCY I RATOWNICY MEDYCZNI – WSZYSCY ZMOTYWOWANI, BY ZOSTAĆ ŻOŁNIERZAMI WOJSK SPECJALNYCH

Podczas egzaminu kończącego pierwszy kurs Jata elewi wykonywali pieszy patrol, wykazywali się swoimi umiejętnościami w dziedzinie tzw. zielonej taktyki oraz musieli udowodnić, w jakim stopniu są przygotowani do ewakuacji ранego, wzywania śmigłowca MEDEVAC oraz prowadzenia rozpoznania specjalnego.

DESZCZOWY TEST

W czasie patrolu mieli pokonać ponad 30 km. Z wypchanymi po brzegi plecakami maszerowali po leśnych szlakach i na podstawie podanych współrzędnych odnajdywali punkty wyznaczone w terenie. Na trasie marszu

musieli się wykazać różnymi umiejętnościami, np. nawiązywania łączności, zakładania maski przeciwgazowej na czas oraz topografii. Instruktorzy dali im też do wypełnienia testy dotyczące medycyny pola walki i znajomości broni. „Gdy są już zmęczeni, sprawdzamy ich zdolność koncentracji oraz umiejętność logicznego myślenia”, mówi „Filip”.

„Plecy nas bolą od pierwszego kilometra. Ale dajemy radę”, z uśmiechem przyznaje uczestniczka kursu Jata. „Kazik”, bo tak mówią o jedynej kobiecie na kursie koldzy i instruktorzy, jest twarda, odporna psychicznie i z każdym krokiem udowadnia, że nadaje się do służby ➔

wśród specjalsów. Sama przyznaje, że nieraz miała chwilę zwątpienia, ale dużo daje jej wsparcie kolegów. Zanim „Kazik” zgłosiła się na kurs w Lublińcu, pracowała jako nauczyciel akademicki i prowadziła zajęcia z wychowania fizycznego i pływania. Sama jest też pływaczką i jeszcze przed rozpoczęciem kursu zdobyła mistrzostwo Polski w tej dyscyplinie. O kursie mówi: „Trzeba zмагаć się z bólem, potem i krwią, ale nie żałuję. Wiem, że moje miejsce jest w wojskach specjalnych”.

Na sprawdzianie z zielonej taktyki, najważniejsze było to, żeby elewi działali niepostrzeżenie. Sporadycznie pokonywali leśne szlaki, bo głównie poruszali się po bezdrożach. Musieli tak działać, żeby chodzący po lesie patrol ich nie zdemaskował. Jeśli nieumundurowani żołnierze zauważyliby kursantów, ci nie zaliczyliby zadania. „Oceńniamy ich za sposób maskowania, dyscyplinę, skupienie i utrzymanie uwagi. Tu liczą się nawet drobiazgi, jak np. wyciągnięcie białej chusteczki higienicznej czy użycie srebrnego karabińczyka, który odbija słońce, bo to może zdradzić położenie żołnierza”, tłumaczy „Góral”, jeden z instruktorów. W ciągu doby mieli przejść zaledwie kilka kilometrów. „W tym zadaniu nie chodzi jednak o dystans, lecz o sposób działania. Mają być w ukryciu, działać powoli i bardzo cicho, tak by nikt nie zauważył ich obecności”, podkreśla zastępca komendanta.

Jeszcze przed rozpoczęciem zadania maskowanie na twarzy poprawia 27-letni chłopak. „Ciastek” (ksywa nawiązuje do słabości do słodczy) z wykształcenia jest geografem, ale zawodowo związał się z branżą budowlaną. Prowadził firmę i zajmował się wykańczaniem wnętrz. „Długo czekałem na możliwość służby w wojskach specjalnych. To był ciężki kurs, ale było warto, bo spełniam teraz swoje marzenia. Mam nadzieję, że dotrważę do końca. Nie boję się o swoje umiejętności, ale o ewentualną kontuzję”, mówi. Trudno mu wybrać najciekawszy moment szkolenia, bo jak twierdzi, wszystkie były interesujące. Za przykład podaje zajęcia z psami tropiącymi. „Uczyliśmy się, jak uciekać przed zwierzęciem, jak zmylić trop. Podobały mi się też zadania wodne: przepawy w umundurowaniu ze sprzętem i bronią, budowanie tratw i skoki z płynącego pontonu”, wylicza.

NA DESER OGIEŃ

Elewi zabezpieczali również akcję uwalniania zakładnika. „Chcieliśmy im pokazać, do jakich zadań będą się przygotowywać, jeśli zostaną operatorami”, mówi zastępca komendanta. „W czasie tej operacji mogliśmy jednak ocenić umiejętności związane z rozstawieniem posterunku obserwacyjnego, wykonywaniem meldunków operacyjnych, szkiców czy zdjęć”, uzupełnia zastępca komendanta Ośrodka Szkolenia WS. Ostatnie zadanie roz-



MICHAŁ NIWICZ

poczęło się... w jednej z lokalnych restauracji. Żołnierze mieli się tam spotkać z informatorem – mężczyzną, który do lokalu przyszedł na randkę z narzeczoną. Miał on przekazać elewom dane na temat porwanej przez terrorystów obserwarki OBWE. „Muszę przyznać, że zaimponowali mi swoją rozważą, tym że poczekali chwilę, aż »źródło« odeszło od stolika. Gdyby nagle zaczęli zaczepiać wszystkich gości, mogliby wzbudzić niepotrzebne zainteresowanie. Za tę część zadania należy się im pochwała”, mówi zastępca komendanta.

Elewi dowiedzieli się, że przedstawicielka OBWE jest przetrzymywana w budynku w lesie. Musieli zatem namierzyć obiekt, a później przez całą noc go obserwować. W pewnym momencie porywacze na chwilę zostawili kobietę samą. Kursanci o wszystkim meldowali dowodzącym operacją. To właśnie na podstawie ich informacji przeprowadzono akcję przejęcia zakładniczki. Ich zadaniem było ją chronić. Podczas wycofywania sił doszło do kontaktu ogniowego. Dwóch elewów zostało rannych, dlatego reszta ekipy musiała udzielić im pierwszej pomocy i wezwać MEDEVAC. Po trzech



LUTY 2018: KOLEJNY KURS

MINISTER OBRONY NARODOWEJ 12 LIPCA 2017 ROKU PODPISAŁ DECYZJĘ O NABORZE CYWILÓW DO SŁUŻBY KANDYDACKIEJ.

Zgodnie z dokumentem do Ośrodka Szkolenia Wojsk Specjalnych działającego w Jednostce Wojskowej Komandosów w Lublińcu na półroczny kurs zostanie przyjętych 30 elewów.

O miejsce na kursie Jata mogą się ubiegać osoby pełnoletnie, niekarane, z wykształceniem co najmniej gimnazjalnym. Jednak im kandydat ma wyższe wykształcenie, tym więcej może dostać punktów w trakcie rekrutacji. Dodatkowo można zgromadzić także np. za

potwierdzoną certyfikatami znajomość języka obcego, prawo jazdy (z kategoriami C, C+E) oraz inne udokumentowane zdolności (znajomość sztuk walki, kurs pierwszej pomocy przedmedycznej, kursy wspinaczkowe). Od drugiej edycji dodatkowe punkty otrzymają osoby, które ukończyły już selekcję do jednostki wojsk specjalnych.

Kandydaci na specjalsów najpierw muszą się zarejestrować na stronie internetowej ośrodka – commando.mil.pl. Tam należy wy-

pełnić wniosek i kwestionariusz osobowy. Potem dokumenty trzeba dostarczyć do WKU. Termin ich przyjmowania mija 30 września 2017 roku. Poprawnie wypełnione zgłoszenia zostaną przesłane do dyrektora Departamentu Kadr MON.

Osoby pozytywnie zweryfikowane dostaną zaproszenie na egzaminy, które odbędą się na przełomie października i listopada w Jednostce Wojskowej Komandosów w Lublińcu. ■

dobach spędzonych w lesie kursanci mieli jeszcze wykazać się umiejętnościami ogniowymi na strzelnicy oraz przebiec na czas 7 km z obciążeniem.

Pierwszy w historii kurs Jata ukończyło 28 z 30 osób. „Widzę w nich potencjał. Część świetnie sprawdzi się w logistyce, inni w rozpoznaniu, a jeszcze inni mogą kontynuować szkolenie, by docelowo zostać operatorami”, mówi „Filip”, oficer rezerwy. „Budująca jest ich ogromna motywacja. Żeby rozpocząć kurs, rzucili studia, pracę, swoją firmę. Przyjechali do kraju po wielu latach spędzonych na emigracji albo inwestowali w zdrowie, by sprostać wymaganiom rekrutacji. Mamy tu jednego kandydata, który w ramach przygotowań do egzaminu przeszedł nawet laserową korekcję wady wzroku”.

Osoby, które zaliczyły sprawdzian, dostały propozycję służby w Jednostce Wojskowej Komandosów lub Jednostce Wojskowej Agat. Na

początku w zespołach zabezpieczenia, na stanowiskach logistycznych. Dopiero później mogą przystąpić do selekcji i ubiegać się o miejsce w zespole bojowym. „Pomysł szkolenia kandydatów z cywila do wojsk specjalnych bardzo mi się podoba. Teraz, po pierwszej edycji Jaty tym bardziej jestem przekonany o słuszności założeń tej koncepcji i funkcjonowania ośrodka”, mówi mjr Paweł Wronka. „Niebawem nasi absolwenci rozpoczną służbę, podczas której nadal będziemy bacznie ich obserwować. To jak będą wypełniać codzienne obowiązki, będzie ostatecznym sprawdzianem, czy umożliwienie cywilom wejścia w szeregi specjalsów było dobrą decyzją. Inwestujemy w tych ludzi, mamy więc prawo wiele od nich oczekiwać. Wyszukanie absolwenta Jaty ma się tak do szkolenia przygotowawczego w ramach NSR, jak samoloty F-16 do MiG-15. Obie maszyny latają, ale jest ogromna różnica między ich możliwościami”, podsumowuje mjr Wronka. ■

PIOTR RASZEWSKI

NOWE ŻYCIE W NOWYM MIEŚCIE

Po siedemnastu latach znów pojawi się w tym mieście wojsko. Ministerstwo Obrony Narodowej zdecydowało o reaktywacji lotniska nad Pilicą.

To jedna z wielu strategicznych decyzji, które ostatnio podejmujemy. Napięcie na Wschodzie sprawia, że musimy odbudować zniszczone jednostki wojskowe. Zwłaszcza dotyczy to lotniska takiego jak tutaj. Jednego z najważniejszych na ścianie wschodniej, współdziałającego z całym systemem lotnisk”, powiedział w październiku 2016 roku Antoni Macierewicz, minister obrony narodowej. Tym samym obiekt w Nowym Mieście nad Pilicą, po kilkunastu latach zapomnienia, otrzymał drugie życie.

Kompleks lotniskowy w Nowym Mieście nad Pilicą powstał w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Początkowo stacjonował tu pułk szkoleniowy, później 61 Lotniczy Pułk Szkolno-Bojowy, a następnie 47 Szkolny Pułk Śmigłowców, który szkolił podchorążych i kadetów Wyższej Oficerskiej Szkoły Lotniczej, przemianowanej w 1994 roku na Wyższą Szkołę Oficerską Sił Powietrznych w Dęblinie. Ta uczelnia korzystała wtedy z dość rozbudowanej sieci lotnisk. Piloci szkolili się w Nowym Mieście nad Pilicą, a także w Białej Podlaskiej, Tomaszowie Mazowieckim, Radomiu i oczywiście Dęblinie. Obecnie Szkoła Orląt pośrednio korzysta jedynie z dwóch ostatnich obiektów, na których podchorążowie odbywają praktyki zawodowe. Lotniska te są jednak w strukturze zewnętrznej 4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego, przeprowadzającego szkolenie na rzecz WSOSP.



Żołnierze z 16 Batalionu Remontu Lotnisk w Jarocinie uzupełniają ubytki na drodze startowej lotniska.



Wieża kontroli lotów w Nowym Mieście nad Pilicą, pięciokondygnacyjny obiekt zbudowany na początku lat siedemdziesiątych.

„Rozbudowana baza i większy potencjał szkoleniowy w latach wcześniejszych wynikały oczywiście z większych potrzeb, dlatego tych ośrodków było więcej. Dziś też jest ich na miarę potrzeb, choć te ostatnio znacznie wzrosły”, podkreśla gen. bryg. pil. dr Piotr Krawczyk, rektor-komendant Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie. „Limity przyjęć do naszej szkoły w ciągu ostatniego roku zwiększyły się o sto procent. Wcześniej przyjmowaliśmy 65 kandydatów do szkolenia, obecnie 120”.

Ze względu na zwiększenie limitów przyjęć konieczne jest powiększenie bazy szkoleniowej, przede wszystkim Akademickiego Ośrodka Szkolenia Lotniczego. Jednostka, działająca w strukturze WSOSP, prowadzi podstawowe szkolenie pilotów dla lotnictwa państwowego, w specjalnościach pilot samolotów odrzutowych, pilot samolotów transportowych i pilot śmigłowców do wszystkich rodzajów licencji – turystycznej, zawodowej oraz liniowej. To tu przyszli piloci odbywają pierwsze loty na cywilnych statkach i według cywilnych procedur.



Wieża kontroli lotów jest w opłakanym stanie, ale WSOSP zamierza ją odnowić.



W NOWYM MIEŚCIE POWSTANIE WIELO- FUNKCYJNY OŚRO- DEK SZKOLENIA LOTNICZEGO ORAZ SPECJALISTYCZNY OŚRODEK SZKOLE- NIA WOJSK OBRONY TERYTORYALNEJ

PIOTR RASZEWSKI (4)

Korzystają co prawda z lotniska w Dęblinie i lądowiska po byłym lotnisku wojskowym w Sochaczewie, ale to wciąż za mało. Tym bardziej że niebawem użytkowanie tego drugiego nie będzie możliwe. „Niedługo w Sochaczewie rozpocznie się inny projekt sił zbrojnych i będziemy musieli opuścić ten obiekt. Potrzebujemy zatem nowej przestrzeni do szkolenia lotniczego. Dziś Akademicki Ośrodek Szkolenia Lotniczego wykonuje tyle nalotu, ile nie ma żadna baza lotnicza sił powietrznych w Polsce. W poprzednim roku to było 9,5 tys. godzin, a w tym zaplanowaliśmy aż 11 tys. Nawet jednostki lot-

nictwa transportowego, które wykonują loty zagraniczne, nie mają takiego nalotu. Właśnie dlatego jest nam potrzebne samodzielne lądowisko”, wyjaśnia rektor-komendant Szkoły Orląt.

W tej sytuacji decyzja o reaktywacji lotniska w Nowym Mieście nad Pilicą wychodzi naprzeciw potrzebom szkoleniowym Szkoły Orląt, a projekt wydaje się kołem ratunkowym dla dęblińskiej uczelni. „Ze względu na rozmach zadań szkoleniowych Akademickiego Ośrodka Szkolenia Lotniczego potrzebujemy własnego lądowiska. Reaktywacja tego w Nowym Mieście jest dla nas nowym otwarciem. Oczywiście założenie jest takie, że obiekt będzie dostępny również dla innych rodzajów wojsk i sił zbrojnych. To jednak WSOSP będzie głównym użytkownikiem i koordynatorem lądowiska”, mówi rektor-komendant dęblińskiej uczelni.

Faktycznie największym beneficjentem inwestycji ma być, działający w strukturze Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych, Akademicki Ośrodek Szkolenia Lotniczego. Gdy obiekt w Nowym Mieście nad Pilicą zostanie dopuszczony do użytkowania, będzie on przeprowadzał tam zdecydowaną większość szkoleń. „Na bazie nowego lądowiska planujemy wykonać około 80% dotychczasowego nalotu”, zaznacza płk pil. Grzegorz Weltrowski, kierownik Akademickiego Ośrodka Szkolenia Lotniczego.

Dęblińska szkoła zamierza wysłać do Nowego Miasta personel lotniczy wraz z samolotami i zabezpieczeniem, czyli paliwem, kontenerami mieszkalnymi i salami do briefingu. Szkolenie mogłoby się rozpocząć, gdy będzie dostępny pas startowy, bo – jak zapewniają piloci – to na początek wystarczy. „Teraz nie ma tu specjalistycznego wyposażenia, ale nasze szkolenia zaczynamy od poziomu zero. Najpierw prowadzimy zajęcia na samolotach Diamond DA20, bo to jest główna flota, którą mamy do szkolenia do licencji PPL(A), oraz na śmigłowcach Guimbal Cabri G2 do licencji PPL(H). Do podstawowego szkolenia, które rozpoczniemy z Visual Flight Rule, ta infrastruktura jest wystarczająca”, zapewnia płk Weltrowski. W Nowym Mieście uczelnia planuje również przeprowadzać szkolenia pilotów w lotach według przepisów IFR (Instrument Flight Rating) na jednosilnikowych samolotach Zlin oraz dwusilnikowych Diamond DA42.

Szkoleniowcy nie wykluczają, że z wykorzystaniem nowej infrastruktury będą również uczyli operatorów bezzałogowych statków powietrznych, kontrolerów ruchu lotniczego oraz wysuniętych nawigatorów naprowadzania lotnictwa (Joint Terminal Attack Controller – JTAC). Będzie tam także możliwość prowadzenia szkoleń ze skoków spadochronowych. „Chcemy, by był to wielofunkcyjny ośrodek do szkolenia lotniczego, także ➔



KOMENTARZ

MARIUSZ DZIUBA

Cieszymy się, że po 20 latach wojsko wraca do Nowego Miasta nad Pilicą, bo żal było patrzeć na zdewastowany, zaniebdany przez lata teren i niszczącą infrastrukturę. Kiedy podczas pierwszej wizyty ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza spojrzeliśmy na te obiekty, pomyśleliśmy tylko: „dobrze, że to wszystko jest pod śniegiem”. W niezłym stanie był zachowany jedynie pas startowy i właśnie on zostanie najszybciej zrekonstruowany. Systematycznie monitorujemy postępy prac, bo jesteśmy

zapraszani przez Ministerstwo Obrony Narodowej na wizytację. Nasza społeczność cieszy się, że ten teren zostanie zrewitalizowany. Gdy wcześniej była tu jednostka, to miasto żyło, wiele osób znajdowało w niej pracę, a dzięki temu było więcej mieszkańców i dzieci w szkołach. Wszyscy oczekujemy powrotu wojska na stałe do Nowego Miasta – w takiej lub innej formie. Jesteśmy pewni, że obecność mundurowych przełoży się na zwiększenie potencjału naszej społeczności, a tym samym miasta. Zresztą żołnierze już się

zaangażowali w życie mieszkańców. Wspólnie z wojskiem zorganizowaliśmy ubiegłoroczne obchody Narodowego Święta Niepodległości, a w tym roku, dzięki współpracy kilkunastu jednostek z całego kraju, pierwszy Nowomiejski Piknik Militarny. Odwiedziły go tłumy mieszkańców, co świadczy o ogromnym zainteresowaniu wojskiem i poparciu dla obecności żołnierzy w naszym mieście. ■

MARIUSZ DZIUBA

jest burmistrzem Nowego Miasta nad Pilicą.

z udziałem innych rodzajów sił zbrojnych i rodzajów wojsk. Nie zamierzamy zamknąć się jedynie na typowe szkolenie podstawowe, wykonywane przez Akademicki Ośrodek Szkolenia Lotniczego”, zdradza generał.

Obiekty w Nowym Mieście nad Pilicą mają teraz statut „innego miejsca startów i lądowań”. Ministerstwo Obrony Narodowej przygotowuje je do zmiany na „lądowisko”. Rektor-komendant zaznacza, że poważniejsze inwestycje byłyby potrzebne dopiero wtedy, gdyby się okazało, że statut ma być podwyższony do rangi lotniska. „Infrastrukturę przejmujemy od MON-u w drodze użyczenia. Wszystkie płaszczyzny naziemne wojsko przygotowuje tak, by zabezpieczyć statut lądowiska wojskowego i cywilnego, który na nasze potrzeby jest wystarczający. Oczywiście, jeżeli pojawi się plan, żeby to miejsce rozwinąć do wyższego statutu, to niezbędne będą większe inwestycje”, podkreśla generał. Rektor-komendant zaznacza jednocześnie, że uczelnia na tym etapie zainwestuje jedynie w odnowienie i dostosowanie do swoich potrzeb wieży kontroli lotów i hangaru, które przejęła w użytkowanie już w połowie lipca.

Część koszarową lotniska w Nowym Mieście nad Pilicą przejmą natomiast wojska obrony terytorialnej. Dowództwo chce tam otworzyć specjalistyczny ośrodek

szkolenia. „Będzie ono obejmowało m.in.: przygotowanie tymczasowych lądowisk, organizację zrzutowisk, wykorzystanie bezzałogowych statków powietrznych, naprowadzanie lotnictwa, ale też prowadzenie obrony bezpośredniej czy też elementy zadań z reagowania kryzysowego”, wylicza płk Marek Pietrzak, rzecznik prasowy Dowództwa Wojsk Obrony Terytorialnej. „Chcemy też, by ośrodek dawał możliwość przeprowadzenia ćwiczeń dowódczo-sztabowych oraz treningów sztabowych we współdziałaniu z jednostkami innych rodzajów sił zbrojnych”, dodaje płk Pietrzak.

Dowództwo WOT-u planuje również utworzenie w Nowym Mieście nad Pilicą batalionu lekkiej piechoty. „Przejęte obiekty uniezależnią nas w dziedzinie kształcenia, tak abyśmy nie stanowili obciążenia dla wojsk operacyjnych”, mówi rzecznik prasowy DWOT-u. Na razie nie wiadomo, kiedy taki batalion powstanie. Termin jest uzależniony od przygotowania niezbędnej infrastruktury.

Teraz na lotnisku trwają prace nad rekultywacją pasa startowego i dróg postojowych, tak aby umożliwić przejęcie terenu przez Wyższą Szkołę Oficerską Sił Powietrznych w Dęblinie. Władze uczelni chcą, by pierwsze szkolenie rozpoczęło się tam w kwietniu 2018 roku. ■

BAZA DLA NAJWIĘKSZYCH

Z Dariuszem Płóciennikiem

**o dynamicznym rozwoju jednostki w Powidzu rozmawia
Krzysztof Kuska.**

Rośnie ranga 33 Bazy Lotnictwa Transportowego. Ostatnio najczęściej się jednak mówi o niej ze względu na obecność Amerykanów.

Jesteśmy jedyną jednostką lotniczą, w której stacjonują wojska amerykańskie, mające służyć wzmocnieniu wschodniej flanki NATO. Gościmy zatem 497 Batalion Logistyczny armii Stanów Zjednoczonych, 15 Batalion Inżynieryjny, a teraz również 10 Brygadę Lotniczą. Są już u nas black hawki, a wkrótce pojawiają się jeszcze chinooki.

Dlaczego wybrano akurat Powidz? Jakie są atuty tego miejsca?

Rozmiar i położenie. To największe lotnisko wojskowe w Polsce z dwiema równoległymi betonowymi drogami startowymi, przy czym DS-1 jest jedną z najdłuższych w Europie. Co więcej, mamy trawiastą utwardzoną drogę startową, a to się rzadko spotyka. Poza tym nasze lotnisko jest typowo wojskowe, a nie współużytkowane cywilno-wojskowe. 33 Baza Lotnictwa Transportowego składa się z kilku kompleksów, a część lotniskowa to teren o powierzchni 1310 ha, co daje ogromne możliwości rozbudowy infrastruktury. Wrażenie robią aż cztery duże płaszczyzny postojowe dla statków powietrznych. Nie bez znaczenia jest też lokalizacja samego lotniska, bliskość autostrady A2,

WIZYTÓWKA



**PŁK DARIUSZ
PŁÓCIENNIK**

Jest dowódcą 33 Bazy Lotnictwa Transportowego w Powidzu. Pełnił służbę w jednostkach eksploatujących samoloty naddźwiękowe Su-20 i Su-22 oraz F-16, a następnie AN-28, M-28B, M-28B/PT oraz C-130 Hercules, a także śmigłowce W-3 Sokół oraz Mi-17. Wdrażał do służby samoloty F-16 oraz C-130 Hercules.

a także głównej drogi kolejowej Wschód – Zachód. Oprócz tego należy ono do najnowocześniejszych w Polsce.

Wojsko funkcjonuje blisko cywilów i czasami trudno jest pogodzić potrzeby szkoleniowe z codziennym życiem mieszkańców. Czy okoliczne tereny pozwalają na szkolenie załóg śmigłowców? Bo to przede wszystkim one będą teraz stacjonować w Powidzu.

W naszej bazie dotychczas było głównie lotnictwo samolotowe, ale faktycznie stacjonowanie wojsk amerykańskich jest związane ze zwiększeniem liczby śmigłowców. Tereny wokół naszego lotniska dają jednak bardzo duże możliwości szkolenia załóg tych maszyn, zarówno własnych wojsk, jak i amerykańskich. Tereny nizinne oraz duża liczba akwenów dają znaczne możliwości działania na lądowiskach, innych miejscach do startów i lądowań oraz w terenie przygodnym, a także wykonywania zadań z wykorzystaniem urządzeń nocnego widzenia i lotów nad obszarem wodnym. Atutem jest tu również niewielki stopień zurbanizowania okolicznych terenów.

Amerykanie postrzegają Powidz jako jedno z ważniejszych miejsc dla swoich maszyn tankowania powietrznego. Czy już przygotowano dla nich płytę postojową?



Tak. Prace są na ukończeniu, montowane jest oświetlenie i czeka nas malowanie linii. W ciągu dwóch, trzech miesięcy ta ogromna inwestycja zostanie ukończona. Z tej płyty będą korzystali lotnicy zarówno polscy, jak i amerykańscy. Przewidziana jest ona do zabezpieczenia stacjonowania dużych samolotów transportowych oraz tankowców wykonujących z lotniska w Powidzu operacje tankowania w powietrzu. Budujemy kolejne takie płaszczyzny głównie dla Amerykanów.

By zrozumieć rozmiar tej inwestycji, trzeba zobaczyć, jak ogromna jest taka płyta. Ile samolotów może się na niej zmieścić?

Możemy ustawić jednocześnie kilka dużych maszyn typu C-17 lub kilkanaście C-130, lub do 50 śmigłowców bojowych.

To tylko jedna z wielu waszych inwestycji. Co jeszcze zmieniło się w Powidzu?

Już w 2005 roku przeprowadzono u nas modernizację dróg startowych, kołowania oraz płaszczyzn postojowych. Jednocześnie rozpoczęto budowę m.in. wojskowego portu lotniczego, budynku wojskowej straży pożarnej, nowoczesnego, dużego parku sprzętu technicznego ze strzelnicą krytą, hangaru obsługi samolotów C-130 oraz lekkich hangarów obsługowych dla samolotów C-130, M-28 i śmigłowców W-3. W ostatnich kilku tygodniach ruszyła kolejna wielka inwestycja – budowa portu przeładunkowego cargo, a kolejne są w fazie planowania.

Czy przybycie Amerykanów wymagało specjalnych przygotowań?

Trzeba było przeprowadzić remont kilku budynków, przygotować drugą stołówkę. Ostatecznie wojska amerykańskie zajmują kompleks w bliskim sąsiedztwie samego Powidza, który dla nich zwolniliśmy, oraz nieznaczną część terenu na lotnisku, co jest związane ze stacjonowaniem i obsługą techniczną amerykańskich śmigłowców.

Do przyjmowania dużych samolotów jest potrzebna nie tylko płyta postojowa, lecz także całe zaplecze, np. odpowiednie zbiorniki na paliwo. Czy i pod tym względem jesteście już przygotowani?

Już ruszyła modernizacja składu materiałów pędnych i smarów, a w dalszej perspektywie przewidujemy jego rozbudowę i budowę kolejnego.

Do tej pory z Powidza latali tylko Polacy. Teraz to się zmieni. Jak będzie się odbywała kontrola lotów? Czy

Amerykanie będą mieli swoich stałych przedstawicieli na wieży?

Nasza baza w ciągu roku wykona blisko 20 tys. operacji lotniczych – własnych, na potrzeby innych jednostek lotniczych Sił Zbrojnych RP oraz wojsk sojusznicy. Liczymy się ze zwiększeniem tej liczby. Nasi kontrolerzy, nawigatorzy i pozostałe służby doskonale radzą sobie z prowadzeniem tych operacji. Współpracujemy z wojskami sojusznymi od wielu lat, każdego roku przez wiele tygodni lub nawet miesięcy stacjonują u nas statki powietrzne innych państw, głównie wojsk amerykańskich. Zatem takie działania to u nas już standard, choć liczymy się ze wsparciem polskich kontrolerów przez stronę amerykańską w sytuacjach, kiedy wzrośnie natężenie operacji lotniczych.

Obecność żołnierzy USA to doskonała okazja do wspólnych ćwiczeń.

Mamy już komponent naziemny zapewniający logistykę dla śmigłowców amerykańskich, ale pierwsze maszyny przyleciały niedawno i wspólne szkolenie jest dopiero przed nami. Komponent logistyczny już na dobre zadomowił się w Powidzu i jego obecność to doskonała okazja do współpracy przy zabezpieczaniu pobytu lub postoju wojsk w różnych miejscach na świecie, w które wysyłamy żołnierzy.

Powidz może się kojarzyć z herculesami, ale nie tylko te samoloty stanowią fundament bazy.

To jednostka jedyna w swoim rodzaju, bo jako jedyni w Polsce mamy cztery typy statków powietrznych: C-130E, M-28 Bryza w wersji B i PT, śmigłowce W-3 Sokół i Mi-17 7 Eskadry Działań Specjalnych. Na dodatek wszystko wskazuje na to, że wojska specjalne jako pierwsze dostaną nowe śmigłowce, więc trafią one do nas.

Chyba przyjmujecie tu również inne maszyny?

Statki powietrzne z innych baz wykonują u nas pewne elementy szkolenia lotniczego. Często gośćmi są F-16 z Krzesin i Łasku oraz statki powietrzne różnych jednostek 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego. Najczęściej operują u nas jednak samoloty z 8 Bazy Lotnictwa Transportowego z Krakowa.

A jak układa się wam współpraca z jednostkami specjalnymi?

Nasza eskadra wykonuje loty na potrzeby wszystkich jednostek wojsk specjalnych na terenie kraju i poza jego granicami. Specjalsi bywają też u nas, np. gdy przeprowadzają desant z naszych C-130 i M-28. ■

EWA KORSAK

Obrońca Morza Czarnego

Potrzebujemy swobodnego tranzytu sprzętu wojskowego przez Europę i więcej pieniędzy na obronność – powiedział dowódca sił amerykańskich w Europie po ćwiczeniach „Saber Guardian”.

Dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy z 25 krajów NATO oraz partnerskich wzięło udział w ćwiczeniach „Saber Guardian ’17”, które odbywały się w lipcu w rejonie Morza Czarnego, na terytorium trzech krajów: Rumunii, Bułgarii oraz Węgier. Były to największe w historii manewry wojsk sojuszników w tym rejonie, sprawdzające, jak szybko wojskom natowskiemu wraz ze sprzętem uda się dotrzeć w rejon konfliktu.

KONWÓJ Z NIEMIEC

Jednym z najważniejszych zadań był „marsz” z Niemiec w rejon Morza Czarnego. Konwój żołnierzy oraz sprzętu wyruszył 17 czerwca. Chodziło o jak najszybszy przerzut sił 3 Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej, która działa w różnych częściach Europy, oraz części 2 Puł-

ku Kawalerii (na co dzień ci amerykańscy żołnierze stacjonują w Vilseck w Niemczech) do Bułgarii, Rumunii i na Węgry. Amerykanie podkreślali, że taki konwój to ćwiczenie samo w sobie. Trzeba zatroszczyć się o pojazdy, wiedzieć, jak je konserwować, a w razie awarii naprawić. Dużą pracę mieli też do wykonania medycy, którzy z żołnierzami podróżowali medycznymi strikerami lub humvee. Konwój przejeżdżał przez Austrię, Węgry, Bułgarię oraz Rumunię. Zatrzymywał się w tych krajach, by wojskowi mogli poznać tamtejszą kulturę oraz porozmawiać z mieszkańcami.

Marsz był istotnym elementem ćwiczeń, ale niejedynym. Prócz niego żołnierze wykonali na przykład desant z herculesa C-130. Spadochroniarze amerykańscy skakali w nocy w pobliżu bazy lotniczej Campia Turzii na północnym zachodzie Rumunii. Niestety 12 z nich zostało →

POTRZEBUJEMY CZEGOŚ NA KSZTAŁT WOJSKOWEJ STREFY SCHENGEN, KTÓRA POZWALAŁABY FORMACJOM WOJSKOWYM NA SZYBKIE PRZE- MIESZCZANIE SIĘ Z NIEMIEC DO POLSKI I NA LITWĘ ALBO PRZEZ CZECHY DO RUMUNII. BO TERAZ NIE JEST TO ŁATWE

poszkodowanych i musiało spędzić kilka dni w szpitalu. „To bardzo wymagające ćwiczenie, któremu towarzyszy określony poziom ryzyka”, komentował wypadek Brent Williams, rzecznik prasowy operacji „Atlantic Resolve”. W jej ramach po eskalacji kryzysu na Ukrainie w nasz rejon Europy zostało przerzuconych kilka tysięcy żołnierzy armii należących do NATO. Podczas „Saber Guardian” wojskowi wykonywali też ćwiczenia z zakresu obrony przeciwlotniczej, koordynacji ogniowej oraz niesienia pomocy medycznej w razie wydarzenia, które spowodowałyby straty na masową skalę.

POLACY NA SABER GUARDIAN

W ćwiczeniach „Saber Guardian” wzięła udział kompania zmotoryzowana, która wchodzi w skład Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Rumunii. Byli to głównie żołnierze 17 Brygady Zmechanizowanej, którzy w tym kraju współtworzą wielonarodową brygadę działającą w ramach sił dopasowanej wysuniętej gotowości (tailored Forward Presence – tFP). Polacy współpracowali z niemieckimi, amerykańskimi oraz rumuńskimi wojskowymi. „Zadania, którym stawiali czoło, to patrole piesze i z użyciem pojazdów, sprawdzanie obiektów, organizowanie checkpointów oraz – najważniejsze przedsięwzięcie – water gap crossing, czyli pokonywanie przeszkody wodnej, które odbywało się nocą”, wyjaśnia por. Agata

Pszczołka, rzecznik prasowy PKW Rumunia.

To ostatnie zadanie okazało się największym wyzwaniem, ale i sukcesem Polaków. Żołnierze musieli pokonać przeszkodę wodną z wykorzystaniem niemieckiej przeprawy pontonowej. Działali w nocy, więc aby cokolwiek zobaczyć, używali noktowizji oraz termowizji. „Aby poruszać się po ciemku, zwłaszcza w nowym, nieznanym terenie, tylko dzięki informacjom przekazywanym przez dowódcę i sojuszników, trzeba mieć do nich zaufanie”, przyznają zgodnie żołnierze.

Polacy wzięli też udział w medycznej części ćwiczeń, czyli symulacji wezwania MEDEVAC oraz ewakuacji rannych z uszkodzonego pojazdu. To zadanie wykonywała załoga wozu ewakuacji medycznej zbudowanego na podwoziu rosamaka. „Pojazd jest przeznaczony do ewakuacji rannych z pola walki. Jego załoga ma duże doświadczenie zdobyte na misjach poza granicami kraju”, wyjaśnia por. Pszczołka. Wszyscy są ratownikami medycznymi, którzy mają za sobą kursy bądź studia medyczne oraz doświadczenie zdobywane podczas dyżurów w pogotowiu ratunkowym.





Żołnierze wykonali desant z herculesa C-130. Spadochroniarze amerykańscy skakali w nocy w pobliżu bazy lotniczej Campia Turzii na północnym zachodzie Rumunii.

W trakcie „Saber Guardian” Polacy wykorzystywali również wóz rozpoznania technicznego, który służył do szybkiej ewakuacji pojazdów z pola walki, a także do wykonywania szybkich, doraźnych napraw. „W jego wyposażeniu znajduje się specjalistyczny sprzęt, można więc powiedzieć, że jest to taki ośmiokołowy samowystarczalny warsztat naprawczy”, wyjaśnia st. szer. Tomasz Fiedorowicz z załogi wozu. 16 roso-maków, w tym jeden wóz medyczny i jeden rozpoznania technicznego, dotarło z Polski do Rumunii koleją. Transport trwał pięć dni. Wszystkie zadania Polacy wykonywali we współpracy z żołnierzami z Niemiec, USA oraz Rumunii.

WOJSKOWA STREFA SCHENGEN

„Saber Guardian ’17” podsumował gen. Frederick „Ben” Hodges, dowódca wojsk amerykańskich w Europie. W wywiadzie dla Agencji Reutera powiedział, że trzeba zrobić wszystko, by ułatwić tranzyt wojsk między krajami Europy. „Nie ma wystarczających zdolności do przewozu koleją sił amerykańskich, niemieckich, polskich i brytyjskich albo dla szpicy NATO”, mówi generał. Już rok temu, podczas ćwiczeń „Anakonda”, które odbywały się na poligonach w całej Polsce, Hodges apelował o utworzenie wojskowej strefy Schengen. Dzięki niej żołnierze i sprzęt wojskowy mogliby w razie kryzysu poruszać się po Europie bez przeszkód. „Ciągłe doskwiera nam biurokracja, piętrzące się procedury utrudniały na przykład przejazd konwojów przez kraje”, mówił w wywiadzie dla polski-zbrojnej.pl amerykański dowódca rok temu.

Dzisiaj, rok po „Anakondzie ’16”, generał powtórzył swój apel: „Jestem zdania, że potrzebujemy czegoś na kształt wojskowej strefy Schengen, która pozwalałaby formacjom wojskowym na szybkie przemieszczanie się z Niemiec do Polski i na Litwę albo przez Czechy do Rumunii. Bo teraz nie jest to łatwe”. Przepisy w różnych krajach nie są jednolite, co utrudnia przejazd konwojów przez europejskie państwa. Generał dodał też, że Niemcy powinny zwiększyć wydatki na obronność do 2% PKB. Zaznaczył, że to właśnie nasz zachodni sąsiad mógłby w ten sposób rozwiązać problem tranzytu.

Podsumowując ćwiczenia „Saber Guardian”, gen. Hodges przyznał, że widzi poprawę, jeśli chodzi o logistykę wojsk. Jednocześnie stwierdził, że musi być jeszcze lepsza, by wojska NATO w Europie mogły być siłą odstraszącą Rosję. „Oni czują respekt tylko wobec siły i gardzą słabością”. ■

JOHN FARMER / US ARMY



MICHAŁ ZIELIŃSKI

Instynkt desantowca

Wielokrotnie powtarzają procedury, aby zakodowały się w pamięci mięśniowej. Dzięki temu podstawy żołnierskiego rzemiosła są dla nich tak naturalne, jak oddychanie.

Zołnierze z 6 Brygady Powietrznodesantowej dobrze wiedzą, że elitarność bierze się z dopracowywania detali. Z tego względu, mimo że międzynarodowe manewry czy zagraniczne misje nie są im obce, w ich codzienność są wpisane rutynowe ćwiczenia, w których nacisk kładzie się na absolutne podstawy. Bez względu na stopień czy doświadczenie żołnierzy. Wielokrotnie powtarzane procedury mają oni zakodowane w pamięci mięśniowej i automatycznie reagują pod wpływem konkretnych impulsów. Bodziec może stanowić komenda „ajdik!”, szarpnięcie za ramię czy nieznaczny ruch na krawędzi pola widzenia.

„Naszym głównym zadaniem jest zdobywanie i utrzymanie lotnisk poprzez desant spadochronowy. Na współczesnym polu walki nie można być jednak przywiązanym do jednego rodzaju sztuki taktycznej. Trzeba być wszechstronnym i przygotowanym na wszystko”. Płk Piotr Męczyński, szef szkolenia w 6 Brygadzie Powietrznodesantowej, zaznacza, że realizowany przez podległych mu oficerów program obejmuje działania w terenie pustynnym, podmokłym, zurbanizowanym oraz w warunkach arktycznych. Szkoleniowcy kładą nacisk nie tylko na efektywną walkę, lecz także na umiejętności z zakresu SERE. Niejednokrotnie zdarza się, że w obcym terenie przechodzi się do wykonywania działań nieregularnych. Oprócz tego spadochroniarze są przygotowani na wypadek desantu nad wodą.

Jako związek taktyczny 6 Brygada Powietrznodesantowa niejednokrotnie dowiodła, że sprawdza się w warunkach bojowych. Pododdziały spadochroniarzy uczestniczyły w misjach zagranicznych prowadzonych na Bałka-



MICHAŁ ZIELIŃSKI



MICHAŁ ZIELIŃSKI (3)

We wrześniu żołnierze 6 Brygady Powietrznodesantowej obchodzą 60. rocznicę utworzenia wojsk powietrznodesantowych w polskich siłach zbrojnych oraz 80-lecie spadochroniarstwa wojskowego w Polsce. W związku z tym wydarzeniem 22 września o godzinie 12.00 na krakowskich Błoniach odbędzie się uroczysty apel, a następnie trwający przez cały dzień piknik spadochronowy. W planie są pokazy sprzętu oraz wyszkolenia (skoków spadochronowych, taktyki, walki wręcz), gry i zabawy dla najmłodszych, a także wojskowy poczęstunek.

nach, w Iraku oraz Afganistanie. Obecnie jeden z batalionów brygady wykonuje zadania mandatowe na terytorium Kosowa, specjaliści z jednostki prowadzą także szkolenia ukraińskich wojsk aeromobilnych na terytorium naszego wschodniego sąsiada.

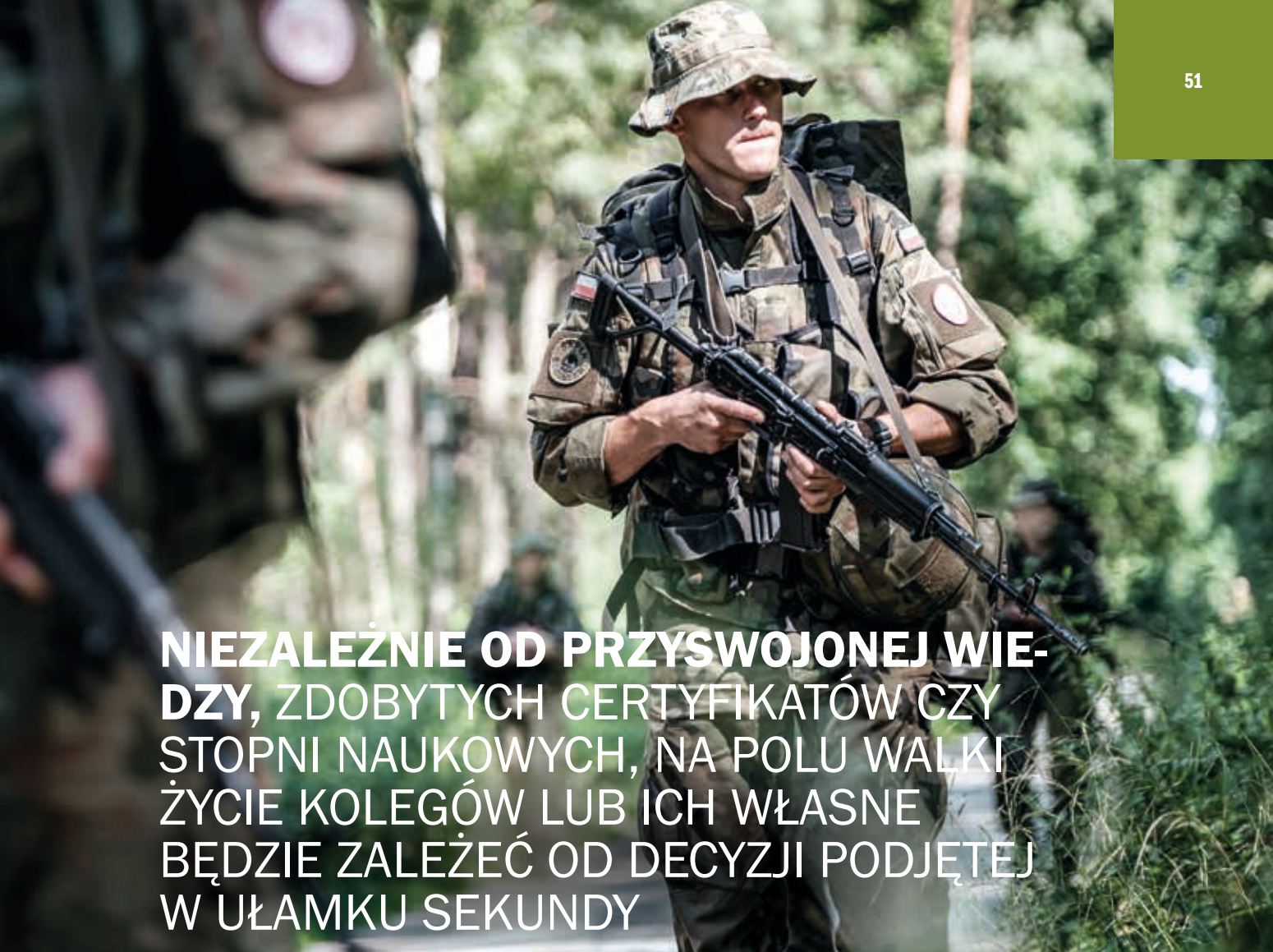
NA TRZECH PŁASZCZYZNACH

Priorytetem w codziennej służbie jest szkolenie spadochronowe, doskonalenie umiejętności strzeleckich ze wszystkich rodzajów broni oraz szlifowanie zdolności taktycznych, zarówno na szczeblu kompanii, jak i batalionu. Aby usprawnić ten proces, szef szkolenia w wytycznych na rok 2017 zobligował wszystkich dowódców batalionów do prowadzenia zajęć zintegrowanych. Odbývają się one przynajmniej raz w miesiącu.

„Zajęcia zintegrowane pozwalają poznać różne sposoby prowadzenia walki, niekoniecznie odpowiadające specjalnościom poszczególnych kompanii. Na stanowiskach szkoleniowych żołnierze przypominają sobie oraz doskonalą nabyte wcześniej umiejętności. Wśród spadochroniarzy bardzo ważna jest zmiennność funkcji. Łączności-

wiec musi nie tylko potrafić obsłużyć radiostację, lecz także doskonale strzelać, rzucać granatem, maskować się czy stawiać miny. Nie może być bezradny, jeżeli znajdzie się w sytuacji, w której będzie musiał korzystać z innego sprzętu niż na co dzień”. Według por. Agaty Niemyjskiej, oficera prasowego 6 Brygady Powietrznodesantowej, zajęcia zintegrowane są ważne dlatego, że pozwalają nie tylko kompleksowo szlifować umiejętności, ale także na bieżąco je weryfikować. Jednocześnie żołnierze są poddawani większemu wysiłkowi niż zazwyczaj.

Ostatnie zajęcia zintegrowane przygotowane dla 6 Batalionu Dowodzenia odbyły się w czterech grupach szkoleniowych, w których trenowano wspinaczkę, walkę wręcz, bezpieczne posługiwanie się bronią oraz podejmowanie improwizowanych urządzeń wybuchowych. Ich istotnym elementem było przygotowanie naziemne do wykonania skoków spadochronowych. Żołnierze spakowali sprzęt indywidualny, skontrolowali zasobniki towarowe, a także sprawdzili łączność. Same skoki spadochronowe są na stałe wpisane w służbę desantowców i w całej 6 Brygadzie Powietrznodesantowej realizowane są nawet



NIEZALEŻNIE OD PRZYSWOJONEJ WIEDZY, ZDOBYTYCH CERTYFIKATÓW CZY STOPNI NAUKOWYCH, NA POLU WALKI ŻYCIE KOLEGÓW LUB ICH WŁASNE BĘDZIE ZALEŻEĆ OD DECYZJI PODJĘTEJ W UŁAMKU SEKUNDY

kilka razy w tygodniu. Za przygotowanie ćwiczeń odpowiadał ppor. Adrian Radwański z sekcji szkoleniowej. „Skupiłem się na wymogach stawianych przed żołnierzami 6 Brygady. Jednym z zadań jest wspinaczka linowa. W Puszczy Niepołomickiej są obiekty, które pozwalają przeprowadzić takie szkolenie, a my otrzymaliśmy zgodę, żeby je wykorzystać. Doskonalimy także umiejętności w walce wręcz. Jednocześnie wdrażamy system bezpiecznego posługiwania się bronią BLOS, a także procedury Counter-ID, czyli przeciwdziałania improwizowanym urządzeniom wybuchowym”.

W UŁAMKU SEKUNDY

Dowódcy podkreślają, że wszystkie tego typu zajęcia rozgrywają się na trzech płaszczyznach. Najbardziej oczywistą z nich są ćwiczenia dla żołnierzy. Korzystają z tej możliwości także batalionowi instruktorzy, którzy mogą doskonalić swoje umiejętności w pracy z kursantami. Trzeci, ostatni poziom, odbywa się w sztabie. Oficerowie muszą zajęcia wymyślić, zaplanować logistycznie oraz przystąpić do ich realizacji.

Zgodnie ze sloganem jednostki spadochroniarze uczyniają walkę tam, gdzie inni nie chcą się nawet znaleźć. W związku z tym żołnierze 6 Brygady Powietrzno-desantowej muszą być niezwykle wytrzymali psychofizycznie, przejść szkolenia: strzeleckie na wysokim poziomie zaawansowania oraz ze znajomości taktyki, również spoza zakresu swojej działalności. W ciągu służby przyswajają umiejętności specjalistyczne z dziedziny obrony przeciwhemicznej, przeciwlotniczej czy z działalności saperskiej. Jednocześnie uczą się współdziałania w ugrupowaniu całego batalionu. Kluczem do tego jest bardzo dobre poznanie charakterystyki bliźniaczych kompanii.

Niezależnie od przyswojonej wiedzy, zdobytych certyfikatów czy stopni naukowych, na polu walki życie kolegów lub ich własne będzie zależeć od decyzji podjętej w ułamku sekundy. Instynktowne skierowanie lufy we właściwą stronę lub wykonanie dźwigni wymaga czegoś więcej niż znajomości teorii. Nawyki te muszą wejść w krew, a następnie, dzięki systematycznym ćwiczeniom, w tym krwiobiegu pozostać. ■

JESTEM CZĘŚCIĄ LEGENDY

Z Adamem Lewkowskim

**o tym, czy bordowy beret spadochroniarza to powód do dumy,
a 6 Brygada jest spełnieniem marzeń o służbie wojskowej,
rozmawiają Magdalena Kowalska-Sendek i Ewa Korsak.**

Zawsze chciałeś służyć w desancie?

Marzyłem o elitarnych jednostkach. W 2003 roku, gdy rozpocząłem służbę zasadniczą, trafiłem do 25 Brygady Kawalerii Powietrznej, a konkretnie do 1 Batalionu Szturmowego w Leżnicy Wielkiej. Nie udało mi się jednak zostać żołnierzem nadterminowym, więc zdjąłem mundur. Tęsknota za służbą sprawiła, że rok później zdałem egzaminy sprawnościowe i psychologiczne oraz przeszedłem rozmowę kwalifikacyjną z dowódcą 16 Batalionu Powietrznodesantowego. Tak trafiłem do legendarnej 6 Brygady.

Od samego początku służby jesteś związany z 2 kompanią szturmową 16 Batalionu Powietrznodesantowego.

Tak, od 2005 roku. Jestem bardzo związany ze swoją jednostką, zwłaszcza z kompanią, która jako jedna z nielicznych w wojsku ma swojego patrona. Jest nim mjr Ludwik Zwolański, żołnierz 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Była to niezwykła postać. Ten oficer wstawił się przepłynięciem Renu w czasie operacji „Market Garden”. Pełnił wówczas funkcję oficera łącznikowego przy dowódcy brytyjskiej dywizji. Nie było łączności radiowej między obiema formacjami, więc Polak pokonał Ren, żeby dostarczyć gen. Sosabowskiemu informacje dotyczące położenia wojsk brytyjskich, i tą samą drogą wrócił. To było karkołomne zadanie. Po wojnie wyemigrował do Australii, wstąpił do tamtejszej armii i wziął udział w wojnie w Korei.

To zdecydowało o przyjęciu jego imienia?

Tak. Odwaga, hart ducha, niezłomność. Może zabrzmiało patetycznie, ale właśnie na takich żołnierzach chcemy się wzorować.

Jaki zatem powinien być współczesny spadochroniarz? Czym musi się wyróżniać kandydat na żołnierza 6 Brygady?

Musi być zmotywowany, mieć nienaganną kondycję fizyczną i silną psychikę. Ale to nie wszystko – musi być ciekawy świata, poszukiwać nowych rozwiązań, stale podnosić swoje kwalifikacje i nie bać się ciężkiej, codziennej pracy.

6 Brygada Powietrznodesantowa to dla wielu legenda. Czujesz się jej częścią?

Tak. To jest jedyna brygada w wojskach lądowych gotowa do wykonywania zadań powietrznodesantowych. Całością sił jesteśmy gotowi do przerzutu metodą spadochronową. Nazywa się nas przedsiönkiem wojsk specjalnych, i zgadzam się z tą opinią. Dlaczego? Wielu operatorów jednostek wojsk specjalnych rekrutuje się z wojsk powietrznodesantowych. Mamy wyższe normy sprawnościowe i psychologiczne, a nasi żołnierze muszą mieć pewne predyspozycje charakterologiczne, by podjąć decyzję o skakaniu ze spadochronem. Dodam jeszcze, że cichociemni – skoczkowie AK, których tradycje pielęgnuje GROM, w większości rekrutowali się z 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej, której tradycje dziedziczy 6 Brygada. To wszystko powoduje, że czujemy elitarność tej formacji. Ale trzeba dbać o to, by tego nie utracić.

A jest takie ryzyko?

Ta opinia wynika nie tylko z obserwacji polskiej armii, lecz także z ogólnościowych tendencji. Myślę, że jest problem z wykorzystaniem i rozwojem wojsk powietrznodesantowych. Widać to np. w Stanach Zjednoczonych czy Wielkiej Brytanii, gdzie wielokrotnie rozważano, czy desant nie powinien być częścią wojsk specjalnych.

Czy przez 12 lat służby w 6 Brygadzie pomyślałeś, że to nie miejsce dla Ciebie?

Nigdy. Moje rozważania wcale nie oznaczają, że nie jestem zadowolony ze służby w 6 Brygadzie Powietrznodesantowej. Znajomi spoza wojska mają naprawdę ciekawe zawody, są lekarzami, prawnikami. Finansowo pewnie powodzi im się lepiej niż mnie, ale nigdy bym się z nimi nie zamienił. Mam możliwość poznania arcyciekawych ludzi. Mogę wejść tam, gdzie nie dostanie się żaden cywil. Czy któryś z moich kolegów spoza wojska miał okazję odwiedzić amerykańską bazę w Afganistanie albo zobaczyć afgańskie chaty? Wiem, że wybrałem najlepszą z możliwych dróg. Przez moment żałowałem jedynie, że nie poszedłem na studia po liceum ani później, już w wojsku. Tyle że mogłem wiele osiągnąć, całkowicie poświęcając się służbie. Byłem na misjach, zagranicznych kursach, spełniałem się bojowo, zdobyłem nowe doświadczenia w ekstremalnych sytuacjach. Nie pogodziłbym tego ze studiami.

Widzisz się w korpusie oficerskim?

Tak. Zastępowałem już dowódcę plutonu i wykonywałem obowiązki podporucznika. Wydaje mi się, że robiłem to dobrze. Być może zdecyduję się na studia, by zostać oficerem. Nie chciałbym podejmować nauki tylko dlatego, by zostać podporucznikiem. Chcę zdobyć wiedzę, która pozwoli mi funkcjonować w cywilu, już po odejściu z wojska.

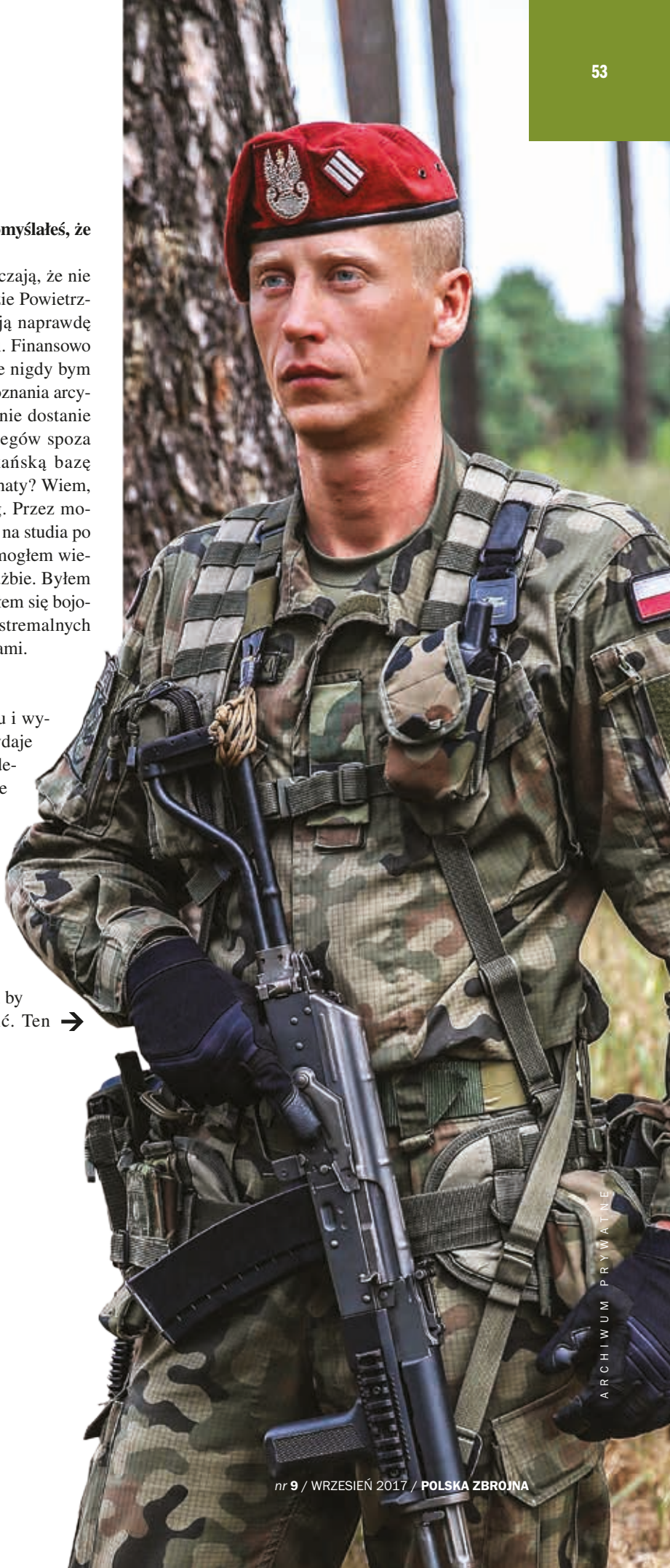
Planujesz ten moment?

Nie chciałbym go przespać. Po prostu chcę odnaleźć się na rynku cywilnym, tak by na wojskowej emeryturze dalej coś robić. Ten ➔

WIZYTÓWKA

PLUT. ADAM LEWKOWSKI

Służy w 6 Brygadzie Powietrznodesantowej. Jest jednym z pierwszych żołnierzy w naszej armii, którzy ukończyli pilotażowy kurs podoficerski dla szeregowych zawodowych. Jako pierwszy Polak odbył także kurs piechoty w US Marine School of Infantry-East w Stanach Zjednoczonych. Podczas służby w desancie trzykrotnie wyjeżdżał na misję. Pod Hindukuszem walczył na III, V i XI zmianie polskiego kontyngentu. Był także na misji szkoleniowej na Ukrainie.



moment jednak szybko nie nadejdzie, bo mam poczucie, że mogę się jeszcze w armii rozwijać.

Masz doświadczenie bojowe spod Hindukuszu. Jak wspominasz misję?

Za sobą mam trzy zmiany w Afganistanie oraz misję szkoleniową na Ukrainie. Gdy dzisiaj myślę o tych dwóch konfliktach, muszę przyznać, że Ukraina zrobiła na mnie większe wrażenie. Pewnie dlatego, że Afganistan jest dla nas Polaków bardziej odległy kulturowo i geograficznie. Cokolwiek by mówić, nie było tam jednak bezpiecznie. Ta operacja to trudne doświadczenie, duże obciążenie fizyczne i psychiczne, zwłaszcza że zostałem tam ranny.

Gdzie na Ukrainie szkoliliś żołnierzy?

Na poligonie w Jaworowie koło Lwowa. Byłem tam przez dwa miesiące z polskimi siłami biorącymi udział w Joint Multinational Training Group-Ukraine. Pod koniec naszego pobytu zostałem skierowany do Odessy, gdzie z grupą Amerykanów i Kanadyjczyków szkoliliśmy 28 Brygadę Zmechanizowaną z Czarnomorska. W Jaworowie z kolei szkoliliśmy ukraińskich spadochroniarzy z 80 Brygady Aeromobilnej, w większości weteranów mających doświadczenie z ATO [Anti-Terrorist Operation zone]. Sposób, w jaki przenosili uzbrojenie, poruszali się po polu walki, przyjmowali postawy strzeleckie, wskazywał na spore doświadczenie. Część żołnierzy jednak to byli nowo przyjeźdźcy. Oni najbardziej skorzystali na naszym szkoleniu.

A jak dziś wspominasz misję w Afganistanie?

Pod Hindukuszem służyłem na III, V i XI zmianie Polskiego Kontyngentu Wojskowego. Każda z nich była inna. Pamiętam, że na początku wojna zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Obserwowałem amerykańską machinę wojenną, logistykę, lotnictwo i pododdziały lądowe. To naprawdę było imponujące. Najbardziej niebezpieczna była moja ostatnia, czyli XI zmiana PKW. Mieliśmy bardzo dużo kontaktów ogniowych z przeciwnikiem, a na drogach w prowincji Ghazni podkładano wiele improvisowanych urządzeń wybuchowych.

Pamiętasz moment, kiedy zostałeś ranny?

To było we wrześniu 2009 roku. Tego dnia mój pluton był w składzie sił szybkiego reagowania [Quick Reaction Force – QRF] w bazie Four Corners. Zostaliśmy wezwani, bo rebelianci przy jednej z dróg podkładali „ajdika”. Zanim dojechaliśmy na miejsce, dostaliśmy nowe zadanie. Mieliśmy pomóc siłom amerykańsko-afgańskim, które zostały zaatakowane przez talibów. Przeszukiwali-



**Zaczęli mnie nazywać „polish marine”.
Chociaż początkowo odnosili się do mnie z rezerwą, wręcz wyższością**

śmy wioskę, sprawdzaliśmy budynki, w których widać było ślady działalności rebeliantów. Wszędzie leżały porzucona broń, granatniki RPG i pociski. Nagle otrzymaliśmy informację, że jedna z naszych drużyn została ostrzelana. Ruszyliśmy na ratunek, ale nas również ostrzelano. Dostałem w nogę. Przeczółgałem się w bezpieczne miejsce, gdzie dobiegł do mnie medyk, by zatamować silny krwotok. Po chwili talibowie rzucili w naszą stronę granat. Był blisko, nie sądziłem, że przeżyjemy. Ciężko ranny został ubezpieczający nas kolega. Podczas tej operacji w prowincji Andar zginął polski żołnierz, jeden był ciężko ranny, trzech nieco lżej. Poszkodowani byli także afgańscy wojskowi. Mnie się udało. Lekarze uratowali mi nogę. Miałem wrócić do kraju, ale ostatecznie zostałem do końca zmiany.

Przełomowym momentem dla Ciebie był kurs piechoty w US Marine School of Infantry-East w Camp



ARCHIWUM PRYWATNE



Umiejętności
zdobyte w USA
plut. Adam
Lewkowski
wykorzystuje
w codziennym
szkoleniu.

Lejeune w Stanach Zjednoczonych. Jesteś pierwszym Polakiem, który go ukończył.

To było dwa lata temu. Nie licząc misji, było to moje najważniejsze doświadczenie zawodowe. Oczywiście wiele się tam nauczyłem, lecz widzę również inne walory tego kursu. Zrozumiałem, czym jest legenda amerykańskiej piechoty morskiej, poznałem niezwykle dumnych żołnierzy. To było niesamowite. Kiedyś na sprawdzianie z wychowania fizycznego mieliśmy sami liczyć sobie brzuszki, pompki i przysiady. Można więc było przypuszczać, że każdy zawyżył swój wynik. Nic takiego jednak się nie stało. Przed ćwiczeniami instruktor powiedział tylko: „oszukując siebie nawzajem, oszukujecie korpus marines!”. To wystarczyło. Ja również zachowywałem się jak oni – byłem dumny z tego, że noszę polski mundur, nie narzekałem, pomagałem innym. Dostrzegli to, zaczęli mnie nazywać „polish marine”. Chociaż początkowo odnosił się w stosunku do mnie z rezerwą, wręcz wyższością.

Było ciężko? Jesteś przecież jednym z najlepszych absolwentów.

Na lotnisku w Jacksonville czekał na mnie amerykański sierżant – postawny, wytatuowany marine meksykańskiego pochodzenia, który przywitał mnie tymi słowami: „G...o mnie obchodzi, skąd jesteś i co sobą reprezentujesz. Jeśli kradniesz, oszukujesz, zbyt wolno przyswajasz wiedzę lub jesteś leniwy, to wrócisz do Europy w ciągu dwóch dni. Od teraz jesteś częścią społeczności marines, jesteś uważany za naszego brata i tak masz się zachowywać. Kurs, na który przyjechałeś, to największe wyzwanie w twoim życiu. Jeśli go ukończysz, będziesz dumny jak nigdy dotąd. Semper Fidelis!”. Aż ciarki przeszły mi po plecach... Myślałem, że to część amerykańskiej propagandy, ale szybko się przekonałem, że to coś więcej.

Wszyscy kursanci zostali podzieleni na kilkusobowe zespoły, a dowodzenie pododdziałem przekazywaliśmy sobie co kilka dni. Zajęcia polegały na rywalizacji. Za zaangażowanie i wyniki szkoleniowe otrzymywaliśmy punkty. Każdego dnia odpadał ten z kursantów, który radził sobie najgorzej.

Czy umiejętności, które tam zdobyłeś, wykorzystasz w kraju?

Tak, te umiejętności piechocińca bardzo przydają się w codziennym szkoleniu. Wykorzystałem je również na Ukrainie. Ale ten kurs to też rzeźbienie charakteru oraz wiele cennych znajomości.

Do Stanów Zjednoczonych wróciłeś rok temu. Wziąłeś udział w amerykańskim etapie ćwiczeń „Swift Response”. Dlaczego Ty?

W dużej mierze ze względu na znajomość języka angielskiego. Nie bez znaczenia był również fakt, że wówczas zostałem oddelegowany do sztabu 6 Brygady Powietrznodesantowej, gdzie zajmowałem się przygotowaniem „Swift Response ’16” od polskiej strony.

To były największe od lat manewry powietrznodesantowe sojuszu północnoatlantyckiego. W jednej operacji wzięło udział kilka tysięcy żołnierzy z kilku państw NATO. Na czym polegały Twoje zadania?

Jako oficer łącznikowy zajmowałem się usprawnieniem przepływu informacji między dowódcami i sztabami jednostek biorących udział w ćwiczeniach.

Jak wyglądały kulisy tej operacji? Ty obserwowałeś to wszystko z USA, bo miałeś desantować się z globemastera.

Z Pope Airfield w Fort Bragg w Stanach Zjednoczonych miało wystartować dziewięć samolotów transportowych typu Boeing C-17 Globemaster III. Niestety jeden miał usterkę, więc wystartowało osiem. Kolejne dwa globemastery nie były w stanie się zatankować w powietrzu z powodu burzy nad Atlantykiem i zawróciły. Nad strefę zrztu nad Toruniem doleciało sześć samolotów. Nad Wielką Brytanią włożyliśmy spadochrony, instruktorzy sprawdzili nas na pokładzie i czekaliśmy na rozpoczęcie desantowania. Najpierw przez tylną rampę zostały zrzucone hummer i haubica, a w następnej kolejności z drzwi bocznych wyskoczyli żołnierze. Po lądowaniu niezwłocznie opuściliśmy rejon zrztowiska i przystąpiliśmy do wykonywania zadania. Po dziesięciu godzinach w powietrzu! Piękna sprawa... W historii brygady tylko czterech ludzi wykonało skok bezpośredni po locie transatlantyckim. Mam przyjemność być jednym z nich! ■



MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Szkolenie w trzech wymiarach

**Żołnierze mogą się tu szkolić jednocześnie na lądzie, na morzu i w powietrzu.
To jedyne takie miejsce w Polsce i jedno z dwóch w Europie.**

Polygon w Ustce to najważniejszy ośrodek szkolenia praktycznego dla wszystkich przeciwlotników. Możliwe jest tu wykonywanie strzelań do celów lądowych, powietrznych i nawodnych. „Niemal całą służbę wojskową związany jestem z komendą tego poligonu. Jestem świadkiem i uczestnikiem zmian, jakie tu zachodzą”, mówi płk Bogusław Atalski, komendant Centralnego Polygonu Sił Powietrznych w Ustce. Żołnierze przyjeżdżają tu od 65 lat.

NA DRUGIM PLANIE

Zadania w powietrzu wykonują strategiczne bombowce amerykańskie B-1 i B-52, polskie F-16 i niemieckie eurofighterzy, w morze wychodzą desantowce USS „Arlington” i polskie okręty transportowo-minowe OORP „Kraków” i „Gniezno”. Chwilę później w stronę plaży w Ustce zmierzają poduszkowce LCAC i transportery AAV-7, z których mają desantować się amerykańscy żołnierze piechoty morskiej. Próbuja ich zatrzymać bojowe wozy piechoty 7 Brygady Obrony Wybrzeża. Zadanie jest trudne, bo stronę desantujących się sił wspiera lotnictwo. Ostatecznie na plaży lądują AAV-7, a wyskakujący z nich marines wdają się w walkę z oddziałami 7 BOW. Według takiego scenariusza rozegrano jeden z finałowych

epizodów tegorocznych manewrów „Baltops”. Wzięło w nich udział 4 tys. żołnierzy, 50 okrętów oraz 55 śmigłowców i samolotów.

Część epizodów dwutygodniowych manewrów odbyła się na terenie CPSP. „Jesteśmy uczestnikami wszystkich rozgrywanych tu wydarzeń. W Ustce odbywają się największe krajowe i międzynarodowe ćwiczenia wojskowe. Przed planowanymi zgrupowaniami poligonowymi prowadzone są rekonesanse i uzgodnienia, a gdy wojsko już do nas trafi, to przekazujemy im obozowiska, zapoznajemy z obiektami i udzielamy instruktaży z przepisów BHP, przeciwpożarowych i ochrony środowiska”, mówi mjr Karolina Krzewina-Hyc, oficer prasowy CPSP. Rzeczniczka podkreśla, że właśnie ochrona środowiska jest jednym z priorytetów. Ponad 80% poligonu objęte jest bowiem programem „Natura 2000”.

„Bez udziału żołnierzy Centralnego Polygonu Sił Powietrznych nie odbywa się żadne strzelanie. Jesteśmy odpowiedzialni za przygotowanie i utrzymanie infrastruktury oraz bazy szkoleniowej, a nasi oficerowie bezpieczeństwa są obecni przy wszystkich działaniach: kierują, kontrolują, obserwują i zezwalają na wykonywanie strzelań”, uzupełnia mjr Krzewina-Hyc. Tak jest na przykład podczas corocznych zgrupowań wojsk obrony przeciwlot-

WICKO MORSKIE DLA WOJSKA

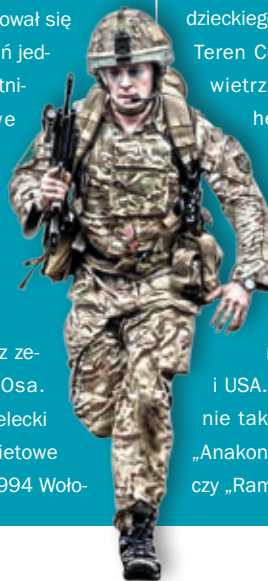


Atutem poligonu jest uniwersalność. Przyjeżdżający tutaj żołnierze mogą korzystać z 12 stanowisk ogniowych, z czego większość rozmieszczona jest wzdłuż linii brzegowej.

Początki poligonu sięgają 1946 roku, gdy w Niechorzu powołano Komendę Poligonu nr 3. Kilkakrotnie go przenoszono, ale od 1952 roku funkcjonuje w Wicku Morskim. Do końca lat osiemdziesiątych poligon specjalizował się w zabezpieczeniu strzelania jednostek artylerii przeciwlotniczej wyposażonej we wszystkie rodzaje uzbrojenia. Na poligonie szkolono około 20 tys. żołnierzy rocznie. W 1989 roku po raz pierwszy w Polsce wykonano strzelania bojowe z zestawów rakietowych Osa. W 1992 roku sezon strzelecki rozpoczęły zestawy rakietowe Nawa, w 1993 Kub, w 1994 Woło-

chow, a w 1995 Krug. Wcześniej polskie wojska obrony przeciwlotniczej prowadziły strzelania rakietowe i szkoliły obsługę zestawów rakietowych na poligonie w Aszafuku na terytorium byłego Związku Radzieckiego.

Teren Centralnego Poligonu Sił Powietrznych zajmuje ponad 3 tys. hektarów lądu i około 90 tys. morza. Na terenie tego ośrodka szkolą się m.in. żołnierze z Węgier, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Holandii, Belgii, Austrii, Francji, Hiszpanii, Szwecji, Rumunii, Bułgarii, Słowacji, Czech i USA. Prowadzone są tam cyklicznie takie ćwiczenia, jak „Baltops”, „Anakonda”, „Dragon”, „Eagle Talon” czy „Ramstein Guard”. ■



MILIONY POMYSŁÓW

Do najważniejszych inwestycji na Centralnym Poligonie Sił Powietrznych można zaliczyć m.in. budowę w latach 2013–2015 wałów przeciwsztormowych i umocnienie linii brzegowej o wartości 52 mln zł. Były one niezbędne, bo morze

niszczyło linię brzegową. Na terenie poligonu wybudowano też 18 dróg dojazdowych i wyremontowano leśne drogi dojazdowe. W 2018 roku zostanie ukończony budynek dowódczo-sztabowo-szkoleniowy. W kompleksie będzie 300 miejsc in-

ternatowych, sale wykładowe i odpraw oraz hala sportowa. Komenda poligonu przygotowuje się także do pozyskania dodatkowych terenów. Pozwoli to na bezpieczne strzelanie artylerii gwintowanej na odległość do 40 km. ■

niczej. Żołnierze wprowadzają na stanowiska wyrzutnie wyposażone m.in. w zestawy Nawa, Kub lub Osa i strzelają do imitatorów wyrzucanych przez Su-22 lub sterowanych celów powietrznych z programowaną trasą lotu. „Strzelania przeciwlotnicze należą do najtrudniejszych, jakie wykonują żołnierze. Obsługi namierzają obiekt, który porusza się w trzech płaszczyznach: oddala się od nich lub zbliża, leci na zachód lub na wschód, nabiera prędkości lub ją traci. Trzeba więc umiejętnie nastawić przyrządy celownicze, uwzględniając przy tym wszystkie dane, np. pogodowe. Naszym zadaniem jako komendy poligonu jest zapewnienie, by skomplikowane i bardzo drogie treningi odbyły się bez zakłóceń”, opisuje mjr Mirosław Abramowicz, szef sekcji zabezpieczenia szkolenia CPSP. Oznacza to, że zanim zostaną wystrzelone rakiety, komenda musi zatroszczyć się o pełne zobrazowanie i sprawdzenie przestrzeni powietrznej, akwenów oraz części lądowej,

w której odbywać się mają strzelania. „Za pomocą własnych środków radiolokacyjnych sprawdzamy, czy w pobliżu nie poruszają się statki powietrzne niebiorące udziału w działaniach bojowych. W strefie rażenia nie może się znaleźć też żaden obiekt pływający. We współpracy z marynarką wojenną, Strażą Graniczną i Urzędem Morskim czuwamy nad bezpieczeństwem żeglugi w miejscu, gdzie zaplanowano strzelania”, precyzuje mjr Abramowicz.

Komenda w Ustce ma także przygotowywać i utrzymywać obiekty poligonowe, zapewnić warunki socjalno-bytowe wojskom przebywającym na szkoleniu, a wojskowym placówkom naukowo-badawczym warunki do prowadzenia testów. CPSP przygotowuje także imitatory celów powietrznych i makiety do zabezpieczenia strzelania bojowych. Na liście zadań znajduje się również oczyszczanie poligonu z niewypałów, niewybuchów oraz utrzymanie sprawności lądowiska położonego na terenie ośrodka. ➔



TOMASZ MIELCZAREK / 7 BOW

NA SZKOLENIE DO USTKI PRZY- JEŹDŻAJĄ ŻOŁ- NIERZE WSZYST- KICH RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH

Najważniejszym zadaniem komendanta CPSP jest jednak zapewnienie bezpieczeństwa podczas szkolenia i bezkolizyjne prowadzenie działań bojowych. Na poligonie jednocześnie może przebywać 3,5 tys. żołnierzy (po remoncie obozowiska będzie dodatkowych 1500 miejsc). „Musimy tak rozlokować ćwiczące jednostki, żeby sobie nie przeszkadzały. Zajęcia taktyczne nie są tu problemem, bo pododdziały chętnie ze sobą współpracują. Strzelania ostrą amunicją regulują jednak przepisy, od których nie ma odstępstw”, mówi mjr Abramowicz. Zaostrzono je po 2003 roku, kiedy na poligonie doszło do ostrzelania Su-22, pilotowanego przez ppłk. pil. Andrzeja Andrzejewskiego. Rakieta skierowała się w stronę myśliwca i wybuchła zaledwie kilka metrów od niego. Odłamki raziły samolot, na szczęście pilot w ostatnim momencie zdążył się katapultować. „Byłem przy tym strzelaniu. Poderwaliśmy szybko śmigłowca MW i rozpoczęliśmy poszukiwania pilota. Nie dawano nam wielkich szans, ale ostatecznie załoga wypatrzyła go w morzu. To była lekcja dla nas wszystkich. Po tych wydarzeniach znacznie zaostrzyliśmy przepisy bezpieczeństwa”, zaznacza płk Atalski.

Z MORSKĄ BRYZĄ

„W Polsce jest wiele ciekawych i dużo większych obiektów poligonowych od naszego. My jednak mamy dostęp do morza. Latem i wczesną jesienią zmorą poligonów jest susza, przez co wprowadzany jest często zakaz prowadzenia działań ogniowych. My przy »trójce« [stopień zagrożenia ppoż.] możemy wykonywać zadania na przykład ze stanowisk nadmorskich”, mówi płk Atalski.

Na szkolenie do Ustki przyjeżdżają żołnierze wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Od 1996 roku z obiektów poligonowych korzystają także wojska sojusznicze. Komenda CPSP szacuje, że rocznie ćwiczy tu blisko 15 tys. żołnierzy. Wojsko szkoli się nieprzerwanie przez cały rok (od 5 rano do 2 w nocy). Jedynie w lipcu i w sierpniu ze względu na wzmożony ruch turystyczny w regionie nie odbywają się strzelania rakietowe. „Naszym atutem jest uniwersalność”, mówi komendant. Przyjeżdżający na po-

ligon żołnierze mogą korzystać z 12 stanowisk ogniowych, z czego większość rozmieszczona jest wzdłuż linii brzegowej. To właśnie z tych miejsc strzela się do imita-

torów celów powietrznych i celów nawodnych. Ponadto na poligonie są trzy stanowiska w głębi lądu, gdzie strzela się do makiety śmigłowca oraz makiety transportera. W granicach CPSP znajdują się także pas taktyczny, punkt dowódczo-obszerny (tzw. kopuła), stanowisko dowodzenia oraz strzelnica. „Strzelania bojowe mogą być prowadzone z różnego rodzaju broni, np. przeciwlotniczych zestawów rakietowych, przenośnych przeciwlotniczych zestawów rakietowych, zestawów artyleryjskich, wozów bojowych, czołgów, przeciwpancernych pocisków kierowanych do celów nawodnych”, wylicza mjr Karolina Krzewina-Hyc. Ponadto ogień prowadzić mogą śmigłowce i samoloty, które odpalają np. pociski niekierowane lub rakietowe naprowadzane na podczerwień oraz zrzucają bomby o wadze do 250 kg.

„Stanowiska ogniowe w linii brzegowej nie tylko służą do strzelań artyleryjskich do celów przeciwlotniczych czy ukazujących się z morza, lecz także są wykorzystywane jako miejsca, gdzie żołnierze w bojowych wozach piechoty desantują się z morza lub z lądu”, wymienia mjr Abramowicz. Dodaje, że na ustekiej plaży szkolą się także saperzy, specjaliści oraz żandarmeria i policja.

Teren poligonu naszpikowany jest elektroniką. Cele naziemne sterowane są elektronicznie, a stanowiska ogniowe są cały czas monitorowane. Zarejestrowany obraz w czasie rzeczywistym może być przekazywany do komendy poligonu, oficera dyżurnego oraz do dowódcy generalnego rodzajów sił zbrojnych. To ostatnie rozwiązanie zastosowano po raz pierwszy podczas ćwiczeń „Baltops” w 2015 roku. „Poligon przeszedł wiele przeobrażeń. Pamiętam jeszcze, jak na początku mojej służby cele w pasie taktycznym podnosiło się ręcznie. Makietę transportera niosło dziesięć osób, a kolejne dziesięć na rozkaz musiało za pomocą lin postawić kolosa. Dziś wszystko sterowane jest automatycznie”, opisuje płk Bogusław Atalski. „Jestem dumny ze zmian, jakie udało się przeprowadzić”. ■

KPT. PIOTR BRZozowski



Data i miejsce urodzenia:
3 lutego 1984 roku, Sławno.

W wojsku służy od: 2009 roku.

Tradycje wojskowe: brak.

Edukacja wojskowa: Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Lądowych we Wrocławiu, Studia Podyplomowe na Akademii Marynarki Wojennej.

Misje i ćwiczenia: moje miejsce pracy sprawia, że uczestniczę w większości ćwiczeń polskich i międzynarodowych organizowanych na terenie naszego poligonu. Były to m.in. manewry „Anakonda”, „Dragon”, „Baltops”, „Orzeł” i inne.

Gdybym nie został żołnierzem, byłbym dziś: pewnie zajmowałbym się telekomunikacją, bo z wykształcenia jestem łącznościowcem.

Zostałem żołnierzem, bo: takie było moje marzenie od dziecka.

Przełomowe wydarzenie w życiu: wstąpienie do Szkoły Oficerskiej w 2008 roku.



Najlepsza broń: KBK AKMS – to moja pierwsza broń i dotąd nigdy mnie nie zawiodła.

Moje największe osiągnięcie: W 2013 roku zdobyłem wicemistrzostwo świata w Nordic Walking w kategorii wiekowej 20–29 lat.



Gdybym mógł zmienić coś w wojsku: w granicach swoich kompetencji staram się codziennie ułatwiać żołnierzom zadania. Uważam, że każdy, kto widzi problemy w swoim otoczeniu, powinien próbować je rozwiązać. Przyniesie to korzyść całym siłom zbrojnym.



W umundowaniu polskiego żołnierza podobają mi się: barwy narodowe.

Moja książka życia: „Mały Książę” i powieści kryminalne Harlana Cobena.

Niezapomniany film: z przyjemnością zawsze oglądam „Killera”, często wracam też do „Atlasu chmur” z Tomem Hanksem.

Co robię po służbie: uwielbiam sport, dlatego po służbie najczęściej czasu spędzam na treningach. Biegam, trenuję też tenis stołowy i nordic walking. Podróżuję łącznie z wyjazdami na zawody, wieczorami lubię też wyjść do kina lub teatru.



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. DOMINIK GROCHOWSKI

PIOTR ZARZYCKI

Wehikuł czasu i przestrzeni

Chociaż środowisko symulacji wirtualnej nie jest jeszcze standardem w szkoleniu polskich żołnierzy, inżynierowie z Wojskowej Akademii Technicznej od kilku lat testują, rozwijają i wykorzystują możliwości tego typu oprogramowania.

Szeroki okalający ekran, gogle wirtualnej rzeczywistości, platformy symulacyjne i cała reszta osiągnięć nowoczesnej techniki. Kiedy wchodzi się do laboratorium zobrazowania wielkoformatowego oraz symulacji rozszerzonej, ma się wrażenie, że aby się tam znaleźć, należało skorzystać z wehikułu czasu. Takie odczucia potęguje prezentacja możliwości środowiska VBS (Virtual Battlespace), które jest bazą dla wspomnianych urządzeń. Inżynierowie Instytutu Systemów Informatycznych (ISI) Wydziału Cybernetyki (WCY) od kilku lat pracują z wykorzystaniem kolejnych wersji oprogramowania. „Można powiedzieć, że jesteśmy działem produkcyjnym. Prowadzimy projekty badawczo-rozwojowe, zajmujemy się wytwarzaniem, konstruowaniem i prototypowaniem przyszłych rozwiązań”, tłumaczy ppłk Jarosław Koszela, kierownik Zakładu Systemów Symulacyjnych i Wspomagania Dowodzenia (ZSSiWD), działającego w strukturach ISI. Jest nad czym pracować, ponieważ możliwości najnowszej wersji oprogramowania (VBS3) są niemalże nieograniczone.

REALISTYCZNE SZKOLENIE

Dla nieorientowanej osoby to interaktywne środowisko wygląda jak dobrze rozwinięta gra komputerowa. W rzeczywistości jest bardziej skomplikowane i stwarza szansę odtworzenia rzeczywistych warunków pola walki. VBS3 jest w pełni interaktywnym, trójwymiarowym i wysokorozdzielczym środowiskiem tworzącym wirtualny poligon dostosowany do prowadzenia różnorodnych

szkoleń taktycznych. Rozwiązania zastosowane w trzeciej odsłonie symulatora pozwalają na wierne odtworzenie realiów militarnych, co jest jego głównym założeniem i najważniejszą zaletą. Dzięki pakietowi narzędzi rozwojowych deweloperzy oprogramowania mogą zaprojektować tereny naturalne, takie jak lasy, góry czy morza, a także zurbanizowane ze szczegółowym odtworze-

niem budynków w dokładnie takiej konfiguracji, jakiej wymaga scenariusz odgrywanej sytuacji. Co istotne, rozmiar projektowanego terenu może wynosić nawet 4 mln km². Pozwala to na zaaranżowanie scenariusza dla coraz większych związków taktycznych. „Dzięki dzisiejszym technologiom osiągalna skala to poziom batalionu”, dodaje ppłk Koszela.

Istnieje możliwość określenia rodzaju podłoża, po jakim mamy się poruszać. Może być ono bagniste, utrudniające poruszanie się pojazdów. Podobnie będą oddziaływać na

rozgrywkę warunki atmosferyczne. „Ciekawostką wyróżniającą VBS3 jest sposobność odwzorowania różnych pór roku na tej samej mapie. Wcześniej zmiana krajobrazu z wiosenno-letniego na zimowy wymagała zaprojektowania nowej mapy. Tutaj możemy dodać opady śniegu, które z czasem będą wpływały na właściwości jezdne czy odczyty urządzeń termowizyjnych”, wyjaśnia ppłk Koszela.

Żeby zobrazować skalę możliwości narzędzi VBS3, najlepiej będzie podać kilka liczb. Środowisko pozwala na dodatkowe rozszerzenie bazy obiektów symulacyjnych, chociaż już ta podstawowa zawiera 9 tys. pozycji. Wśród

ZAAWANSOWANE SYMULATORY NIOSĄ ZE SOBĄ WIELE KORZYŚCI – OBNIŻENIE KOSZTÓW SZKOLENIA, MOŻLIWOŚĆ WIELOKROTNEGO ZASTOSOWANIA DANEGO SCENARIUSZA TRENINGOWEGO, WSPARCIE ROZWOJU UZBROJENIA

nich znajdziemy 2 tys. postaci (żołnierze, cywile, rebelianci), a także tyle samo czołgów, transporterów, okrętów, samolotów, śmigłowców i bezzałogowców. Kolejne 4 tys. obiektów to infrastruktura urbanistyczna, zwierzęta i roślinność. Jest też ponad 0,5 tys. wszelkiego rodzaju uzbrojenia i indywidualnego wyposażenia żołnierza.

W trzeciej odsłonie VBS poprawiono grafikę i efekty wizualne, np. wprowadzono naturalny wygląd horyzontu, wynikający z krzywizny kuli ziemskiej, czy też uwzględniono wysokość położenia słońca w zależności od pory roku. Kolejne udoskonalenia dotyczą zarządzania polem walki i taktyki działań. Dodano możliwość ustalenia łańcucha dowodzenia i współdziałania różnych rodzajów wojsk. Nowością są również elementy walki elektronicznej, które pozwalają na zakłócenie łączności czy zdalnego odpalenia ładunków wybuchowych. Wszystkie wymienione warunki można zaprojektować przed rozpoczęciem symulacji oraz korygować już podczas szkolenia.

BADANIA I BUDOWA TRENAŻERÓW

Zastosowanie symulatora pozwala na zdobycie przez żołnierza praktycznej wiedzy w ramach jego specjalizacji. Pierwsze szkolenia na VBS wojsko ma już za sobą, ale na razie nie jest to rozwiązanie systemowe. Deweloperzy WAT-u korzystają jednak z pozostałych, równie istotnych funkcjonalności oprogramowania, do których należy zaliczyć eksperymenty naukowe i analizy różnych wariantów nieistniejącego jeszcze uzbrojenia. „Parametry obiektów możemy ustawić przykładowo pod futurystycz-

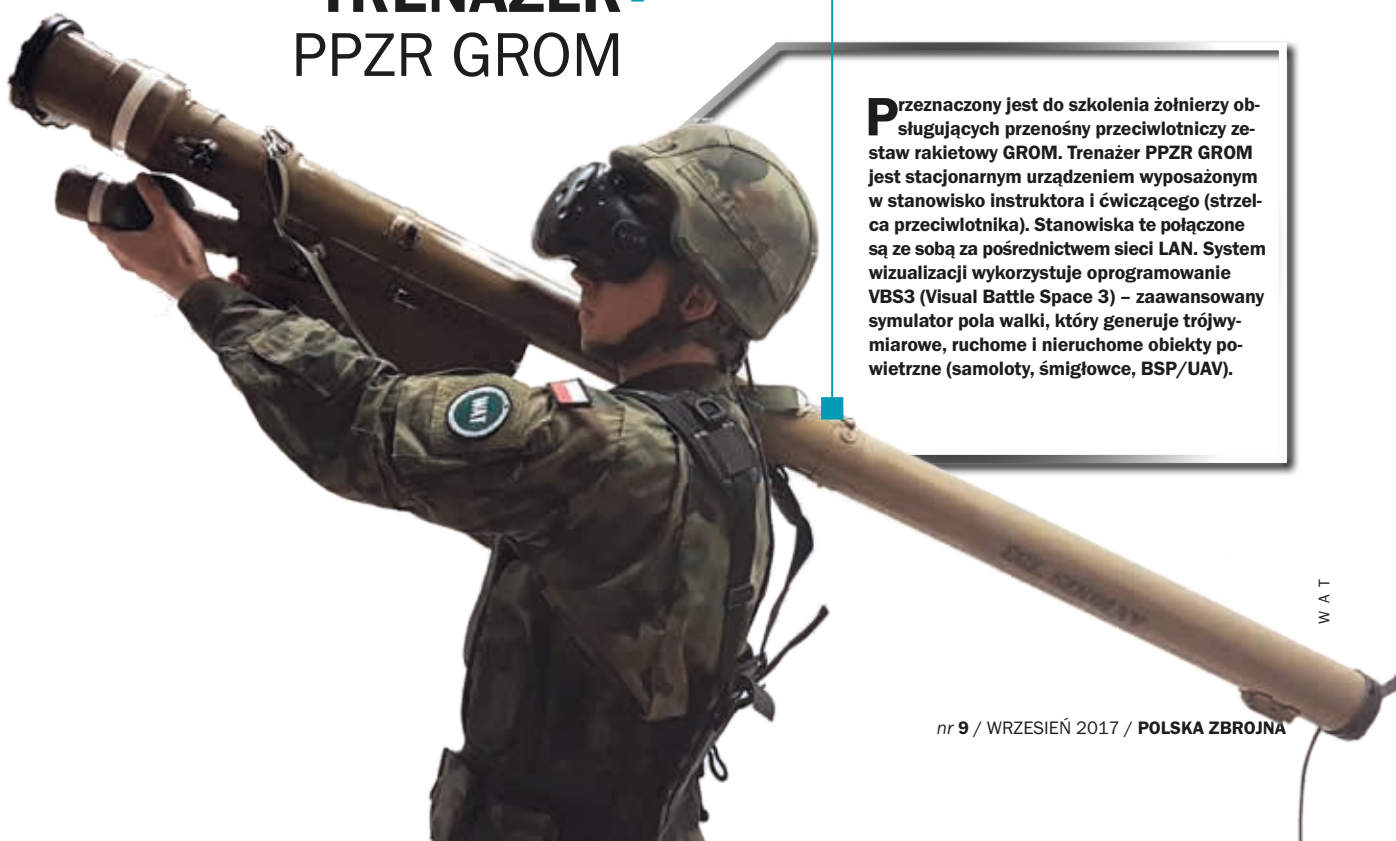
ny czołg, którego specyfikacja jest dopiero planowana. Pozwala to na sprawdzenie założeń w wirtualnej rzeczywistości i ocenę, czy warto je dalej rozwijać”, tłumaczy ppłk Koszela.

Środowisko wirtualnej symulacji pola walki może zostać wykorzystane także do budowy trenażerów. Studenci akademii uczą się, jak zaplanować i zaprojektować cały mechanizm. „Oprogramowanie udostępnione przez producenta to baza. Dalej wszystko trzeba zrobić samemu. Możemy połączyć symulator z platformą do poruszania się żołnierza, z okularami wirtualnej rzeczywistości czy trenażerem karabinu. Aby symulacja była rozproszona i w pełni realna, trzeba korzystać z infrastruktury, którą tu budujemy”, tłumaczy sierż. pchor. Paweł Pieczonka, student Wydziału Cybernetyki. „W momencie połączenia kilku takich ruchomych platform z rozproszoną symulacją uzyskujemy możliwość spójnego treningu całej drużyny. Ta otoczka techniczna jest potrzebna, aby nadać jeszcze więcej realizmu i nie ćwiczyć wyłącznie przed monitorem”.

Za pomocą VBS opracowano wiele różnych trenażerów pojazdów, np. symulator SK-1 Pluton, który pozwala na prowadzenie zaawansowanych szkoleń z obsługi wieży oraz taktyki działania dowódcy i działonowego KTO Rosomak. Kolejne urządzenie to szkolno-treningowy przenośny zestaw dla operatorów bezzałogowych pojazdów latających, który jest przeznaczony do szkolenia z obsługi zestawu, przygotowania do działań oraz wykrywania, rozpoznawania i śledzenia obiektów. →

TRENAŻER PPZR GROM

Przeznaczony jest do szkolenia żołnierzy obsługujących przenośny przeciwlotniczy zestaw rakietowy GROM. Trenażer PPZR GROM jest stacjonarnym urządzeniem wyposażonym w stanowisko instruktora i ćwiczącego (strzelca przeciwlotnika). Stanowiska te połączone są ze sobą za pośrednictwem sieci LAN. System wizualizacji wykorzystuje oprogramowanie VBS3 (Visual Battle Space 3) – zaawansowany symulator pola walki, który generuje trójwymiarowe, ruchome i nieruchome obiekty powietrzne (samoloty, śmigłowce, BSP/UAV).



DZIĘKI MOŻLIWOŚCIOM ŚRODOWISKA VBS I WYKORZYSTANIU WIEDZY INŻYNIERÓW Z WAT ZBUDOWANO SYMULATORY DLA POZOSTAŁYCH SŁUŻB MUNDUROWYCH

W ZSSiWD zbudowano także trenażer przenośnego przeciwlotniczego zestawu raketowego Grom. Jest to stacjonarne urządzenie wyposażone w stanowiska instruktora i ćwiczącego strzelca, które są ze sobą połączone za pośrednictwem sieci LAN (Local Area Network). Z kolei system wizualizacji bazuje właśnie na oprogramowaniu VBS3. Kolejne trenażery służą m.in. do szkolenia snajperów i operatorów bezzałogowców.

NIE TYLKO DLA WOJSKA

Dzięki możliwościom środowiska VBS i wykorzystaniu wiedzy inżynierów z WAT-u zbudowano symulatory dla pozostałych służb mundurowych. Państwowa Straż Pożarna korzysta z symulatora stanowiska kierowcy wozu bojowego. Pracownicy ISI wykonali projekt i zbudowali elementy trenażera. W tym wypadku VBS został użyty m.in. do symulacji zachowania pojazdu, szczegółowego zobrazowania obiektów, odtworzenia środowiska naturalnego. Stanowisko szkoleniowe przygotowano w postaci mobilnego kontenera.

Z kolei dla Straży Granicznej (SG) opracowano wirtualny system doskonalenia taktyki ochrony granicy państwowej oraz kontroli ruchu granicznego. Symulator oprócz kontroli ruchu granicznego i zielonej granicy pozwala także na trening SG z policją, a w razie zagrożenia również z wojskami operacyjnymi i obroną terytorialną. „Nasze doświadczenia w budowie symulatorów dla innych służb są bardzo przydatne i pozwalają działać na styku zarządzania kryzysowego, czyli jednego z zadań przewidzianych dla wojsk obrony terytorialnej”, mówi ppłk Mariusz Chmielewski z ZSSiWD, współautor projektów.

Specjaliści z WAT-u używają VBS także do budowy narzędzi wykorzystywanych we współpracy międzynarodowej. Zaprojektowali kurs szkolenia żołnierzy ochrony granic państwowych, z którego akademia ma zamiar skorzystać do współpracy z zagranicznymi uczelniami wojskowymi.

WSPARCIE DLA TERYTORIALSÓW

Szkolenie podstawowe dla kandydatów do wojsk obrony terytorialnej trwa 16 dni, ale jednym z założeń jest stałe szlifowanie umiejętności we własnym zakresie. Nowoczesne technologie mogą się okazać niezbędnym wsparciem, aby proces ten przebiegał sprawniej. Dowództwo OT jest otwarte na nowe rozwiązania, ze szczególnym uwzględnieniem aplikacji mobilnych na smartfony. „Zgodnie z opracowaną koncepcją budowy aplikacji mo-

bilnych dla obrony terytorialnej będziemy przygotowywali narzędzia mające na celu wspomaganie szkolenia – treningu i edukacji żołnierzy WOT-u. W planach jest również funkcjonująca w trybie szkoleniowym aplikacja wspomagająca indywidualne działanie żołnierza na polu

walki”, tłumaczy ppłk Chmielewski. Ponadto na potrzeby WOT-u zaprojektowano zestaw modeli, które można było zobaczyć na tegorocznych targach Pro Defense w Ostródzie. „Odtworzyliśmy sekcje, które zostały skonstruowane w różnych konfiguracjach uzbrojenia i wyposażenia, aby w systemie VBS nagrać filmiki instruktażowe pokazujące, jak działają poszczególne grupy żołnierzy obrony terytorialnej, jak powinny wykonywać odpowiednie czynności na polu walki”, dodaje ppor. Marcin Kukielka, kierownik laboratorium i współautor oprogramowania.

Na Wydziale Cybernetyki WAT jest opracowywanych 15 prac inżynierskich dotyczących aplikacji dla armii. Magistranci i przyszli pracownicy uczelni dostają również zadania badawczo-konstrukcyjne. Ich efektem nie muszą być produkty przeznaczone wyłącznie dla obrony terytorialnej, lecz także możliwe do wykorzystania przez inne rodzaje wojsk. Dotychczasowe prace pokazały, że aplikacje będą przydatnym narzędziem, które może wspomagać istniejące platformy e-learningowe.

Kolejne pomysły zakładają przygotowanie oprogramowania wspomagającego szkolenie strzeleckie, obsługę broni, wsparcie medyczne i szkolenie taktyczne. Interesująco brzmi też aplikacja trenera personalnego, koncentrująca się na ocenie parametrów biomedycznych żołnierza w czasie wysiłku, wyznaczająca spersonalizowane plany treningu fizycznego oraz umożliwiającą monitorowanie wyników i ewentualną korektę kierunku rozwoju. Sprawna komunikacja z centralą jest ważnym aspektem zarówno pod kątem przeprowadzania ankiet, jak i przekazywania informacji w drugą stronę. „Opracowaliśmy również prototypy aplikacji, które mają na celu dystrybucję informacji mobilizacyjnych i wsparcie rozpoznania skrytego, do którego są przygotowywani żołnierze WOT-u, a które jest istotne w wypadku konfliktów hybrydowych”, podsumowuje ppłk Chmielewski.

Zaawansowane symulatory niosą ze sobą wiele korzyści – obniżenie kosztów szkolenia, możliwość wielokrotnego zastosowania danego scenariusza treningowego, wsparcie rozwoju uzbrojenia. Obecnie trwają postępowania na dostarczenie armii tego rodzaju oprogramowania. Dzięki niemu otworzą się perspektywy technologiczne, co powinno się przełożyć na poziom wyszkolenia żołnierzy. ■



Exatel

TELEKOMUNIKACYJNE BEZPIECZEŃSTWO POLSKI

Dajemy klientom pełną kontrolę nad cyberprzestrzenią. Zapewniamy wsparcie na każdym etapie współpracy. Wierzymy, że właściwe zrozumienie potrzeb to podstawa dobrych relacji biznesowych. Dobrze znamy rynek teleinformatyczny.

KIM JESTEŚMY



100% Spółka
Skarbu Państwa



Nadzór Ministerstwa
Obrony Narodowej



20 lat doświadczenia
na rynku telekomunikacyjnym



20 000 km światłowodu,
druga co do wielkości sieć
w Polsce

W CZYM SIĘ SPECJALIZUJEMY



Usługi
telekomunikacyjne



Cyberbezpieczeństwo



Budowa i utrzymanie
sieci światłowodowej

DLA KOGO PRACUJEMY



Służby mundurowe



Sektor publiczny



Biznes



Operatorzy
telekomunikacyjni

www.exatel.pl

Exatel SA, ul. Perłuna 47, 04-164 Warszawa
tel.: 22 340 66 60, e-mail: bok@exatel.pl



EXATEL

ROBERT CZULDA

Wirtualny poligon

Kilkanaście lat temu powstała pierwsza wersja symulatora, który znakomicie się sprawdził w szkoleniu żołnierzy. Dziś wiele armii świata, w tym polskie wojsko, korzysta z VBS.

Potencjał szkoleniowy w grach komputerowych wojskowi dostrzegli wiele lat temu, więc nie tylko zaczęto wykorzystywać produkty z rynku cywilnego, lecz także wspierać rozwój systemów przeznaczonych dla sił zbrojnych. Na takie zapotrzebowanie w 2001 roku odpowiedziała czeska firma Bohemia Interactive, która kojarzy się z takimi seriami gier, jak Operation Flashpoint czy ARMA. Czesi postanowili wejść na rynek zamówień rządowych i powołali Bohemia Interactive Australia. Ta firma stworzyła symulatory VBS, powszechnie używane na świecie do szkolenia żołnierzy.

VBS, czyli Virtual Battlespace, powstał we współpracy z US Marine Corps. Pierwsza wersja została upubliczniona w drugiej połowie 2002 roku i od razu otrzymała certyfikat upoważniający do użytkowania przez amerykańskie instytucje federalne i siły zbrojne. VBS 1 był produktem przełomowym, bo żadna inna cyfrowa platforma nie umożliwiała tak rozbudowanego i jednocześnie realistycznego środowiska szkolenia w świecie wirtualnym. Dzięki finansowemu wsparciu wojska australijskiego, które w 2005 roku kupiło licencję na VBS 1, pracowano nad kolejnymi wersjami. I w 2014 roku do US Army trafiła już ta oznaczona numerem 3.

Do 200 użytkowników może połączyć VBS 3 na jednym serwerze przy zachowaniu częstotliwości obrazu na poziomie ponad 30 klatek na sekundę, co oznacza wysoką płynność rozgrywki. Dodatkowo scenariusze są wzbogacane o setki zdalnie kierowanych pojazdów, a także budynki i inne nieruchome obiekty. W symulacji na akwenach system pozwala na ustawienie stanu morza, kierunku i siły fal, a nawet koloru wody i jej przezroczystości. Symulacja bierze pod uwagę m.in. różne warunki pogodowe, w tym deszcz, śnieg, zachmurzenie i nasłonecznienie, cykl przejścia słońca w ciągu dnia oraz księżyca i gwiazd w nocy, a także rozchodzenie się światła i dźwięku, w zależności od ukształtowania terenu oraz występowania obiektów.

Na potrzeby US Army stworzono modyfikację, która pozwala żołnierzom wgrać do swych komputerowych postaci (tak zwanych awatarów) uzyskane w świecie rzeczywistym wyniki testów sprawnościowych i strzeleckich. VBS 3 ma dodatkowo dwa interesujące warianty. Fires jest przeznaczony do szkolenia specjalistów i pododdziałów wsparcia ogniowego. Pozwala na rozpoznanie i wskazywanie celów, prowadzenie ognia, obserwację skutków uderzeń oraz omówienie zadań. Strike z kolei jest symulatorem szkolenia wysuniętych nawigatorów naprowadzania lotnictwa, zarówno samolotów, jak i śmigłowców.

VBS 3 stanowi także programowalne środowisko trenerów różnych systemów i urządzeń. Oznacza to, że nie trzeba projektować i budować zobrazowania świata wirtualnego specjalnie dla danego sprzętu, bo można użyć do tego narzędzi VBS 3. Zobrazowanie w specjalistycznych urządzeniach może być dokonane z użyciem standardowego i już popularnego w wielu systemach ekranu – albo płaskiego, albo sferycznego. VBS 3 może też jednak współdziałać z goglami

VBS3

TRAINING SCENARIOS
NETWORKING
MISSION EDITOR
AFTER ACTION REVIEW
LIBRARY
OPTIONS
EXTENSIONS

EXIT

BOHEMIA INTERACTIVE

wirtualnymi. Obraz może być również wyświetlany na specjalistycznych monitorach imitujących urządzenia rzeczywiste (np. widok z kamery, w tym termalnej lub noktowizyjnej lub wyświetlacz cyfrowy). Przykładem takiego użycia VBS jest system szkolenia dla samolotów F/A-18 Super Hornet na zlecenie amerykańskiej marynarki wojennej. VBS 3 umożliwia także obrazowanie dla żołnierzy szkolonych w systemie DSTS (Dismounted Soldier Training System). Wówczas obraz jest generowany w goglach ćwiczącego HMD (Head Mounted Display). Wykorzystuje się przy

tym integrację z systemem czujników ruchu głowy i z makietał broni.

W wersji podstawowej VBS licencja użytkownika końcowego obejmuje 15 map, system sztucznej inteligencji, narzędzia do edycji i tworzenia scenariuszy, system zapisu odpraw końcowych i oceny przebiegu, a także bibliotekę, na którą składa się ponad 9 tys. obiektów, w tym większość sprzętu państw NATO. Ich parametry bazowe mogą być przez użytkownika edytowane, a w ramach dodatkowej usługi istnieje możliwość stworzenia nowych obiektów, zgodnie z wymogami klienta. ■

TYSIĄCE UŻYTKOWNIKÓW

Stale rośnie popularność systemu VBS. Tak zwaną licencję Enterprise (jednorazowy, centralny zakup dużej liczby licencji dla użytkowników końcowych wraz z pakietami licencji deweloperskich i wsparciem technicznym na 5-15 lat) kupiło już wiele państw, w tym Australia, Szwecja, Belgia, Holandia, Francja, Niemcy, Wielka Brytania, Nowa Zelandia, Stany Zjednoczone oraz Finlandia.

W Polsce system zadebiutował w 2008 roku w Wojskowej Akademii Technicznej. Obecnie VBS jest używany w wielu instalacjach i syste-

mach, w tym na kompleksowym symulatorze SK-1 Pluton (strzelających załogi rosomaka), w Zakładach Uzbrojenia Grudziądz oraz w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Łądowych. Pod koniec 2016 roku Akademia Marynarki Wojennej przeprowadziła szkolenie na VBS dla żołnierzy 15 Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej. ■



PAULINA GLIŃSKA

Wstęp do zmian

Trwają prace zmierzające do nowelizacji przepisów ustawy o weteranach działań poza granicami państwa. Zmiany mają usprawnić system pomocy dla środowiska.

Prace nad nowelizacją ustawy trwają w resorcie obrony narodowej od kilku miesięcy. Propozycje zmian MON konsultowało m.in. z organizacjami zrzeszającymi żołnierzy, którzy służyli na misjach. Przygotowany dokument uwzględnia więc wiele z propozycji weteranów, także zgłaszanych w latach 2016–2017. Wprowadza m.in. dodatkowe uprawnienia oraz zwiększa wysokość świadczeń przysługujących osobom najbardziej potrzebującym.

ZMIANY W DODATKACH I TURNUSY Z RODZINĄ

Zapisy projektu przewidują zapewnienie kompleksowej opieki medycznej ponad limity NFZ-u. Dotyczy to weteranów poszkodowanych (ponad 720 osób), zwłaszcza tych, którzy mają orzeczoną co najmniej 30-procentowy uszczerbek na zdrowiu (108 osób) – dla nich świadczenia mają zostać rozszerzone. Przewiduje się, że dla tej ostatniej grupy wydatki na leczenie wszystkich schorzeń, bez względu na okoliczności ich nabycia, będą finansowane z budżetu resortu obrony narodowej. Osoby takie miałyby także prawo leczenia poza kolejnością i bezterminowo wszystkich pojawiających

się u nich chorób i urazów, nie tylko tych nabytych w trakcie działań poza granicami państwa.

Poszkodowani z uszczerbkiem na zdrowiu od 30% będą też mogli liczyć na wyższy dodatek. Jego wysokość zależy od procentu uszczerbku doznanego wskutek wy-

padku lub choroby nabytej podczas wykonywania zadań służbowych poza granicami państwa. Dla grupy osób z uszczerbkiem od 31 do 40% dodatek ma wzrosnąć z 30 do 40%, a dla grupy z 80-procentowym uszczerbkiem – z 80 do 120%.

Poszkodowani z co najmniej 30-procentowym uszczerbkiem na zdrowiu, którzy nie wymagają specjalistycznego leczenia w warunkach szpitalnych, będą też mogli raz w roku skorzystać z bezpłatnych turnusów readaptacyjno-kondycyjnych. Zgodnie z propozycją resortu w turnusach tych wraz z weteranem poszkodowanym będzie mógł uczestniczyć pełnoletni najbliższy członek rodziny. Zdaniem MON-u to ważna

zmiana, bo jak pokazały doświadczenia, obecność bliskich ma niebagatelny wpływ na skuteczność leczenia, jest także istotnym elementem wsparcia w powrocie do codziennego funkcjonowania. Koszty pobytu weterana poszkodowanego i członka jego rodziny będą pokrywane z budżetu MON-u.

WYŻSZY DODATEK DLA NAJBARDZIEJ POSZKODOWANYCH WETERANÓW, ROZSZERZENIE ŚWIADCZEŃ OPIEKI MEDYCZNEJ ORAZ ULGI KOMUNIKACYJNE DLA WSZYSTKICH POSZKODOWANYCH WETERANÓW – TO TYLKO KILKA Z PROPOZYCJI ZAWARTYCH W PROJEKCIE NOWELIZACJI

PRACE NAD NOWELIZACJĄ

Ustawa o weteranach działań poza granicami państwa obowiązuje ponad pięć lat (od 30 marca 2012 roku). Dzięki niej weterani misji zyskali uprawnienia m.in. socjalne, pracownicze, honorowe, a także te dotyczące opieki zdrowotnej i psychologicznej. Ustawowo zostały im przyznane dodatki do rent i emerytur, dopłaty do nauki oraz bezpłatna pomoc psychologiczna.

Praktyka pokazała jednak, że przepisy nie w pełni odpowiadają potrzebom tej grupy żołnierzy. Dlatego w MON-ie rozpoczęły się prace nad nowelizacją ustawy. ■

Bliscy weteranów będą też mogli wziąć udział w turnusach leczniczo-profilaktycznych po powrocie żołnierza z misji. W ocenie przedstawicieli resortu będzie to miało pozytywny wpływ na proces adaptacji i skróci okres odbudowy kondycji psychofizycznej osób powracających do kraju. MON proponuje, aby w tym przypadku koszty udziału bliskiej osoby w turnusach były dofinansowane w 50%.

Podobne uprawnienie zyskają pracownicy wojska, którzy także wyjeżdżają na misje.

Ten punkt nowelizacji zrównuje uprawnienia pracowników wojska z uprawnieniami żołnierzy do korzystania z tej formy rehabilitacji oraz wprowadza jej finansowanie na identycznych zasadach, jak w przypadku żołnierzy.

WIĘCEJ NA NAUKĘ I TANIEJ W DOMU WETERANA

Projekt nowelizacji zakłada też większe niż dotąd uprawnienia do uzyskania pomocy finansowej na naukę. Obecnie każdy weteran poszkodowany może skorzystać z tego wsparcia tylko na jedną z form kształcenia. Do wyboru są: nauka na poziomie szkoły ponadpodstawowej, studia pierwszego oraz drugiego stopnia, jednolite studia magisterskie lub studia podyplomowe. Po zmianach weterani poszkodowani z 30-procentowym i większym uszczerbkiem na zdrowiu będą mogli otrzymać finansowe wsparcie na dwie z wymienionych form kształcenia.

Propozycją resortu jest też rozszerzenie uprawnień do ulgowych przejazdów środkami publicznego transportu zbiorowego na wszystkich weteranów poszkodowanych. Dziś takie prawo mają tylko ci, którzy pobierają rentę inwalidzką z tytułu urazów lub chorób powstałych w związku z udziałem w misjach poza granicami kraju.

**WEDŁUG DANYCH
MON Z KOŃCA
CZERWCA 2017
ROKU STATUS
WETERANA MIAŁO
16 706 OSÓB,
A WETERANA
POSZKODOWANEGO –
724 OSOBY**

Dzięki tej zmianie każdy weteran poszkodowany będzie korzystał z 50% ulgi na przejazdy środkami komunikacji miejskiej oraz 37% ulgi na przejazdy środkami publicznego transportu kolejowego i autobusowego w komunikacji krajowej.

Według projektu ograniczona ma zostać opłata za pobyt w Domu Weterana. Obecnie wynosi ona miesięcznie 250% najniższej emerytury, z tym że nie może być wyższa niż kwota odpowiadająca 70% miesięcznego dochodu świadczeniobiorcy. Po zmianach wysokość opłaty ma wynieść maksymalnie 50% miesięcznego dochodu weterana poszkodowanego. ■

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

SŁUŻBA W NSR

Jestem żołnierzem NSR-u w stopniu starszego szeregowego. Mam 38 lat i chciałbym kontynuować ten rodzaj służby. Czy można dostać awans do korpusu podoficerskiego bez ukończenia odpowiedniego kursu w szkole podoficerskiej? W moim przypadku musiałbym zamknąć działalność, a nie interesuje mnie bycie żołnierzem zawodowym.

→ Przed powołaniem do korpusu podoficerów kandydat musi odbyć szkolenie w szkole podoficerskiej.

W czasie pokoju żołnierz rezerwy może być mianowany na pierwszy stopień wojskowy w korpusie podoficerów, jeśli ma wykształcenie co najmniej na poziomie szkoły ponadgimnazjalnej. Musi również zdać egzamin na stopień podoficera, a w przypadku żołnierza pełniącego służbę przygotowawczą, oprócz zdania egzaminu na podoficera jest wymagane odbycie ćwiczeń wojskowych w wymiarze co najmniej siedmiu dni.

W pewnych okolicznościach można otrzymać jednak awans bez ukończenia kursu. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej może mianować żołnierzy rezerwy na pierwszy stopień oficera, na stopnie oficerskie generałów i admirałów, a minister obrony narodowej na pozostałe stopnie wojskowe:

- 1) w uznaniu zasług z tytułu udziału w walkach o niepodległość państwa polskiego;
- 2) w uznaniu szczególnych zasług z tytułu działalności na rzecz suwerennej i demokratycznej Rzeczypospolitej Polskiej;
- 3) w uznaniu zasług z tytułu udziału w misjach i operacjach poza granicami państwa;
- 4) w uznaniu zasług za wykonywanie prac lub zadań na rzecz obronności państwa, w tym tych żołnierzy, którzy działają lub działali w organizacjach pozarządowych,

wych, wykonujących działania o charakterze obronnym, edukacyjno-wychowawczym lub w zakresie bezpieczeństwa publicznego, są lub byli zatrudnieni w organach władzy publicznej albo w podmiotach posiadających osobowość prawną, posiadają nadany pracowniczy przydział mobilizacyjny lub przydział organizacyjno-mobilizacyjny;

5) jeżeli posiadają nadany przydział mobilizacyjny albo przewiduje się nadanie im takiego przydziału i odbyli ćwiczenia wojskowe lub okresową służbę wojskową;

6) w przypadkach uzasadnionych potrzebami sił zbrojnych, pomimo nieodbycia ćwiczeń wojskowych lub okresowej służby wojskowej, jeżeli mają zawód lub wykształcenie przydatne na stanowisku służbowym w jednostce wojskowej.

W pana przypadku rozpoczęcie szkolenia podoficerskiego nie wymaga od żołnierza rezerwy zamknięcia swojej działalności gospodarczej. W razie potrzeby i według uznania, może pan zawiesić wykonywanie swojej działalności gospodarczej na okres od 30 dni do 24 miesięcy, pod warunkiem że nie zatrudnia pan pracowników.

Jeśli zatem chce pan uzyskać stopień podoficera, musi pan spełnić powyższe wymagania, czyli m.in. ukończyć szkolenie w szkole podoficerskiej. ■

KORDIAN CHOIŃSKI

Kancelaria Radców Prawnych SC

K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

Podstawy prawne: rozporządzenie ministra obrony narodowej z 30 kwietnia 2010 roku w sprawie mianowania na stopnie wojskowe (DzU 2015.307 z późn. zm.) – art. 20 ust. 1 i 2; ustawa z 21 listopada 1976 roku o powszechnym obowiązku obrony Rzeczypospolitej Polskiej (DzU 2016.1534 z późn. zm.) – art. 76 ust. 8, ust. 9 pkt 1; ustawa z 2 lipca 2004 roku o swobodzie działalności gospodarczej (DzU 2016.1829 z późn. zm.) – art. 14a. ust. 1.

CZY NIE STRACĘ UPRAWNIENÍ MIESZKANIOWYCH?

Jestem oficerem w stopniu majora, w służbie stałej. Przysługują mi, na mój wniosek, trzy różne formy zakwaterowania. Obecnie korzystam z kwatery służbowej. Mam dwójkę dzieci i jestem panną, w związku z czym obecnie przysługują mi cztery normy mieszkaniowe. Chciałabym zawrzeć związek małżeński z byłym żołnierzem zawodowym, który w trakcie poprzedniego małżeństwa, w którym posiadał dwójkę dzieci, wykupił od WAM-u lokal mieszkalny z bonifikatą 90%. Nie byliśmy wtedy w żaden sposób ze sobą związani, więc nie mam żadnych praw do tamtego mieszkania. Zamieszkuje w nim jego była żona wraz z dziećmi. Mieszkanie znajduje się w innym garnizonie. Czy ze względu na zaspokojenie w przeszłości potrzeb mieszkaniowych mojego przyszłego męża zawarcie przeze mnie związku małżeńskiego w tym przypadku spowoduje utratę przeze mnie praw do należnych mi świadczeń?

→ Zgodnie z treścią art. 21 ust. 1 ustawy z 22 czerwca 1995 roku o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej **żołnierzowi zawodowemu od dnia wyznaczenia na pierwsze stanowisko służbowe do dnia zwolnienia z czynnej służby wojskowej przysługuje prawo do zakwaterowania na czas pełnienia służby wojskowej w miejscowości, w której żołnierz pełni służbę, albo w miejscowości pobliskiej, albo za zgodą żołnierza w innej miejscowości.** Należy jednak zauważyć, że zgodnie z art. 21 ust. 6 pkt 3 wymienionej ustawy prawo do zakwaterowania nie przysługuje wówczas, gdy żołnierz zawodowy lub jego małżonek nabył lokal mieszkalny od

Skarbu Państwa, Agencji Mienia Wojskowego albo jednostki samorządu terytorialnego z bonifikatą lub z uwzględnieniem pomniejszenia w cenie nabycia.

Wspomniany przepis wskazuje zatem na dwie kategorie osób, których dotyczy przedmiotowa norma prawna: żołnierza i jego małżonka. Jak wskazano w orzecznictwie sądów administracyjnych (m.in. w sprawach o sygn. akt II SA/Wa 898/13, II SA/Wa 1069/13), wzmiankowany przepis nie odnosi się do kwestii czasu, w jakim został zawarty związek małżeński, gdyż istotne jest jedynie ustalenie, czy żołnierz lub jego małżonek kiedykolwiek skorzystali – tak jak w stanie faktycznym przedstawionym w pytaniu – z jednej z form pomocy Wojskowej Agencji Mieszkaniowej na zaspokojenie potrzeb mieszkaniowych. Nie ma przy tym znaczenia, że małżonek żołnierza skorzystał z uprawnienia, o którym mowa w art. 21 ust. 6 pkt 3 ustawy jeszcze przed zawarciem związku małżeńskiego. Z powyższego wynika zatem, że zarówno osoba, która skorzystała z preferencyjnych zasad wykupu lokalu z zasobu Wojskowej Agencji Mieszkaniowej, jak również małżonek tej osoby do czasu pozostawania w związku małżeńskim tracą uprawnienie podstawowe, o którym mowa w art. 21 ust. 1 ustawy. ■

DAMIAN MAZANOWSKI
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

Podstawa prawna: ustawa z 22 czerwca 1995 roku o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej (DzU z 2016.207 z późn. zm.) – art. 21 ust. 1 i 6 pkt 3.

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

ARSENAŁ

/ PRZEGLĄD

RAFAŁ CIASTOŃ

CZAS NA DECYZJĘ

Program „Orka” jest kluczowy nie tylko dla marynarki wojennej, lecz także dla całości sił zbrojnych. Okręty podwodne starsze od polskich kobbenów służą dziś tylko we flocie Tajwanu, co jednak jest podyktowane kwestiami wyłącznie politycznymi.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI



M

imo stosunkowo niewielkiej głębokości (średnia – 52,3 m, maksymalna – 459 m) Bałtyk jest akwenem sprzyjającym operowaniu okrętów podwodnych. Wynika to ze zróżnicowania hydroakustycznego, które utrudnia detekcję takich jednostek. Wśród państw tego regionu floty okrętów podwodnych utrzymują dziś, oprócz Rosji, także Niemcy i Szwecja. Dania zrezygnowała z nich po wycofaniu ze służby kobbenów w 2004 roku. Pozostałe państwa, czyli Finlandia oraz republiki poradzieckie – Litwa, Łotwa i Estonia – tej klasy okrętów nigdy nie miały. Polska ma dziś pięć takich jednostek, najmłodsza z nich to trzydziestoletni „Orzeł”, cztery kolejne pozo-

stają w służbie co najmniej 50 lat. Decyzja o ich zastąpieniu jest więc decyzją na wczoraj, tym bardziej że według szacunków Inspektoratu Uzbrojenia od jej podjęcia do podpisania kontraktu minie od półtora roku do dwóch lat, do wybudowania zaś i wcielenia do służby pierwszej z obecnie planowanej serii czterech nowych jednostek – kolejnych od czterech do pięciu lat.

TRÓJKA KONKURENTÓW

Trzech oferentów okrętu podwodnego dla polskiej marynarki – niemiecki TKMS, francuski DCNS (dziś Naval Group) oraz szwedzki Saab Kockums – zaprezentowało zalety własnych konstrukcji m.in. podczas trzech seminariów, które w ostatnich kilku miesiącach zorganizowała Fundacja im. K. Pułaskiego.

TYP 26

Długość [m]	62 (72)
Szerokość [m]	6
Wyporność nawodna [t]	1800 (2400–2500)
Uzbrojenie	4 wyrzutnie kal. 533 (>15 szt. uzbrojenia), 18 pionowych wyrzutni pocisków manewrujących

↗ w nawiasie z dodatkowym modulem VLS

BAŁTYK JEST AKWENEM SPRZYJAJĄCYM OPEROWANIU OKRĘTÓW PODWODNYCH

TYP 212A

Długość [m]	56
Szerokość [m]	7
Wyporność nawodna [t]	1550
Uzbrojenie	6 wyrzutni kal. 533 (12–13 szt. uzbrojenia)

Zakup sprzętu wojskowego to jednak nie tylko wybór oferty najlepszej pod względem parametrów taktycznych i operacyjnych, lecz także decyzja polityczna i gospodarcza. Transfer nowoczesnych technologii oraz inwestycje jednego z oferentów w polski przemysł zbrojeniowy mogłyby odegrać istotną rolę w jego unowocześnieniu. Zgodnie z zapowiedziami przedstawicieli PGZ nawet 80% prac związanych z budową jednostki mogłoby zostać wykonanych w kraju, oczywiście z udziałem i pod nadzorem partnera strategicznego. Czas pokaże, czy szacunki te nie są poczynione na wyrost, niewątpliwie jednak kontrakt będzie olbrzymią szansą (ale i wyzwaniem) dla polskiej zbrojeniówki. Trzeba tu sprawiedliwie przyznać, że wszyscy oferenci są otwarci na współpracę i deklarują chęć budowy jednostek w polskich stocznicach.

Jeśli chodzi o dostępność okrętu w wersji (niemal) docelowej (w tym również ewentualnego leasingu),

a zarazem sprawdzenie konstrukcji, przewagę ma oferta niemiecka. Zaletą typów 212A i 214 jest m.in. system napędu niezależnego od powietrza (AIP) bazujący na ogniwach paliwowych, które – choć wymagają bardziej wyrafinowanej obsługi portowej – w porównaniu z rozwiązaniami konkurencji charakteryzują się największą efektywnością, niską emisją pól fizycznych oraz brakiem elementów mechanicznych, co gwarantuje minimalizowanie sygnatury akustycznej. Należy się jednak zastanowić, w jakim stopniu okręt w wersji wyjściowej będzie spełniał polskie wymagania dotyczące integracji pocisków manewrujących, szczególnie typ 212A, dla którego zabranie na pokład sześciu sztuk takiego uzbrojenia oznaczałoby rezygnację z połowy przenoszonych torped. W tym kontekście lepiej przedstawia się typ 214, choć z kolei, w przeciwieństwie do mniejszego kuzyna, jego kadłub nie jest wykonany ze stali niemagnetycznej. Sama integracja danego typu uzbrojenia nie →

PORÓWNANIE CHARAKTERYSTYK TRZECH RODZAJÓW NAPĘDÓW AIP

Na podst.: K. Jurek, „Okręty podwodne z napędem niezależnym od powietrza (AIP)”, „Przegląd Morski” nr 3/2005.

	Ogniwa paliwowe	Silniki Stirlinga	Siłownia MESMA
Sposób przemiany energii	bezpośrednia – zimne spalanie	pośrednia – spalanie	pośrednia – spalanie
Sprawność	ok. 80%	ok. 35%	ok. 25%
Sposób chłodzenia	obieg zamknięty	woda zaburtowa	woda zaburtowa
Sposób usuwania spalin	brak	wydalanie za burtę	wydalanie za burtę
Maksymalna temperatura pracy [°C]	ponad 80	ponad 750	ponad 700
Emisja pól fizycznych	niska	średnia	średnia
Prędkość [w]	8	5	4
Zużycie tlenu [kg/kW]	0,4	1,0	1,1
Wdrożenie	U 212A/214	Gotland	Scorpene, Agosta 90B

TYP 214

Długość [m]	65
Szerokość [m]	6,3
Wyporność nawodna [t]	1800
Uzbrojenie	8 wyrzutni kal. 533 (b.d.)

TYP SCORPENE

Długość [m]	76,2
Szerokość [m]	6,2 (8 ze sterami)
Wyporność nawodna [t]	<2000
Uzbrojenie	6 wyrzutni kal. 533 (18 szt. uzbrojenia)

→ w nawiasie z siłownią MESMA

stanowi dla koncernu TKMS większe wyzwanie, jednak – podobnie jak w przypadku oferty szwedzkiej – jego pozyskanie byłoby zadaniem strony polskiej.

Oferta Szwecji, czyli okręt A 26, przedstawia się niezwykle interesująco właśnie w kontekście uzbrojenia. W maju 2017 roku na targach w Singapurze oficjalnie została zaprezentowana nowa wersja jednostki, z dodatkowym modulem umieszczonym za kioskiem, przeznaczonym na wyrzutnie pionowego startu (VLS) pocisków manewrujących. Dzięki takiemu rozwiązaniu jednostka ognia torped nie ulega zmniejszeniu, powiększa się bowiem (o około 10 m długości i do 500 t wyporności) sam okręt. Modułowość od początku była wpisana w projekt A 26, dlatego też strona szwedzka zapewnia, iż jest w stanie wybudować okręt w tej wersji w pożądanym przez stronę polską terminie. Saab Kockums szczyti się także tym, iż montowany na okrętach tej firmy system Stirlinga jest najstarszym, przez co najbardziej sprawdzonym systemem AIP. Odnosząc się do wątpliwości związanych z ewentualnym niesprawdzeniem konstrukcji (okręty szwedzkie wejdą do służby w latach 2022–2023), producent podkreśla ewolucyjne podejście do budowy okrętów podwodnych, a co się z tym wiąże znaczną komplementarność podzespołów ze sprawdzonym typem Gotland. A 26 z modulem VLS to największa z proponowanych Polsce jednostek, rozmiarami zbliżona do „Orła”.

Trzecim z oferowanych w programie „Orka” okrętów jest francuski „Scorpene”, produkowany przez Naval Group. Francuzi jako jedyni oferują jednostkę wraz z pociskiem manewrującym NCM (MdCN). Z upublicznionych wcześniej wypowiedzi wynikało, że tylko taka opcja jest możliwa, tj. nie wchodziłoby w grę zintegrowanie okrętu z innym pociskiem. Francuska marynarka wojenna ma dziś jednostki podwodne wyłącznie z napędem jądrowym, dlatego „Scorpene” jest oferowany na eksport – kupiły go Indie, Chile, Brazylia i Maledzja, jednak żadne z tych państw nie zdecydowało się na model z siłownią AIP typu MESMA. Przedstawiciele Naval Group zapewniają jednak, iż rozwiązanie jest w pełni dopracowane. Pierwsza generacja siłowni tego typu jest zresztą od lat używana na pakistańskich jednostkach typu Agosta-90B. Podobnie jak w przypadku niemieckich okrętów, pociski manewrujące byłyby wyrzucane z wyrzutni torpedowych. Zaletą francuskiej oferty jest autonomia uzbrojenia – pociski nie miałyby ograniczeń pod względem ewentualnego użycia i wybo-

ZAKUP SPRZĘTU WOJSKOWEGO TO NIE TYLKO WYBÓR OFERTY NAJLEPSZEJ POD WZGLĘDEM PARAMETRÓW TAKTYCZNYCH I OPERACYJNYCH, LE CZ TAKŻE DECYZJA POLITYCZNA I GOSPODARCZA

ru celów (choć sprawa samego tzw. targetingu będzie stanowić dla Polski, jako operatora pocisków manewrujących, nie lada wyzwanie), tak jak w przypadku pocisków amerykańskich sprzedanych Wielkiej Brytanii.

POCISKI MANEWRUJĄCE

Skoro polskie okręty podwodne mają zostać uzbrojone w pociski manewrujące przeznaczone do atakowania celów lądowych (LACM), należałoby się zastanowić, jaką funkcję mają one pełnić. Przypisywanie im roli odstraszania strategicznego wydaje się nadużyciem, bowiem w wymiarze strategicznym polska zdolność odstraszania powinna wynikać z faktu samej przynależności do NATO. Nie zapewni jej od ponad 20 do nawet około 70 pocisków klasy LACM (w zależności od wybranej oferty każdy z czterech polskich okrętów będzie mógł przenosić od kilku do 18 pocisków LACM), nawet jeśli będą one uzupełniane pociskami JASSM i JASSM-ER, znajdującymi się w wyposażeniu sił powietrznych, oraz środkami rażenia pozyskanymi dla wojsk lądowych dzięki programowi „Homar”. Należy pamiętać, że w kwietniowym ataku na jedną (!) bazę lotnictwa sił rządowych w Syrii użyto 59 pocisków Tomahawk. Nie oznacza to oczywiście, że sama idea zakupu LACM jest bezzasadna, jednak w koncepcji ich użycia powinno się uwzględniać raczej skalę operacyjną, a nie strategiczną.

Pociski LACM mogłyby również odegrać określoną rolę w działaniach mających na celu wywołanie przewagi w powietrzu – wystrzelenie ich w kierunku najbliższych położonych baz lotniczych utrudniłoby (przynajmniej poprzez wydłużenie czasu dolotu, a zatem skrócenie czasu operowania w danej przestrzeni) działania lotnictwa przeciwnika. Katalog zadań może być oczywiście szerszy, powinien być jednak rozważany w kontekście pola walki, a nie teoretyzowania w kategoriach strategicznych.

Okręty wyposażone w LACM będą narzędziem niezwykle cennym, dlatego zasadność ich użycia do obrony Wybrzeża, zakłócenia morskich linii komunikacyjnych na Bałtyku, wsparcia operacji sił specjalnych czy też w działaniach wywiadowczych stanie pod znakiem zapytania. Według części opinii, w sytuacji kryzysu jednostki podwodne należałoby wręcz wyprowadzić poza Bałtyk. Wyzwaniem, z którym przyjdzie się zmierzyć, będą za to kwestie związane z targetowaniem i utrzymaniem łączności z okrętem wykonującym zadanie patrolowania. ■



DO USŁUG ...
SEKTORA WOJSKOWEGO I CYWILNEGO



PEŁEN ZAKRES WSPARCIA
PRZEGŁADY
SERWISY
NAPRAWY
MODERNIZACJE



LIDER
W OBSŁUDZE
CZOŁGÓW
LEOPARD



EKSPERT OD POJAZDÓW
PANCERNYCH
GAŚNICOWYCH
KOŁOWYCH
I
ZESPOŁÓW NAPĘDOWYCH



ODPOWIEDZIALNY
PARTNER
W BIZNESIE



JAKOŚĆ POPARTA
WIEDZĄ
PASJĄ
DOŚWIADCZENIEM



WOJSKOWE ZAKŁADY MOTORYZACYJNE S.A.
ul. DĄBROWSKIEGO 262/280
60-406 POZNAŃ
WWW.WZM.PL, e-mail: WZM@WZM.PL
TEL. +48 261 576 112



PORTUGALIA

EMBRAER

Rozmowy o KC-390

Ministerstwo obrony Portugalii zostało upoważnione przez radę ministrów do rozpoczęcia rozmów z brazylijską firmą lotniczą Embraer w sprawie zakupu samolotów transportowych (latających tankowców) KC-390.

Rządowa gazeta „Diário da República” podała, że transakcja ma dotyczyć nabycia pięciu maszyn, z opcją do sześciu.

Nowe samoloty mają zastąpić w portugalskich siłach powietrznych sześć amerykańskich trans-

portowców C-130H, które miały być wycofane ze służby już w ubiegłym roku. Jednak teraz będą poddane modernizacji, tak by można było ich używać do 2021 roku, kiedy wstępną gotowość operacyjną osiągnie następca. TW ■

KANADA

Uniwersalne kaemy

Do kanadyjskich żołnierzy trafią nowe uniwersalne karabiny maszynowe. Minister obrony Harjit Sajjan poinformował, że w firmie Colt Canada zostanie złożone zamówienie na **1148 kaemów** C6A1 FLEX kalibru 7,62 mm, zasilanych z taśmy, strzelających standardową amunicją NATO. Wartość kontraktu jest szacowana na 32,1 mln dolarów kanadyjskich. Dostawy karabinów mają się rozpocząć we wrześniu 2018 roku i potrwać do czerwca 2019 roku. Nowa broń zastąpi używane od ponad 30 lat karabiny C6. W latach 2018–2019 C6A1 FLEX będą używane jako broń zespołowa i uzbrojenie pojazdów. WRT ■

SZWECJA

M jak modernizacja

Partię kutrów bojowych Stridsbåt 90 zamówiła szwedzka agencja uzbrojenia FMV w firmie Dockstavarnet.

Siły zbrojne otrzymają 18 jednostek o wartości około 400 mln koron szwedzkich. Pierwsza z nich ma być dostarczona w trzecim kwartale 2018 roku. Stridsbåt 90HSM trafią do Batalionu Desantowego (Amfibiebataljonen) marynarki wojennej. Litera M w nazwie oznacza, że są to zmodernizowane

kutry, w których poprawiono m.in. układ napędowy i ochronę baliistyczną.

Okrety wyposażono w nową elektronikę i zdalnie sterowany moduł uzbrojenia z karabinem maszynowym kalibru 12,7 mm. Szwedzka marynarka wojenna ma już kutry w wersjach H i HS. WW ■

DOCKSTAVARNET



INDONEZJA

Pierwszy od dziesięcioleci

Marynarka wojenna Indonezji przejęła okręt podwodny KRI „Nagapasa” zbudowany przez południowokoreańską firmę Daewoo Shipbuilding & Marine Engineering.

Uroczyste przekazanie jednostki odbyło się 2 sierpnia 2017 roku w stoczni w Okpo na wyspie Geoje. **KRI „Nagapasa”** jest pierwszym od 34 lat nowym okrętem podwodnym w składzie floty wojennej Indonezji. W latach osiemdziesiątych otrzymała ona trzy niemieckie jednostki typu Cakra (209/1300). Nowy nabytek należy do typu 209/1400 Chang Bogo. W 2011 roku Indonezja zamówiła w Korei Południowej trzy takie okręty za 1,1 mld dolarów. Według serwisu *Diplomat*, dwa pierwsze zostaną zbudowane w południowokoreańskiej stoczni, a ostatni w indonezyjskiej stoczni



PT PAL w Surabaji na wyspie Jawa. Jak podał IHS Jane's Navy International, macierzystym portem KRI „Nagapasa” będzie Watusampu na wyspie Sulawesi (dawniej znana jako Celebes). Jednak Indonezja planuje zbudowanie nowej bazy dla okrętów podwodnych na Natunie, największej z należących do niej wysp na Morzu Południowochińskim. W ■



SUKHOI

ROSJA

Latające skrzydło

Pojawiły się informacje o skonstruowanym w Rosji bezzałogowym statku powietrznym w układzie aerodynamicznym latającego skrzydła. Na załączonym zdjęciu pokazano go wraz z pociskami rakietowymi dalekiego zasięgu. Informacje o opracowywanej przez firmę Suchoj maszynie Ochoтник-B ujawniono już wcześniej. Dron, w którym zastosowano technologie stealth opracowane na potrzeby myśliwca piątej generacji T-50 PAK FA, ma masę startową 20 t. Jego napęd stanowią dwa silniki turboodrzutowe AL-31F montowane w samolotach z rodziny Su-27. Według niepotwierdzonych informacji jego zasięg ma wynosić 6000 km.

Pierwsze loty próbne są planowane w przyszłym roku, w 2020 roku zaś Ochoтник-B ma wejść do służby w rosyjskich siłach powietrznych. WR ■

TAJLANDIA

Złote orły

Rząd Tajlandii zamierza kupić południowokoreańskie szkolne odrzutowce T-50 Golden Eagle. Premier Prayuth Chan-ocha podał, że chodzi o osiem maszyn, które będą kosztować 258 mln dolarów. Tajlandia pierwsze cztery „złote orły” kupiła 17 września 2015 roku za 110 mln dolarów. Pierwszy T-50TH

ma być dostarczony tajlandzkim siłom powietrznym w pierwszej połowie 2018 roku. Południowokoreańskie samoloty zastąpią czeskie odrzutowce L-39 Albatros, których jest 35. TED ■



SŁOWACJA

Carl Gustaf M4 na służbie

Firma Saab dostarczyła armii słowackiej wielozadaniowe granatniki **Carl Gustaf M4** kalibru 84 mm. Dzięki temu stała się ona

pierwszym użytkownikiem najnowszej wersji sprawdzonej broni. Granatniki te Słowacy zamówili we wrześniu 2015 roku. Saab nie

ujawnił żadnych szczegółów transakcji. Wcześniej Słowacja nabyła od Saaba pewną liczbę granatników Carl Gustaf M3. WT ■

SAAB

Chiny pod koniec czerwca 2017 roku zwodowały pierwszy niszczyciel nowego typu 055. Przy długości szacowanej na około 180 m i wyporności przekraczającej 10 tys. t będzie to największy, nie licząc oczywiście lotniskowców, typ okrętu uderzeniowego chińskiej marynarki wojennej (PLAN), w opracowaniach amerykańskich często klasyfikowany jako krążownik. Budowa okrętów tej klasy, podobnie jak lotniskowców i nuklearnych okrętów podwodnych, świadczy o rosnących ambicjach morskich Pekinu.

DŁUŻEJ, SZERZEJ, WIĘCEJ

Okręty typu 055, opatrzone przez Amerykanów nazwą kodową Renhai, są znacznie większe od niszczycieli dotychczas budowanych w Państwie Środka. Powstające od 2012 roku jednostki typu 052D (Luyang III) o długości 157 m i szerokości 17 m mają wyporność jedynie 7500 t. W typie 055 ten parametr nie został jeszcze precyzyjnie określony, ale według niektórych szacunków może wynieść nawet 12 tys. Większa platforma oznacza m.in. więcej cięższego uzbrojenia. Luyang III został wyposażony w jeden 64-komorowy moduł pionowego startu (Vertical Launch System – VLS), co jest z równoznaczne z przenoszeniem 64 pocisków rakietowych różnych klas i typów. Renhai z kolei ma dwa takie moduły.

Uzbrojenie nowego okrętu na pewno będą stanowić pociski przeciwlotnicze HHQ-9, będące już w uzbrojeniu jednostek wcześniejszych typów (052C i 052D). Konstrukcyjnie wywodzą się one z rosyjskich zestawów S-300 i mają zasięg około 200 km. Uzupełnią je pociski HHQ-16 o zasięgu co najmniej 40 km, również wywodzące się z rosyjskich rakiet 9M38E. Ostatnim elementem obrony przeciwlotniczej będą HHQ-10 o zasięgu 6–9 km. Niszczyciele będą przenosić również

przeciwokrętowe YJ-18 o zasięgu mieszczącym się w przedziale 220–540 km. Służą do ataku na cele lądowe, ale prawdopodobnie nie będą głównym orężem przeznaczonym do takich zadań. Według informacji przekazanych przez agencję Xinhua, okręty nowego typu będą mogły razić cele na dystansie 1000–2000 km, tak więc prawdopodobnie zostaną uzbrojone w pociski manewrujące DH-10 o zasięgu 1500–2500 km. Uzbrojenie artyleryjskie będą stanowić armata kalibru 130 mm oraz siedmiolufowe działko obrony bezpośredniej kalibru 30 mm. Na pokład jednostek typu 055 trafią także dwa śmigłowce zwalczania okrętów podwodnych.

Większa platforma to jednak nie tylko więcej uzbrojenia, lecz także bardziej zaawansowane sensory, takie jak czteropanelowy radar typu 346A, wykrywający cele na dystansie do 600 km. Okrętowy system walki natomiast, choć jest określany mianem chińskiego Aegisa, na pewno nie jest tak zaawansowany technologicznie jak amerykański pierwowzór. Okręty zostaną również wyposażone w zintegrowany maszt, co ma poprawić właściwości stealth. Ich napęd będą stanowić cztery turbiny gazowe w systemie COGAG o łącznej mocy 112 MW.

Choć nowe niszczyciele będą uniwersalnymi jednostkami, służącymi zarówno do zwalczania

**Rozwój zdolności morskich
zawsze oznacza wzrost
pozycji międzynarodowej
państwa. Nic zatem
dziwnego, że Chińczycy
dzięki budowie coraz
większych okrętów tworzą
flotę oceaniczną.**

RAFAŁ CIASTOŃ

Jak krążownik



celów nawodnych czy podwodnych, jak i lądowych, to podczas ich budowy szczególnie zwrócono uwagę na zdolności w dziedzinie obrony powietrznej – przeciwlotniczej i przeciwrakietowej. Będą mogły zatem zapewnić taką ochronę jednostkom, które mają mniejsze zdolności w tej dziedzinie. Brak obrony powietrznej do niedawna był zresztą piętą achillesową chińskiej marynarki wojennej. Ta sytuacja jednak się poprawia dzięki zakupowi niszczycieli typu Sowriemiennyy i wprowadzeniu do służby rodzimych typów 052C i 052D oraz fregat typu 054A. Nowy niszczyciel będzie odgrywał rolę lidera grup lotniskowcowych, czyli można uznać go za odpowiednik amerykańskich krążowników typu Ticonderoga.

Należy się spodziewać, że Chiny będą dążyć do sformowania grup bojowych zdolnych do długotrwałego operowania w znacznej odległości od własnych wybrzeży. Stąd konieczność zapewnienia wielowarstwowej obrony powietrznej dużego zasięgu, posiadania zwiększonej jednostki ognia czy hangaru śmigłowcowego. Zgrupowanie floty musi mieć także możliwość uzupełniania na morzu materiałów pędnych i części zamiennych. To dlatego ChRL buduje również duże jednostki pomocnicze, np. okręty zaopatrzeniowe typu 901 (240 m długości, około 45 tys. t wyporności), z których pierwszy trafił już do służby.

Osłony będą potrzebować jednak nie tylko lotniskowce. W działaniach na morzach Południowochińskim

i Wschodniocihńskim oraz w Cieśninie Tajwańskiej mających na celu projekcję siły, w operacjach ewakuacyjnych czy humanitarnych istotną rolę będą odgrywać również okręty desantowe – doki (LPD) i helikopterowce (LHD). Pekin ma już w służbie cztery jednostki LPD typu 071 (210 m długości, 25 tys. t wyporności), a kolejne dwie są w budowie. W 2016 roku rozpoczęto jednak konstruowanie znacznie większego LHD, o długości około 250 m i wyporności do 40 tys. t (we francuskich mistralach wynosi ona 21,3 tys. t, czyli dwa razy mniej). Powstanie więc jednostka porównywalna jedynie z amerykańskimi okrętami typu Wasp, równie cenna jak lotniskowiec i również wymagająca silnej i skutecznej ochrony. W takich zgrupowaniach znajdzie się zatem miejsce dla niszczycieli zapewniających parasol powietrzny dalekiego zasięgu.

Z WIELKIM ROZMACHEM

Przedwcześnie wydają się jednak doniesienia, że liczba jednostek typu 055 w serii zostanie zwiększona. Wprawdzie adm. Yin Zhuo z centrum badań wyposażenia PLAN stwierdził, że Państwo Środka będzie potrzebowało dwóch lotniskowców na Zachodnim Pacyfiku i kolejnych dwóch na Oceanie Indyjskim, czyli łącznie z jednostkami znajdującymi się teraz w remoncie – pięciu lub sześciu okrętów, jednak zbudowanie takiej floty zajmie nie mniej niż 15 lat. Pierwszy egzemplarz typu Rehnai trafi do służby w 2018 lub 2019 roku, kolejne będą przyjmowane w odstępach nie większych niż roczne, czyli seria może zostać ukończona około 2022–2023 roku.

Bardziej prawdopodobne jest, że Chiny będą dążyć do możliwie jak najpełniejszego sprawdzenia okrętów w rutynowych działaniach. Jeśli faktycznie zdecydują się na budowę i utrzymanie sześciu lotniskowcowych grup bojowych, bez wątpienia w ich skład wejdzie co najmniej taka sama, jeśli nie dwa razy większa, liczba dużych niszczycieli. Nie oznacza to jednak, że będą to wyłącznie jednostki typu 055.

Chińska marynarka wojenna rozwija się w szybkim tempie. W ubiegłym roku PLAN wzbogaciła się o 16 okrętów. W bieżącym, według danych „The Military Balance”, w jej wyposażeniu znajdują się m.in. cztery strategiczne atomowe okręty podwodne i pięć uderzeniowych, 48 jednostek z napędem konwencjonalnym, lotniskowiec, 21 niszczycieli, 57 fregat, 27 korwet i ponad 200 okrętów przybrzeżnych i patrolowych, z których przynajmniej połowa jest uzbrojona w pociski przeciwokrętowe. Budowa coraz większych jednostek skokowo zwiększa zdolności operacyjne i bojowe PLAN. Chińska flota obrony wybrzeża zmienia się zatem w oceaniczną. Historia zaś pokazuje, że rozwój zdolności morskich zawsze oznaczał wzrost pozycji międzynarodowej państwa. ■



PLAN NAVY

KRZYSZTOF WILEWSKI

Bombowy przypadek

Żadna armia na świecie nie przyznaje się do posiadania tej broni. Tak naprawdę pracują nad nią wszyscy liczący się na międzynarodowej arenie gracze.

Współczesna armia nie byłaby w stanie bez nich funkcjonować. Są niemal w całym wojsku. Tylko broń osobista oraz ekwipunek są ich pozbawione. Chociaż inżynierowie intensywnie pracują nad tym, aby stały się także częścią mundurów, żeby można było sprawdzać m.in. funkcje życiowe żołnierza, a do karabinów czy pistoletów można przecież zainstalować zaawansowane celowniki optoelektroniczne. O czym mowa? Chodzi o różnego rodzaju układy elektroniczne zbudowane z mikroskopijnych elementów, takich jak kondensatory, tranzystory, diody, oporniki, rezystory.

Systemy łączności, dowodzenia i kierowania ogniem, zarówno na szczeblu taktycznym, jak i na najniższym – czyli dotyczy to pojazdów i żołnierzy, ba, nawet kuchni polowych – nie mogą działać bez elektroniki. To jednak nie tylko powód do dumy z nowoczesnego wojska, lecz także potencjalne źródło problemów. Każdy wojskowy strateg ma bowiem świadomość, że jeżeli obezwładni systemy elektroniczne nieprzyjaciela, pokonanie go będzie zdecydowanie łatwiejsze. Pytanie tylko, jak to zrobić szybko, skutecznie i na jak największą skalę.

WIELKIE SPIĘCIE

Odpowiedź na to pytanie znalazła się przypadkowo. 9 lipca 1962 roku Amerykanie na swoim poligonie atomowym na Pacyfiku (w okolicach wyspy Johnston, oddalonej około 1400 km od Hawajów) przeprowadzili test „Starfish Prime”, czyli nowej głowicy

atomowej o mocy 1,4 Mt. Próba przebiegła wzorczo. Nośnik, czyli rakieta Thor bez problemu osiągnęła wymagany pułap 1100 km, a gdy w fazie spadania znalazła się w stratosferze na wysokości 400 km, została zdetonowana.

Nieco gorzej było z konsekwencjami wybuchu. Powstała bowiem tak silna fala elektromagnetyczna, że nie tylko został zniszczony (przez wzbudzenie prądów indukowanych o dużej mocy w antenach, kablach elektrycznych i elementach metalowych) amerykański sztuczny satelita znajdujący się na pobliskiej orbicie, lecz także na prawie pół godziny doszło do przerwania łączności radiowej na Pacyfiku. Ponadto na najbliższej wyspie Oahu w ulicznych latarniach poprzepalały się wszystkie żarówki, a w domach i sklepach uruchomione zostały alarmy przeciwpożarowe. Naukowcy z NASA obliczyli, że gdyby „Starfish Prime” miała dziesięciokrotnie większą moc i została wysadzona nie na 400 km, lecz na 100 km nad Ziemią, mógłby z niej powstać niszczycielski impuls elektromagnetyczny, obejmujący powierzchnię połowy terytorium Stanów Zjednoczonych!

Odkrycie Amerykanów nie mogło pozostać niezauważone przez Rosjan. Jeszcze w tym samym roku przeprowadzili na poligonie w Kazachstanie próbę ładunku atomowego przeznaczonego do wygenerowania fali elektromagnetycznej. Użyta przez nich głowica z serii K była jednak zdecydowanie słabsza od amerykańskiej, bo miała moc jedynie 300 kt. Nieoficjalne dane amerykańskiego wywiadu mówią o tym, że radziecki

JEŻELI OBEZWŁADNIMY SYSTEMY ELEKTRONICZ- NE PRZECIWNIKA, POKONANIE GO BĘDZIE ZDECYDOWANIE ŁATWIEJSZE

test również zakończył się powodzeniem. Fala była tak silna, że zniszczono znajdującą się w pobliżu podziemną linię energetyczną, a w połączonej z nią elektrowni wybuchł groźny pożar.

BEZ ATOMU

Naukowcy po obu stronach Oceanu Spokojnego szybko ustalili, że aby wywołać impuls elektromagnetyczny o sile zdolnej indukować w urządzeniach elektrycznych i elektronicznych gwałtowny wzrost napięcia do tysięcy woltów, wcale nie potrzeba wybuchu atomowego. Choć sposobów, aby to osiągnąć, było zapewne więcej, na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku inżynierowie skoncentrowali się na dwóch metodach. Pierwsza polegała na skonstruowaniu pewnego rodzaju „elektrycznej bomby”. Pocisk, w którym materiał wybuchowy (chemiczny) ukryto w metalowej tubie, został owinięty miedzianą cewką, a później zamknięty w izolatorze. Potem sekwencja działania była prosta. W cewkę puszczało się prąd i wysadzano ładunek. W efekcie powstawał impuls elektromagnetyczny. Największą słabością tego rozwiązania była niska efektywność, bo marnowała się znaczna część energii z eksplozji ładunku. Na dodatek do zasilenia cewki był potrzebny prąd o bardzo dużej mocy.

Tych wad nie miała druga metoda. Projekt bomby elektromagnetycznej, potocznie zwanej bombą E, zakładał wykorzystanie wynalezionej pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku wiratora, czyli mikrofalowej lampy elektronowej, której działanie polega na tym, że

do rezonatora magnetycznego za pomocą wysokiego napięcia niejako wstrzykuje się strumień elektronów. W bombie E niezbędne do uzyskania odpowiednio silnego impulsu elektromagnetycznego wysokie napięcie otrzymuje się z chemicznego ładunku wybuchowego, a dokładniej z wprawionych przez niego w ruch magnesów lub cewek.

AURA TAJEMNICY

Choć od początku prac nad bombami E minęło już prawie sześć dekad, to nadal żadne państwo na świecie nie potwierdziło oficjalnie, że ma taką broń w swoim wyposażeniu. Eksperci są natomiast zgodni, że skoro technologia umożliwia dziś zbudowanie nawet domowymi sposobami wiratora zdolnego spalić z odległości kilku metrów urządzenia elektroniczne (takiej broni użyto w ostatnich latach podczas kilku napadów na banki w Rosji), to wojsko musi mieć do dyspozycji coś znacznie skuteczniejszego. Mówi się nieoficjalnie, że w miniaturyzacji Amerykanie są zaawansowani do tego stopnia, że nośnikiem bomby E, będącej w stanie wyłączyć sieć energetyczną niedużego miasta, może być np. pocisk JASSM.

Czy bomby E to broń przyszłości? Tak, ale ma ona wiele wad. Łatwo na przykład jest się przed nią zabezpieczyć – zbudowanie odpowiednio ekranowanych kontenerów nie jest zbyt skomplikowane. Muszą je mieć właściwie wszystkie wojskowe systemy łączności, aby zapobiec inwigilacji przez systemy walki radioelektronicznej przeciwnika. ■



Najnowsze rozwiązania z artyleryjskiej stolicy Polski

HUTA STALOWA WOLA NA TARGACH MSPO 2017.



HSW

Goście odwiedzający tegoroczny MSPO 2017 w Kielcach będą mogli zobaczyć najnowocześniejszą broń artyleryjską i pancerną pochodzącą z Huty Stalowa Wola (HSW). Firma w ostatnim roku podpisała z MON-em największy w historii pod względem wartości kontrakt na dostawy systemu artyleryjskiego Krab w ramach programu „Regina”.

Podczas MSPO 2017 HSW pokaże nowy bojowy pływający wóz piechoty (model) ze zdalnie sterowanym systemem wieżowym 30 mm (prototyp) przygotowany w ramach programu „Borsuk”. Nowy wóz ma być podstawowym elementem przyszłych modułów batalionowych. Będzie to pierwszy pływający BWP. W nowym BWP zostaną zastosowane pożądane dla współczesnego pola walki parametry taktyczno-techniczne, a jego budowa oparta będzie na nowoczesnych rozwiązaniach konstrukcyjnych. Będzie miał dużą mobilność, możliwość pokonywania przeszkód wodnych oraz zdolność do działań w różnorodnych warunkach terenowych i klimatycznych z jednoczesnym zagwarantowaniem odpowiedniego poziomu ochrony balistycznej i przeciwminowej. Konstrukcja nowego BWP umożliwi transport drużyny piechoty oraz zabudowę na podwoziu systemu uzbrojenia zasadniczego z armatą kalibru 30 mm.

Nowy bojowy pływający wóz piechoty ma znacznie podnieść zdolności operacyjne pododdziałów do reali-

zacji zadań w operacjach o wysokiej intensywności działań.

Prowadzony w HSW projekt zakłada zbudowanie pojazdu do zwalczania czołgów podstawowych, co będzie osiągnięte dzięki zastosowaniu bezzałogowej wieży opracowanej przez HSW, wyposażonej w wyrzutnię przeciwpancernych pocisków kierowanych.

Projekt jest finansowany w ramach środków pozyskanych z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, z którym HSW SA zawarła umowę jako lider konsorcjum.

W czasie MSPO HSW ponownie zaprezentuje zmodyfikowany prototyp samobieżnej haubicy na podwoziu kołowym Kryl 155 mm. Lekka samobieżna armatohaubica jest przeznaczona do niszczenia systemów rakietowych, baterii artylerii i rakiet przeciwlotniczych, stanowisk dowodzenia, węzłów łączności i umocnień terenowych, pododdziałów zmechanizowanych i zmotoryzowanych oraz innych obiektów zaplecza. Charakteryzuje się szybkostrzelnością, wynoszącą podczas ognia intensywnego sześć pocisków na minutę, i donośnością maksimum 40 km. Kryl zbudowano na nowoczesnym, bardzo lekkim podwoziu kołowym Jelcz (po raz pierwszy firma JELCZ zastosowała w konstrukcji podwozia kabinę typu nosowego). Projekt jest finansowany w ramach środków pozyskanych z NCBiR.

Na MSPO 2017 Huta Stalowa Wola zaprezentuje również 120 mm moździerz samobieżny na podwoziu kołowym. Moździerz jest przeznaczony do rażenia ogniem pośrednim, pośrednim i na wprost obiektów przeciwnika, takich jak pododdziały zmechanizowane, czołgi, wykryte środki ogniowe, stanowiska dowodzenia i punkty dowódczo-obszaryjne, pododdziały i środki rozpoznania oraz środki walki elektronicznej, elementy rozbudowy fortyfikacyjnej przeciwnika.

Przy użyciu amunicji specjalnej moździerz realizuje zadania świetlnego i dymnego zabezpieczenia działań.

Należy tutaj wspomnieć, iż HSW S.A. realizuje już kontrakt na dostawę kołowej wersji 120 mm moździerza samobieżnego. Wprowadzenie na uzbrojenie wersji gasienicowej, znacznie wzmocni potencjał naszego wojska. ■



RAFAŁ
CIASTOŃ

Karaką w nieznane



Przyczyn, dla których epoka wielkich odkryć geograficznych nastała akurat w XV stuleciu, jest bez wątpienia kilka i nakładają się one na siebie. Nie byłoby jej jednak bez rewolucji w europejskim budownictwie okrętowym, którą było niewątpliwie opracowanie nowych klas statków, charakteryzujących się większą dzielnością morską i lepiej od wcześniej używanych nadających się do pełnomorskich wypraw.

Od czasów starożytności dominowała w Europie klasa statków czy też okrętów, którą ogólnie można określić mianem galery. Niezależnie od kształtów, jakie przybierały, czy były to greckie triery, rzymskie liburny, czy bizantyjskie dromony, ich główny napęd stanowiły wiosła, wspomagane jednym, pod koniec średniowiecza zaś dwoma żaglami łacińskimi. Były to jednostki smukłe, dość zwrotne i chociaż nieźle sprawdzały się na stosunkowo krótkich dystansach, nie zostały konstrukcyjnie przystosowane do zabierania większych zapasów (a trzeba pamiętać, iż załogę największych galery stanowiło do nawet kilkuset wioślarzy) i żegluga pod wiatr czy podczas dużej fali. Swoistym wyjątkiem były tu, klasyfikowane czasem jako typ galery, drakkary Wikingów, choć warto zauważyć, że wyprawy wojowników Północy różniły się od wypraw Kolumba czy Magellana – nie były to rejsy w poprzek oceanu, lecz podróże ze Skandynawii ku Islandii, Grenlandii i dalej ku legendarnej Winlandii...

Na przełomie XIV i XV stulecia na Półwyspie Iberyjskim zaczęto budować karawele i karaki. Pierwsze były jednopokładowymi dwu- lub trzymasztowcami, ze skośnymi żaglami łacińskimi, uzupełnianymi często na jednym maszcie żaglami rejowymi. Mierzyły do około 30 m długości, choć często były o połowę mniejsze. Dzięki elipsoidalnemu przekrojowi mieściły wystarczającą ilość zapasów, oferowały także miejsce na cenny ładunek, jaki spodziewano się przywieźć z Indii. Załogę stanowiło do 50 ludzi, jednak pojedynczy kasztel na rufie oferował pomieszczenia co najwyżej dla kapitana i oficerów, marynarzom zaś zostawał pokład. Rozwinięta z łodzi rybackich i rozwiązań stosowanych przez Maurów zwrotna karawela dobrze sprawdzała się w żegludze pod wiatr, jednak to nie ona była flagowym okrętem Kolumba w drodze do Nowego Świata, a później Vasco Da Gamy do Indii. Nie ona też jako pierwsza opłynęła świat we flotyli Magellana. Ta rola przypadła większej karace.

Karaka wywodziła się w części od znanej w Europie Północnej już od XII wieku kogi, ciężkiego statku handlowego używanego m.in. przez Hanzę. Była dłuższa od karaweli, często przekraczała 40 m, a jej wyporność mogła sięgać 800–1000 t, choć zdarzały się i większe jednostki. Kolisty przekrój zapewniał jej jeszcze większą ładowność, ale kosztem zwrotności. Trzy, rzadziej cztery maszty nosiły ożaglowanie rejowe, na pokładzie znajdowało się zaś miejsce dla dwóch kaszteli: rufowego dla kapitana i dziobowego dla załogi. Karaka była już statkiem w pełni oceanicznym, nadającym się do długotrwałych podróży ku nowo odkrywanych lądom, z czasem ewoluowała w galeon.



RAFAŁ CIASTOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

STRATEGIE

/ IRAK



Szczególny niepokój rodzi aktywność al-Hashd al-Shaabi, formacji złożonej z ludzi zaprawionych w bojach z islamistami, zmotywowanych ideologicznie i religijnie w duchu radykalnego szyizmu na wzór irański.



TOMASZ OTŁOWSKI

Z DESZCZU POD RYNNĘ

**Nowy rozdział historii Iraku może się okazać
dla wielu mieszkańców równie trudny
i bolesny jak rządy Państwa Islamskiego.**



AHMAD AL-RUBAYE/EAST NEWS

W

dziejach państw, narodów, a nawet i całych regionów są daty, które wyznaczają wydarzenia niekiedy niezauważalne dla współczesnych, wydające się pozornie mało istotne i niemające większego wpływu na bieg rzeczy. Historia jednak po jakimś czasie to właśnie im przyznaje główne znaczenie i wiodącą rolę w utrwalaniu przełomowych procesów.

Można do nich zaliczyć podpisane w Teheranie 23 lipca 2017 roku iracko-irańskie porozumienie międzyrządowe o współpracy w dziedzinie obronności i bezpieczeństwa. Pozornie zwyczajne wydarzenie, ale niezwykle wymowne jest to, że dokument podpisano właśnie w stolicy Iranu, a jego treść (wraz z licznymi aneksami) dotyczy tak ważnej materii, jak współdziałanie sił zbrojnych i bezpieczeństwa dwóch państw szyickich, położonych w sercu zdominowanego przez sunnitów Bliskiego Wschodu.

PRZEZ KARBAŁĘ DO JEROZOLIMY

Niemal 40 lat po wybuchu rewolucji w Iranie powołana w jej wyniku do życia Islamska Republika Iranu (IRI) jest dzisiaj – jak chyba jeszcze nigdy w historii – bliska realizacji swego najważniejszego celu strategicznego, czyli pełnego politycznego i ideologicznego podporządkowania sobie Iraku. W tym sensie zawarte 23 lipca 2017 roku porozumienie to bez wątpienia przełomowe wydarzenie o dużej symbolice. Tym samym formalnie zaczęło się ziszczać to, o czym marzył sam ajatollah Ruhollah Chomeini, twórca i pierwszy lider IRI, i co było celem milionów Irańczyków walczących w trwającej osiem lat (1980–1988) krwawej wojnie irańsko-irackiej. Poległy wówczas setki

tysięcy irańskich szyitów, którzy na swych sztandarach mieli wypisane zawołanie „Droga do Jerozolimy wiedzie przez Karbałę”. Wtedy nie było najmniejszych szans, aby nawet zbliżyć się do tego świętego dla wszystkich szyitów miasta w południowym Iraku (gdzie znajduje się grób imama Hussajna, wnuka Mahometa, według szyitów trzeciego w kolejności prawowierne przywódcy wspólnoty wiernych), o samej Jerozolimie już nie wspominając. Tak pomyślany eksport irańskiej rewolucji islamskiej utknął wówczas na irackich umocnieniach i rozległych polach minowych pod Basrą.

Irańczycy musieli czekać na kolejną szansę trzy dekady, ale ta zwłoka się opłacała. Iran zyskuje dzisiaj to, o czym marzyli twórcy IRI. Obecny układ o bliskiej współpracy militarnej obu krajów, dopuszczający m.in. faktyczną unifikację dowództw różnych rodzajów sił zbrojnych i różnych szczebli operacyjnych obu armii, a także ich bliską współpracę we wszystkich aspektach działania, stanowi zwieńczenie wysiłków Teheranu i oddanych mu irackich szyitów. Dla tych ostatnich Irak – jako państwo zdominowane przez mniejszość sunnicką – zawsze był obcym bytem. Teraz szyici biorą odwet za dekady upokorzeń i prześladowań, a sam Irak staje się coraz bardziej pewnego rodzaju kolonią islamskiego Iranu.

Ten proces nie jest niczym nowym – jego początków należy szukać już w połowie pierwszej dekady obecnego stulecia. To wtedy – po obaleniu w 2003 roku przez Amerykanów i ich sojuszników rządów Saddama Husajna i Partii Baas, opierających się na mniejszości sunnickiej – iraccy szyici zaczęli coraz śmielej podnosić głowę i domagać się praw należnych im ze względu na demograficzną dominację w społeczeństwie. Kiedy Amerykanie wprowadzili w Iraku mechanizmy i struktury demokratyczne, zwłaszcza wolne wybory do parlamentu, skutek mógł być tylko jeden: zdominowanie



Ministrowie obrony Iraku i Iranu wymieniają dokumenty o współpracy. Teheran 23 lipca 2017 roku.

T W I T T E R

POROZUMIENIE DOTYCZY WSPÓŁDZIAŁANIA SIŁ ZBROJNYCH I BEZPIECZEŃSTWA DWÓCH PAŃSTW SZYICKICH, POŁOŻONYCH W SERCU ZDOMINOWANEGO PRZEZ SUNNITÓW BLISKIEGO WSCHODU

sceny politycznej kraju przez szyicką większość. Na nic zdały się wbudowane przez Waszyngton w nową konstytucję Iraku mechanizmy zabezpieczające, takie jak kolegiálny urząd prezydenta (współdzielony przez reprezentantów różnych społeczności), wyznaniowo-etniczne parytety w rządzie, urzędach i służbach państwowych czy też próby odgórnego budowania świeckich ugrupowań politycznych na wzór dojrzałych demokracji zachodnich. Nie pomogło też wspieranie i promowanie tych szyickich ośrodków religijnych i teologicznych, które – jak hawza (szkoła religijna) w Nadżafie kierowana przez wielkiego ajatollaha Alego as-Sistaniego – wprost i zdecydowanie opowiadają się przeciwko irańskiemu modelowi społeczno-politycznemu i ustrojowemu.

KRAJOBRAZ PO SADDAMIE

Irak stopniowo stawał się państwem szyickim, blisko powiązany i współpracujący z Iranem. Sprzyjało temu niemal całkowite, świadome wycofanie się Kurdów z udziału w rozgrywkach na irackiej scenie politycznej oraz fakt, że społeczność sunnicka jako całość coraz bardziej była kojarzona z aktywnością ugrupowań ekstremistycznych i dżihadystycznych w tym kraju. Sunnici, z roku na rok coraz bardziej marginalizowani w życiu politycznym i gospodarczym Iraku oraz poddawani coraz większym represjom, mogli już tylko wspominać czasy dawnej świetności. Wiele z nich, najbardziej sfrustrowa-

nych i zdeterminowanych, aktywnie włączało się w działalność kolejnych generacji islamskiego dżihadu lub post-saddamowskiej świeckiej partyzantki, skupionej głównie w ramach osławionej Armii Naqushbandi.

Czynnikiem, który znacznie przyspieszył i wzmocnił utrwalanie w Iraku dominacji proirańskich ugrupowań szyickich, stało się utworzenie kalifatu, obejmującego m.in. ponad 30% terytorium tego kraju. Gdy latem 2014 roku oddziały Państwa Islamskiego (IS) stanęły na przedmieściach Bagdadu, a struktury rządowe ogarnął chaos, sytuację uratowali Irańczycy. Natychmiastowe masowe dostawy sprzętu, uzbrojenia i zaopatrzenia, a przede wszystkim przybycie setek doświadczonych instruktorów i oficerów (głównie z Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej – Pasdaran), pozwoliły opanować sytuację i uratować iracką stolicę.

Od tamtej pory irańska obecność wojskowa w Iraku – zarówno bezpośrednia (w postaci kilku tysięcy irańskich „ochotników”), jak i pośrednia (proirańskie milicje i formacje paramilitarne, w tym libański Hezbollah) – jest już stałym elementem rzeczywistości nad Tygrysem i Eufratem. To zaangażowanie jest największą strategiczną inwestycją Teheranu w regionie, jeśli nie liczyć podobnego w swej skali wsparcia dla Hezbollahu. Nie ulega wątpliwości, że bez tej asysty ze strony Iranu Bagdad nie byłby w stanie stopniowo odzyskiwać terenów zajętych przez Państwo Islamskie.



Odbicie Mosulu z rąk IS to faktyczny kres irackiej części kalifatu, przynajmniej jako jednolitej i w miarę funkcjonalnej całości terytorialnej. Pozostające jeszcze w rękach tej organizacji trzy relatywnie niewielkie enklawy na terenie Iraku (wokół miast Hawidża, Al-Kaim i Tal Afar) nie mają już takiego znaczenia, jak dwumilionowy przed wojną Mosul, stolica prowincji Niniwa i najważniejszy ośrodek polityczno-gospodarczy na północy kraju. Z pewnością te trzy ośrodki oporu IS będą jednak stanowić dla sił irackich spore wyzwanie, nawet jeśli prawdą są dzisiejsze szacunki Pentagonu wskazujące, że w każdej z tych enklaw kalifat może liczyć na nie więcej niż około tysiąca bojowników.

SPIRALA PRZEMOCY

Irackie formacje bezpieczeństwa poniosły w bitwie o Mosul bardzo duże straty osobowe – według szacunków zachodnich jest to średnio około 40% stanów wyjściowych. Choć już np. szturmowe formacje irackiej policji federalnej, ze względu na najlepsze wyszkolenie najbardziej eksploatowane w walkach, doznały strat na poziomie znacznie przekraczającym połowę ich stanów sprzed rozpoczęcia operacji. Oznacza to, że odzyskanie przez te jednostki minimalnej sprawności operacyjnej musi potrwać nawet kilka miesięcy. Co oczywiste, w tym czasie siły kalifatu nie będą próżnować. Choć odcięte od swych pobratymców w Syrii, będą próbowały ściągać uzupełnienia oraz podejmować próby wydostania się z okrążenia. Wiadomo już jednak od dawna, że każdy z tych żołnierzy kalifa to przecież potencjalny szahid, czyli męczennik za wiarę – fanatyczny bojownik gotowy stać się zamachowcem samobójcą.

Walka z tymi niedobitkami zorganizowanych struktur kalifatu na irackiej ziemi będzie więc długa, trudna i pociąganie za sobą jeszcze wiele istnień. A sytuacja rysuje się w znacznie ciemniejszych barwach, gdy uwzględnia się to, że Państwo Islamskie – jako organizacyjny i ideologiczny kontynuator osławionej Organizacji Al-Kaidy w Kraju Dwóch Rzek i późniejszej Al-Kaidy w Iraku – ma już niemal piętnastoletnie doświadczenie w prowadzeniu walki partyzanckiej i terrorystycznej. Jest więc niemal pewne, że po rozbiciu zorganizowanych struktur kalifatu niedobitki bojowników IS przejdą do konspiracji i podejmą działania asymetryczne wymierzone zarówno w państwo irackie, jak i ludność cywilną – głównie szyicką. Nie trzeba być prorokiem, aby móc przewidzieć, iż jest to prosta recepta na spiralę niekończącej się przemocy.

Sytuację wewnętrzną w Iraku u progu ostatecznego zwycięstwa nad kalifatem dodatkowo komplikuje to, że wciąż w powszechnej świadomości, zarówno szyickiej większości, jak i mniejszości prześladowanych przez isla-

mistów IS, wszyscy iraccy sunnici to niejako z założenia dzihadyści. Takie poglądy są popularne wśród żołnierzy irackich sił bezpieczeństwa oraz członków paramilitarnych formacji wchodzących w skład Sił Mobilizacji Ludowej (al-Hashd al-Shaabi). Skutkiem tego jest brak współdziałania między nimi a lokalną sunnicką ludnością, traktowaną co najmniej z niechęcią, a często poddawaną represjom. Niewielu zachodnich ekspertów przyznaje to oficjalnie, ale właśnie takie postępowanie irackich szyitów w dużym stopniu przyczyniło się do umocnienia w ostatnich miesiącach oporu sił IS w Mosulu i na północy Iraku, a tym samym wydłużenia czasu operacji wyzwolenia stolicy prowincji Niniwa.

Opowieści o losie mieszkańców sunnickich miasteczek i osad, które zostały „oswobodzone” przez oddziały al-Hashd al-Shaabi lub siły rządowe lotem błyskawicy obiegają cały iracki „sunnistan” i jeśli ktokolwiek wcześniej miał tam nadzieję, że rządy Bagdadu mogą być naturalną alternatywą dla kalifatu, to chyba ją stracił. Sunnicki internet i media społecznościowe w Iraku pełne są opisów prześladowań, represji, a nawet masowych mordów, jakich szyici mieli się dopuszczać na zwykłych cywilach w okolicach Mosulu czy Tal Afar, a wcześniej w Tikricie, Ramadi i Ar-Rutba. Nawet jeśli tylko niewielka część z tego jest prawdą, to Bagdad wygrał wprawdzie militarnie starcie z Państwem Islamskim, ale z kretesem przegrał walkę o serca i umysły oraz poparcie ze strony sunnickiej ludności kraju.

W tej sytuacji nie dziwi, że od współpracy z Bagdadem (czyli w istocie od dalszego pozostawania w Iraku) coraz silniej odżegnują się kolejne lokalne i regionalne społeczności; już nie tylko iracki Kurdystan, lecz także chrześcijańskie, jazydzkie i turkmeńskie społeczności zamieszkujące Niniwę. Z „nowego”, proirańskiego Iraku chcą uciec także sami sunnici, którzy w lipcu 2017 roku oficjalnie zgłosili się do władz irackiej Autonomii Kurdyjskiej z wnioskiem o dołączenie ich ziem do Kurdystanu i przeprowadzenie na tym terenie referendum niepodległościowego. Plebiscyt ten, zaplanowany na wrzesień 2017 roku, wciąż zresztą budzi liczne kontrowersje oraz spory na linii Irbil – Bagdad.

NA PROGU WOJNY DOMOWEJ

Jak widać, wraz ze zmniejszaniem się zagrożenia ze strony Państwa Islamskiego, rośnie wzajemna niechęć i nieufność między szyitami a sunnitami i Kurdami. Widać to zwłaszcza na terytorium północnego Iraku, gdzie wzajemne wpływy i interesy poszczególnych społeczności od zawsze się przeplatały, ścierały i do dzisiaj istnieje wiele nierozwiązanych kwestii spornych, jak choćby status Kirkuku czy nawet samego Mosulu. Coraz częściej



RYZIKO WOJNY DOMOWEJ JEST TYM WIĘKSZE, ŻE STOPNIOWE PRZESZTAŁCANIE SIĘ IRAKU W PAŃSTWO SZYICKIE MA CORAZ WIĘKSZY WPŁYW NA CODZIENNE ŻYCIE I ZACHOWANIA ZWYKŁYCH LUDZI

dochodzi tam do nieporozumień i sporów, a ponieważ każda grupa wyznaniowa czy społeczność etniczna ma już własne milicje, kończą się one regularnymi starciami zbrojnymi. Budzi to obawy przed dalszą eskalacją sytuacji wewnętrznej w Iraku, włącznie z jej libanizacją, czyli wybuchem regularnej wojny domowej między poszczególnymi grupami etniczno-wyznaniowymi. Szczególny niepokój rodzi aktywność al-Hashd al-Shaabi – formacji liczącej nawet 200 tys. ludzi dobrze uzbrojonych i wyszkolonych, w większości zaprawionych w bojach z islamistami, a nade wszystko zmotywowanych ideologicznie i religijnie w duchu

radikalnego szyizmu na wzór irański. Siły Mobilizacji Ludowej już od jakiegoś czasu mają status jednego z komponentów państwowych sił bezpieczeństwa Iraku, ale kierownictwo tej formacji chce mieć taką pozycję jak milicja ludowa Basidż w Iranie, stojąca na straży przestrzegania reguł islamskiej republiki i zasad czystości wiary.

Ryzyko wojny domowej jest tym większe, że stopniowe przekształcanie się Iraku w państwo szyickie, blisko powiązane z Iranem i czerpiące z tej islamskiej republiki wzorce podstawowych rozwiązań ustrojowych i ideologicznych, ma coraz większy wpływ na codzienne życie i zachowania zwykłych ludzi. Aktywiści monitorujący w tym kraju przestrzeganie praw człowieka odnotowują lawinowy wzrost liczby incydentów i przestępstw na tle dyskryminacji etnicznej, wyznaniowej, a także obyczajowej – prześladowani, a nawet mordowani są m.in. homoseksualiści oraz kobiety parające się nierządem. Dostaje się także zwolennikom zachodniego stylu mody odzieżowej, zwłaszcza paniom.

Coraz większą presję odczuwają także chrześcijanie różnych obrządków, którzy jeszcze pozostali w Iraku po latach prześladowań i późniejszym ludobójstwie ze strony IS. Dla nich wyzwolenie spod opresji kalifatu nie oznaczało, niestety, powrotu do dawnych czasów relatywnej tolerancji religijnej oraz swobody praktykowania ich kultu. Choć nie ma jeszcze mowy o jakichkolwiek zorganizowanych represjach ze strony szyickiej większości, to jednak brakuje dobrej woli władz państwowych co do odbudowy zniszczonych kościołów czy klasztorów – ślimaczą się decyzje administracyjne, obiecane środki finansowe gdzieś znikają, mnożą się problemy prawne i formalne. Być może dałoby się to wszystko zrzucić na karb „obiektywnych trudności”, wynikających z wojny z kalifatem, gdyby nie to, że nie ma takich kłopotów z odbudową świątyń szyickich.

Wszystko to składa się na niepokojący obraz rzeczywistości w Iraku. Ostateczne pokonanie Państwa Islamskiego na terenie Iraku, wyczekiwane z nadzieją i utęsknieniem przez miliony mieszkańców, będzie jednocześnie wstępem do nowego rozdziału w historii tego państwa. Rozdziału, który może się okazać jednak równie trudny i bolesny dla wielu z nich, jak czasy wpływów IS. ■

KONFLIKT BRATANKÓW

Z Januszem Daneckim

**o anarchii absolutnej na Bliskim
Wschodzie i sprzecznych interesach
wielu państw w tym regionie rozmawia
Małgorzata Schwarzgruber.**

Arabia Saudyjska oskarżyła Katar o wspieranie terroryzmu oraz nadmierne zbliżenie z Iranem i zerwała z nim stosunki dyplomatyczne. W ślad za Rijadem poszły Egipt, Bahrajn i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Światowe media ten konflikt okrzyknęły największym kryzysem na Bliskim Wschodzie od 1991 roku. Zgadza się Pan z nimi? Do wybuchu wojny sześciodniowej wystarczyła blokada Cieśniny Tirańskiej przez Egipt.

Od katarskiego kryzysu ważniejsze są zarówno pierwsza wojna w rejonie Zatoki Perskiej w 1991 roku, gdy Saddam Husajn zajął Kuwejt, a międzynarodowa koalicja odbi-

WIZYTÓWKA

 **JANUSZ
DANECKI**

Jest profesorem w Katedrze Arabistyki i Islamistyki Uniwersytetu Warszawskiego.

ła go podczas operacji „Pustynna Burza”, jak i zajęcie w 2003 roku Iraku przez Amerykanów i ich sojuszników. Ten konflikt jest przejawem walki o wpływy na Bliskim Wschodzie między Arabią Saudyjską a Katar. Mały emirat, dzięki wykorzystaniu telewizji satelitarnej Al-Dżazira, stał się lokalną liczącą się siłą polityczną, która oddziałuje na cały świat.

Jakie były przyczyny tego konfliktu? Religia czy interesy?

Oczywiście interesy. Między tymi krajami nie ma sporów religijnych, bo w obu, jako jedynych w rejonie Zatoki Perskiej, panuje purytański islam szkoły wahabickiej. Katar za bardzo się wychylił i Saudyjczycy wykorzystali pretekst – wspieranie przez Katar fundamentalistycznej opozycji. Na ten cel szły duże pieniądze i to od dawna. W oczach Zachodu wspieranie terroryzmu przez państwo arabskie jest zarzutem najcięższego kalibru.

Przecież Katarczycy od dawna wspierali islamskich radykałów – od Libii, przez Syrię, po Afganistan. Co było kroplą, która przełamała czarę?

Iran, a właściwie rywalizacja Arabii z tym krajem. Są to dwa potężne państwa. Iran ma więcej ludności – 80–90 mln, ale Arabia dysponuje większymi funduszami. Irańczycy zawsze mieli swój przyczółek w Jemenie. Rijad wykorzystuje więc każdą okazję, aby odpłacić Teheranowi. Katar jako bogaty kraj, mający propagandowo wielką siłę przebiecia, nadawał się do tego bardziej niż biedny Jemen. Obawiam się jednak, że jeśli Rijad będzie nadal zbyt mocno naciskał na Katar, ten może szukać bliższej komitywy z Iranem. A taka tendencja może okazać się niebezpieczna.

Nie o to chyba chodziło Arabii?

Zupełnie nie o to, ale taki może być skutek. Katarczycy zawsze współpracowali gospodarczo z Iranem, podobnie jak inne kraje, np. Zjednoczone Emiraty Arabskie, które teraz twierdzą, że są antyirańskie.

Czy konflikt Iranu z Arabią polega głównie na przeciąganiu liny, żeby pokazać, kto jest silniejszy?

Trudno, aby któraś ze stron ustąpiła. Ten konflikt ma charakter propagandowy – pokrzykujemy na siebie, ale nie ma otwartej wojny, takiej jak w Jemenie. W północnym Je-

menie są zajdyci – jest to odmiana łagodnego i otwartego szyizmu, mówiło się nawet, że szyicka północ i sunnickie południe dość dobrze koegzystują. To się zmieniło po Arabskiej Wiośnie, gdy doszło do walki o władzę. Na północy kraju pojawiła się rodzina Al-Huthi – ojciec urodzony w latach trzydziestych XX wieku, jego synowie z czterech żon urodzeni w latach pięćdziesiątych, wnukowie z lat siedemdziesiątych oraz prawnukowie z lat dziewięćdziesiątych. Razem kilkaset osób. Ta rodzina stwierdziła, że jej plemienne interesy są sprzeczne z rządowymi, ruszyła na stolicę i ją zajęła. Zaczęła się wojna. Interweniowała Arabia Saudyjska, która chciała zaprowadzić pokój, a wtedy włączył się Iran. Wszystko z powodu jednej zajdyckiej rodziny. Nic dziwnego, że Iran próbuje upiec przy tym ogniu własną pieczeń. Ten konflikt rozgrywa się u południowych granic Arabii Saudyjskiej, która mobilizuje do interwencji m.in. Zjednoczone Emiraty Arabskie.

Interesy państw arabskich na Bliskim Wschodzie są sprzeczne i się krzyżują. Na tę siatkę konfliktów nakładają się interesy zewnętrznych rozgrywających...

Ta mozaika jest dość skomplikowana. Jedyną kwestią, która łączy cały świat arabski, jest konflikt izraelsko-palestyński, bo wszystkie kraje arabskie wspierają Palestyńczyków. Reszta spraw wszystkich dzieli. Spójrzmy na Syrię. Jedne państwa wspierają syryjską opozycję, inne, np. Iran – reżim Baszszara al-Asada. Partie libańskie, np. Hezbollah, są związane z Iranem, a jednocześnie z Syrią. Bracia Muzułmanie w Egipcie zawsze byli finansowani przez Arabię Saudyjską, a dziś Egipt jest sprzymierzeńcem tego kraju, chociaż rząd As-Sisiego jest przeciwko Braciom. W Libii panuje kompletny chaos – anarchia absolutna.

Powodem sporów w tym regionie zazwyczaj była ropa naftowa. Teraz doszli uchodźcy.

Europa ma interes w powstrzymaniu fali migracji z Czarnej Afryki, która przez Libię przedostaje się na Stary Kontynent. Dawniej zatrzymywał ją płk Al-Kaddafi. Zachód postanowił pomóc Libijczykom w zwalczeniu dyktatora i... zapanował rozgardiasz. Kolejne państwo – Sudan. Z naszego punktu widzenia rządzi nim przestępcy, a tak naprawdę muzułmańscy fundamentaliści, podobnie jak Iranem i Arabią Saudyjską. Zgodnie z życzeniem świata zachodniego Sudan został podzielony na północ, gdzie →

Ten konflikt ma charakter propagandowy – pokrzykujemy na siebie, ale nie ma otwartej wojny

powstała republika, oraz południe ogarnięte wojną domową, w której stawką jest m.in. ropa naftowa. W regionie mamy jedno królestwo – Maroko. Ten biedny i słaby kraj jest wspierany przez Zachód, który widzi szanse na współpracę. Jest to ekspansjonistyczne państwo, które marzy o wielkim Maroku. Problemem jest Sahara Zachodnia, gdzie trwa wojna. W sąsiedniej Algierii już piątą kadencję rządzi Abd al-Aziz Buteflika. Jedynym państwem, które po Arabskiej Wiośnie wybiło się na demokrację, jest Tunezja. Jak widać, jest to bardzo różnorodna mozaika, na dodatek często się zmienia. Wróćmy jednak do Kataru. Przez lata ten kraj i Arabia Saudyjska były niczym dwa bratanki. Łączyła je religia, wielkie dochody, współpraca gospodarcza, a nawet spokrewnione rody królewskie.

Jaka jest obecna polityka Amerykanów wobec Bliskiego Wschodu?

Zawsze była to polityka wuja Sama, który pilnuje, aby w regionie panował porządek i dba o własne interesy. Jedynym poważnym problemem jest konflikt syryjski, w którego rozwiązanie wmieszała się Rosja. Amerykanie w tej grze chętnie pozbyliby się Moskwy. W Hamburgu z okazji szczytu G-20 spotkali się prezydenci Donald Trump i Władimir Putin, ale mimo entuzjastycznych wypowiedzi nie widać rezultatów tych rozmów, choć wciąż jest mowa o chęci współpracy w rozwiązaniu konfliktu syryjskiego.

W odróżnieniu od poprzednika, starającego się zachować pozory neutralności na Bliskim Wschodzie, nowy prezydent USA nie pozostawił wątpliwości, po której stronie tego konfliktu stoi. Odwiedził Arabię Saudyjską i postawił ultimatum Katarowi, a potem Amerykanie podpisali z tym krajem kontrakt zbrojeniowy o wartości 12 mld dolarów.

Katar jest ważny dla USA, bo w Al-Udajd znajduje się najważniejsza amerykańska baza wojskowa na Bliskim Wschodzie. Startowały z niej samoloty w czasie wojny w Afganistanie w 2001 roku i podczas kampanii przeciw Saddamowi Husajnowi w 2003. Dziś stacjonuje tam ponad 10 tys. żołnierzy i startują stamtąd samoloty bombardujące pozycje Państwa Islamskiego w Syrii i Iraku. Baza nie jest w żaden sposób zagrożona. Dlatego podkreślam, że kryzys katarski jest typowo arabskim słownym kryzysem: atakujemy się, ale głównie za pomocą wielkich słów. Chodzi przede wszystkim o zredukowanie propagandowego wpływu Kataru na arabski i muzułmański świat.

Czy tę sytuację może skomplikować sukcesja tronu w Rijadzie? Sędziwy 81-letni król Salman zdecydował, że jego następcą nie będzie bratanek, 58-letni książę

Muhammad ibn Najif Ibn Abd al-Aziz Al Saud, ale jego syn, 31-letni Muhammad ibn Salman as-Saud, pierwszy z pokolenia wnuków króla Abd al-Aziza ibn Al Sauda, założyciela saudyjskiego państwa.

To rzeczywiście radykalne posunięcie, ale jeszcze nie zostało przesądzone. Na razie interesów państwa pilnuje stara generacja. Gdyby doszło do takiej zmiany, na saudyjskim tronie zasiadłby młody władca, taki jaki dziś rządzi Katar – to 37-letni emir Tamim ibn Hamad Al Sani. Wprawdzie wykształcił się w tradycyjnej szkole w Wielkiej Brytanii, ale ma radykalne muzułmańskie pomysły.

Jakie zyski czerpie Moskwa z takiej chaotycznej sytuacji na Bliskim Wschodzie? Przedłużająca się izolacja Kataru nie zablokuje dopływu tamtejszego gazu na rynki światowe?

Na odcięciu gazu bardziej skorzystaliby Amerykanie. Rosja stara się raczej utrzymywać status quo, m.in. jedyną swoją bazę w okolicach Morza Śródziemnego, która znajduje się w Tartusie w Syrii. Moskwa rywalizuje z Waszyngtonem, stąd sojusz z Iranem. Stara się natomiast zwiększyć swoje wpływy w Turcji.

Turcja, członek NATO, na katarski kryzys zareagowała konsultacjami z Rosją, sojuszniczką Iranu, i z samym Teheranem. Parlament w Ankarze przyjął ustawę pozwalającą na wysłanie do Kataru 5 tys. żołnierzy. Czy Turcja jest gotowa rozpocząć militarną licytację z Rijadem?

Raczej nie. Turcji na tym nie zależy. Wysłanie wojska do Kataru ma symboliczne znaczenie. Ankarę chce powiedzieć: „Mamy tu swoje interesy”. Dla Turcji zagrożeniem jest tzw. Państwo Islamskie, które ja nazywam Państwem Muzułmańskim, choć nie do końca, bo na terenach zajętych przez Daesz – to arabska nazwa Państwa Muzułmańskiego, skrót od arabskiego Ad-Daula al-Islamijja fi al-Irak wa-Asz-Szam, czyli Państwo Muzułmańskie w Iraku i Wielkiej Syrii – żyją także Kurdowie. Zachód stara się ich wspierać, a to nie podoba się Turcji.

Burzliwa kariera kalifatu rozpoczęła się od zdobycia Mosulu przed trzema laty. W jakim stopniu odbicie tego miasta przez wojska irackie oznacza koniec ISIS?

To przełom i początek końca. Zanim jednak Irakijczycy osiągnęli sukces, walki trwały kilkanaście miesięcy. Kolejnym centrum Daesz, nawet ważniejszym niż Mosul, jest Ar-Rakka w Syrii. W tym kraju Amerykanie wspierają prezydenta Baszszara al-Asada oraz dogadują się z Rosjanami, aby wspólnie działać przeciwko Państwu Islamskiemu. To jedyny sposób, aby nie wysyłać tam własnych wojsk. Mam jednak wątpliwości, czy uda się ta rosyjsko-



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

Mały emirat, dzięki wykorzystaniu telewizji satelitarnej Al-Dżazira, stał się lokalną liczącą się siłą polityczną, która oddziałuje na cały świat

-amerykańska współpraca. Także Turcja walczy przeciwko różnym bojówkom Daesz, co de facto jest także wsparciem dla Asada.

Po kilku latach walk wyłoni się nowa – stara Syria?

Trudno dziś wyobrazić sobie inną Syrię. Gdyby do władzy doszła opozycja, zostałoby wyrzniętych 2 mln alawitów, czyli przedstawicieli prosyryjskiego ugrupowania religijnego sprawującego władzę w tym kraju. Nie wolno na to pozwolić. Musi nastąpić powolny proces demokratyzacji. To jedyna droga. Pozbicie się z dnia na dzień obecnej władzy wywoła wielki chaos i anarchię.

Co z konfliktem izraelsko-palestyńskim? Prezydent Trump wysłał sprzeczne sygnały,

m.in. odłożył obietnicę poparcia przeniesienia stolicy do Jerozolimy.

Od lat w Jerozolimie trwa konflikt religijny między muzułmanami a Żydami o Wzgórze Świątynne. Ostatnio UNESCO uchwaliło, że Hebron na Zachodnim Brzegu jest światowym dziedzictwem, co oznacza, że jest chroniony. Ta decyzja wywołała furję w Izraelu, bo uniemożliwi przebudowę osiedli zabezpieczających żydowskich osadników. Zadowoleni są natomiast Palestyńczycy, którzy chcą, aby było to święte miejsce i został ograniczony ekspansjonizm izraelski.

Twierdzi Pan, że lokalny konflikt wokół Kataru nie zmieni układu sił na Bliskim Wschodzie. Jak się jednak zakończy?

W pewien sposób wszystkie strony będą musiały nieco ustąpić. Być może na Katarze zostanie wymuszone pewne ograniczenie propagandowej działalności albo jej zmiana. Może też być tak, że Katar zostanie skłoniony do tego, aby nie wchodził w polityczne układy z Iranem. Przede wszystkim jednak musi on ograniczyć wsparcie dla wszelkich religijnych, fundamentalistycznych, terrorystycznych organizacji.

A druga strona? Sponsorów tzw. Państwa Islamskiego i Al-Kaidy jest немало także w Dubaju oraz w samej Arabii Saudyjskiej.

Arabia wspiera głównie wahabitów, ale tajne służby lojalnie współpracują z Amerykanami. Co do Państwa Islamskiego, sądzę, że zacznie zanikać. Ci terroryści, którzy przeżyją walki takie jak w Mosulu, mogą nie kontynuować swojej krucjaty, jeśli zostaną pozbawieni środków finansowych. Pozostanie coraz mniej ideologów. Takie procesy zależą jednak od sytuacji międzynarodowej i długo trwają, np. konflikt izraelsko-palestyński rozpoczął się przed blisko 70 laty. Chodzi o to, aby mimo zagrożeń znaleźć metody współżycia. Likwidacja tzw. Państwa Islamskiego to nie tylko sprawa fundamentalistycznego islamu, ale także władz szyickich, które panują w Iraku, oraz będących w mniejszości sunnitów. W Syrii jest odwrotnie – większość stanowią sunnici, ale władzę sprawuje prosyryjska mniejszość alawicka. Swoje prawa muszą odzyskać – w Iraku mniejszość sunnicka, a w Syrii – sunnicka większość. ■

ROBERT SENDEK

KREW I MIÓD

Bośnia i Hercegowina jest uważana za rozsądnik radykalnego islamu na Bałkanach. Władze próbują się uporać z tym problemem, ale nie jest to łatwe.

W wydany przez tzw. Państwo Islamskie (IS) na początku czerwca islamistycznym magazynie „Rumiyah”, w edycji w języku bośniackim, ukazał się artykuł „Balkan: krew dla wrogów, miód dla przyjaciół”. Tytuł nawiązuje do rozpowszechnionego na Bałkanach przekonania co do tego, skąd się wzięła nazwa całego regionu. Otóż ma ona pochodzić od dwóch tureckich słów: „bal”, czyli „miód”, i „kan”, czyli „krew”. W rzeczywistości etymologia tego wyrazu jest zupełnie inna, ale w tekście nie chodziło o naukową rzetelność, lecz o wyrazisty przekaz.

Autor artykułu wprost stwierdził, że dżihadysty „nie zapomnieli o Bałkanach”, tylko ostatnio „byli trochę zajęci”. Jako zapowiedź tego, co może się stać, przywołano przykłady USA, Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii, czyli krajów, w których w ostatnich latach doszło do zamachów terrorystycznych. Dużą część tekstu stanowią groźby, głównie pod adresem „niewiernych” Serbów i Chorwatów, ale także, co istotne, bałkańskich murtadów, czyli odstępców od islamu. W kolejnym, wydanym w połowie lipca, numerze magazynu znów pojawiły się groźby, tym razem skierowane głównie do „odstępców od islamu”, których dżihadysty wskazali zgodnie z własną logiką. Do artykułu zostało dołączone zdjęcie: „odstępcami od islamu” mają być główni przedstawiciele wspólnoty muzułmańskiej w Bośni i Hercegowinie, wielki mufti Husein Kavazović, jego zastępca Husein Smajić oraz inni bośniaccy mufti.

Groźby zamieszczone na łamach islamistycznego pisma postawiły na nogi służby w całym regionie. Media donosiły, powołując się na źródła w służbach specjalnych, że za szokującymi tekstami stoi najprawdopodobniej Ines Midžić. Pochodzi on z zachodniobośniackiego Bihacia, a do Syrii wyjechał już w sierpniu 2012 roku. Midžić znany jest służbom z tego, że uczestniczył w nagrywaniu dla tzw. Państwa Islamskiego propagandowych filmów, w których pojawiał się jako Salahuddin al-Bosni. Podobno nawet zamordował przed kamerami kurdyjskiego bojownika.



TADEUSZ WRÓBEL



GROŹBY ZAMIESZCZONE NA ŁAMACH ISLAMISTYCZNEGO PISMA POSTAWIŁY NA NOGI SŁUŻBY W CAŁYM REGIONIE



Amir Selimović walczący pod sztandarami ISIS

NIELEGALNE DŻAMAATY

Groźby kierowane pod adresem „niewiernych” należą niejako do stałego zestawu środków, którymi posługują się propagandyści IS. Warto jednak powiedzieć kilka słów o tym, dlaczego w materiałach zamieszczonych na łamach „Rumiyah” znalazły się pogróżki wymierzone w bośniackich przedstawicieli islamu. To ważne, gdyż pokazuje problem, jaki z islamistami mają władze tego kraju. Rzecz w tym, że dość duża grupa muzułmanów w BiH pozostaje poza oficjalnymi, usankcjonowanymi przez prawo i konstytucję kraju, strukturami wspólnoty muzułmańskiej. Są to przede wszystkim grupy najbardziej radykalne, wyznające taką odmianę islamu, która jest obca łagodnej odmianie tej religii na Bałkanach.

Grupy te są finansowane nie z budżetu państwa, lecz za pośrednictwem fundacji tworzonych przez bogatych szejków z rejonu Zatoki Perskiej. Na początku 2016 roku poza systemem uznawanej przez państwo wspólnoty muzułmańskiej były aż 64 dżamaaty (gminy wyznaniowe). Zgodnie z prawem bośniackim wszystkie działające w kraju gminy muzułmańskie powinny uzyskać akceptację wspólnoty islamskiej i działać w jej ramach, a imamem może zostać jedynie osoba wskazana przez muftiego. Tymczasem wiele gmin omija prawo i rejestruje się →

TO STĄD WYJECHAŁO NAJWIĘCEJ W REGIONIE OCHOTNIKÓW, KTÓRZY PRZYŁĄCZYLI SIĘ DO TZW. PAŃSTWA ISLAMSKIEGO

jako stowarzyszenia, a następnie działa niezależnie od bośniackiej wspólnoty muzułmańskiej. Zdaniem ekspertów to właśnie tam powstały ośrodki, skąd rekrutowano ochotników do walki w Syrii i Iraku pod sztandarem IS. Takich gmin szczególnie dużo było w okolicach Zenicy, Travnika i Bihacia, a zatem w centrum i na zachodzie BiH. Szczególną sławę pod tym względem zdobyła wieś Gornja Maoča w północno-wschodniej Bośni.

Działalność niezależnych, radykalnych gmin islamskich kładła się cieniem na całą bośniacką wspólnotę islamską. Wielki mufti Husein Kavazović wystosował odezwę do muzułmanów, by opuszczali nielegalne gminy i wracali na łono oficjalnej wspólnoty. Na początku marca 2016 roku upłynął termin, w którym członkowie niezależnych gmin mieli przyłączyć się do oficjalnej wspólnoty islamskiej. Potem policja ruszyła z akcją likwidowania alternatywnych gmin wyznaniowych i zamykania obiektów, w których nielegalnie odbywały się obrzędy religijne. Wtedy pod adresem Kavazovicia posypały się groźby. Ich autorem był m.in. walczący pod sztandarami IS Amir Selimović.

Zamykanie „paradžamaatów”, jak w Bośni są nazywane nielegalne gminy islamskie, idzie jednak dość opornie. Choć pierwotny termin dawno już minął, problem nie został rozwiązany właściwie do dzisiaj. Wprawdzie duża część niezależnych gmin uznała autorytet wspólnoty muzułmańskiej, weszła w jej struktury (dzięki czemu wspólnota islamska, a więc także struktury państwowe uzyskały nad nimi kontrolę), wciąż są jednak te działające na własną rękę. Niejako przy okazji służby bezpieczeństwa szczegółowo sprawdzają powiązania poszczególnych gmin z radykalnymi ugrupowaniami islamistycznymi oraz badają problem rekrutowania ochotników i wysyłania ich na pole walki na Bliski Wschód.

WIEZIENIE NA WOLNOŚCI

Od 2013 roku z Bośni i Hercegowiny wyjechało 300–350 osób, żeby walczyć po stronie tzw. Państwa Islamskiego (najwięcej ze wszystkich krajów bałkańskich). Spośród nich wróciło już, jak oceniają eksperci, od 50 do nawet 110 osób. W związku z upadkiem Mosulu i odwrotem islamistów niemal na wszystkich frontach powstaje zagrożenie, że ludzie walczący w szeregach IS zaczęną wracać do domów. Są wyszkoleni i mają doświadczenie bojowe, potrafią posługiwać się bronią i materiałami wybuchowymi. Co więcej, mogą stanowić rozsądną radykalnej ideologii już na miejscu, w swym ojczystym kraju.

Władze próbują monitorować radykalne środowiska, aresztują bojowników wracających z Syrii i Iraku i wytaczają im procesy. Starania podejmowane przez urzędników bośniackich zostały dostrze-

żone także w najnowszym raporcie amerykańskiego Departamentu Stanu z lipca 2017 roku. Niektóre przypadki obnażają jednak bezwład maszyny państwowej lub – jak chcą tego krytycy – udowadniają, że mogą to być tylko działania pozorowane.

Jak w Bośni wygląda walka z terrorystami, dobrze ilustruje sprawa Enesa Mešicia. W połowie czerwca bośniackie służby zatrzymały go na granicy z Serbią, gdy próbował wyjechać, najprawdopodobniej do Syrii. Mešić w przeszłości był już zatrzymywany w związku z oskarżeniami o działalność terrorystyczną. Udowodniono mu walkę po stronie IS i jesienią 2016 roku został skazany na trzy lata więzienia. Wraz z nim sądzono wtedy jeszcze sześciu innych radykałów, którym w sumie wymierzono karę 12 lat i pięciu miesięcy więzienia. Mešić nie rozpoczął jednak jej odsiadki, czekał na swoją kolej na wolności. Odebrano mu paszport, ale pozostawiono dowód osobisty, który pozwalał na wyjazd z kraju. Taka niefrasobliwość sądu jest zastanawiająca, choć niektórzy twierdzą, że to raczej życzliwość wysoko postawionych ludzi, którzy sprzyjają środowiskom, z jakich Mešić się wywodzi.

Przypadek innego bojownika pokazuje jednak, że bośniacki system walki z radykałami się nie sprawdza. Adem Karamuja został w kwietniu skazany na dwa lata więzienia za walkę po stronie IS i też miał poczekać na wykonanie wyroku. Kiedy w lipcu wysłano mu wezwanie do więzienia, okazało się, że zniknął. Przypuszcza się, że ukrywa się w jednym z „paradžamaatów” albo wyjechał już z kraju.

Inna sprawa to wyroki, jakie zapadają na procesach dżihadystów. Dziennikarze wychodzącej w Mostarze gazety „Dnevni list” zauważyli, że za członkostwo w strukturach najbardziej niebezpiecznej organizacji terrorystycznej na świecie sądy w Bośni i Hercegowinie orzekają karę średnio jednego roku i dziewięciu miesięcy więzienia, czyli mniej więcej tyle, ile – jak z przekąsem zauważono – dostaje się za fałszowanie dokumentów urzędowych albo nielegalny handel płytami CD. Dziennikarze ironizują także, że bojownikom wracającym z pól bitew opłaca się przyznać do wszystkiego i współpracować z wymiarem sprawiedliwości, bo można w ten sposób zminimalizować karę. I zamiast przewidzianych 8–10 lat pozbawienia wolności, dostać ledwie rok czy dwa lata. Złośliwi komentują, że w ten sposób państwo funduje sobie rzeszę ukrytych zwolenników IS albo samotnych wilków, gotowych do ataku przy pierwszej możliwej okazji. ■



TADEUSZ WRÓBEL

Echo brexitu?

Rząd Wielkiej Brytanii sprawdza, jak są wdrażane zalecenia strategicznego przeglądu obrony i bezpieczeństwa z 2015 roku.

Strategiczne przeglądy obrony i bezpieczeństwa w Wielkiej Brytanii są przeprowadzane co pięć lat. Najbliższy powinien się odbyć w 2020 roku. Tymczasem rząd ogłosił, że wkrótce powstanie miniprzegląd. I chociaż władze w Londynie twierdzą, że nie ma on nic wspólnego z planami wyjścia Zjednoczonego Królestwa z Unii Europejskiej, to eksperci od dawna sygnalizują, że brexit będzie miał wpływ na tę dziedzinę funkcjonowania państwa.

ZDYSTANSOWANI WYSPIARZE

Nie będą to jednak rewolucyjne zmiany, ponieważ Brytyjczycy nigdy nie byli entuzjastami inicjatyw pogłębiania współpracy militarnej w ramach wspólnoty europejskiej. Przez lata skutecznie blokowali wszelkie próby tworzenia unijnych struktur wojskowych, bo ważniejsza dla nich jest współpraca w ramach sojuszu północnoatlantyckiego, którego członkiem są Stany Zjednoczone.

Bliskie stosunki między Londynem a Waszyngtonem bywały przyczyną napięć z partnerami w UE. W 2003 roku na przykład Wielka Brytania wzięła udział razem z USA w inwazji na Irak, a Francja i Niemcy ostro się jej sprzeciwiały. Niemniej jednak z czasem wyspiarze nawiązali z Paryżem bardzo bliską współpracę wojsko-

wą w ramach porozumień dwustronnych. Ponadto po opuszczeniu wspólnoty Wielka Brytania w kwestiach bezpieczeństwa będzie musiała współpracować z Unią Europejską. Takie zagrożenia, jak zorganizowana przestępczość, terroryzm czy ataki cybernetyczne mają bowiem charakter ponadnarodowy. Londyn poza wspólnotą natomiast utraci choćby możliwość bezpośredniego korzystania z baz danych Europolu. Eksperci zwracają uwagę na to, że brak dostępu do europejskiego nakazu aresztowania utrudni brytyjskiemu wymiarowi sprawiedliwości ekstradycję podejrzanych i przestępców przebywających na terytorium Unii.

Współpracę między Londynem a UE wymuszą też stanowiące zagrożenie dla Europy konflikty na Bliskim Wschodzie i na Ukrainie, w które jest zaangażowana Rosja. Wielka Brytania należy do niewielkiego grona państw europejskich, które nie potraktowały końca zimnej wojny jako doskonałego pretekstu do samorozbrojenia. Tegoroczny budżet resortu obrony wynosi 36 mld funtów szterlingów, a konserwatywny rząd zadeklarował, że będzie zwiększał go do 2022 roku o 0,5% rocznie powyżej stopy inflacji. Londyn przeznacza na obronę 2% produktu krajowego brutto, ale kwoty będą zależały od wzrostu gospodarczego. Tymczasem obecne →

BRYTYJCZYCY CHĘTNIE WSPÓŁPRACUJĄ Z PAŃSTWAMI Z KRĘGU ANGLOSASKIEGO, TAKIMI JAK USA, AUSTRALIA CZY NOWA ZELANDIA

perspektywy gospodarcze nie wyglądają najlepiej, a to oznacza mniejsze pieniądze na obronność.

KŁOPOTLIWE FINANSE

Były premier David Cameron traktował dziedziny bezpieczeństwa i obrony priorytetowo. Zapowiedział, że w ciągu dziesięciu lat zostanie przeznaczonych ponad 178 mld funtów szterlingów na inwestycje mające wzmocnić potencjał militarny Wielkiej Brytanii. Jednym z najkosztowniejszych projektów jest budowa nowych atomowych okrętów podwodnych uzbrojonych w rakiety balistyczne z głowicami nuklearnymi. Szacuje się, że potrzeba będzie na to około 31 mld funtów szterlingów. To są imponujące kwoty, a politycy w Londynie mają spory problem z finansami. Po tym, gdy większość mieszkańców Wielkiej Brytanii opowiedziała się za opuszczeniem Unii Europejskiej, doszło do osłabienia jej waluty. I tak w styczniu 2016 roku funt szterling był wart 1,46 amerykańskiego dolara i 1,32 euro, a na początku sierpnia 2017 roku – odpowiednio 1,30 dolara i 1,10 euro.

Wartość funta ma niebagatelne znaczenie, bo Wielka Brytania nie tylko eksportuje dużo uzbrojenia i sprzętu wojskowego, lecz także jest jego wielkim importerem. Według danych Departamentu Stanu z raportu World Military Expenditures and Arms Transfers 2016, w latach 2004–2014 wartość brytyjskiego importu dóbr i usług w tej dziedzinie wynosiła średnio 10,6 mld dolarów rocznie (według stawki dolara w 2014 roku). Brytyjczycy najczęściej kupują od Amerykanów. W ostatnich latach zamówili u nich m.in. dziewięć morskich samolotów patrolowych P-8 Poseidon, za które trzeba będzie zapłacić ponad 3 mld dolarów, i 50 śmigłowców szturmowych AH-64E za 2,3 mld dolarów. Spadek wartości funta o kilkanaście procent przy wielomiliardowych transakcjach oznacza wzrost kosztów o setki milionów.

Stosunkowo mało uzbrojenia Wielka Brytania kupuje w państwach europejskich. Niemniej jednak uczestniczy w ponadnarodowych programach zbrojeniowych dotyczących samolotów wielozadaniowych Typhoon, transportowych A400M Atlas czy pocisków powietrze–powietrze

Meteor. W europejskiej walucie częściowo są również rozliczane niektóre programy krajowe, bo pewne podzespoły do nich dostarczają firmy zagraniczne. Po brexicie pojawia się z pewnością kwestie cła i podatków na produkty militarne. Niektóre z firm zagranicznych mogą też przenieść produkcję do innych państw. Ostatnio na tym polu władze brytyjskie odniosły pewien sukces – przekonały Leonardo Helicopters, by cała produkcja śmigłowców wielozadaniowych AW 159 Wildcat odbywała się w Yeovil. W zamian włoska firma może liczyć na nowe kontrakty z resortem obrony.

Brytyjczycy uważają, że opuszczenie Unii Europejskiej nie zaszkodzi w znaczący sposób ich zbrojeniówce, bo większość tamtejszego eksportu od lat jest skierowana do państw pozaeuropejskich, m.in. na Bliski Wschód i do Azji. Według danych brytyjskiego rządu, w 2015 roku zaledwie 8% eksportu obronnego o całkowitej wartości 7,7 mld funtów szterlingów trafiło do klientów europejskich. Tyle że po brexicie Zjednoczone Królestwo będzie miało ograniczony dostęp do unijnych pieniędzy na badania i rozwój przemysłu. Tymczasem UE na prace badawczo-rozwojowe na potrzeby obronności zamierza przeznaczyć setki milionów euro. Prawdopodobnie o wiele groźniejsze od samego brexitu byłoby jednak dla brytyjskiego przemysłu obronnego ogłoszenie niepodległości przez Szkocję, która nie chce wychodzić z Unii Europejskiej.

Politycy brytyjscy uznali, że trzeba dokładniej przyjrzeć się sytuacji w obronności. Rząd brytyjski zdecydował się na sprawdzenie wdrażania zaleceń przeglądu i obrony z 2015 roku. W zaplanowane na 90 dni prace zostali zaangażowani przedstawiciele ministerstw obrony, skarbu, spraw wewnętrznych i spraw zagranicznych. W oficjalnym komunikacie rządowym o prowadzonym przeglądzie nie znalazła się jakakolwiek wzmianka o brexicie. Minister obrony Michael Fallon w rozmowie z dziennikarzami w czasie podróży do USA stwierdził, że warto zwrócić szczególną uwagę na przegląd w związku z wyjściem do 2019 roku Wielkiej Brytanii z UE. Wcześniej ten polityk wspominał też o potrzebie „odświeżenia” niektórych fragmentów tego dokumentu. ■



MAGDALENA
EL GHAMARI

Zmiana taktyki Daesz

Na naszych oczach rodzi się nowa organizacja. Możemy już mówić o Daesz europejskim, afgańskim czy libijskim. W kontekście Europy można stwierdzić, że tzw. Państwo Islamskie chce przenieść tutaj swoje działania – zaimplementować taktykę stosowaną choćby w Iraku czy w Afganistanie.

Po sierpniowym ataku w Barcelonie, w którym na turystycznej ulicy La Rambla zginęło 13 osób, terroryści się nie wycofali. Bojownicy afiliowani przez Daesz uderzyli kolejno w Katalonii, Norwegii (Turku) i Rosji (Surgut). Okazuje się jednak, że zamachów miało być więcej. Osoby inspirowane przez Daesz lub jego bojownicy mieli inne zamiary. Zdecydowano się jednak na plan awaryjny. Według ostatnich doniesień policji dwunastoosobowa grupa planowała „jeden zamach lub kilka ataków” bombowych w Barcelonie.

Dokonywanie zamachów w miejscach publicznych jest niezwykle proste. Nie trzeba kupować broni palnej czy zaopatrywać się w ładunki wybuchowe. Wystarczy samochód, furgonetka, motocykl... Ataki z użyciem pojazdów pułapek przeznaczonych do misji samobójczych zawsze odgrywały ważną rolę dla terrorystów. Ostatnie zamachy udowadniają, że ta taktyka sprawdza się w Europie. Przygotowania są trudne do wyśledzenia, a ataki łatwe do przeprowadzenia. W odróżnieniu od Libii, Iraku i Syrii, gdzie tego rodzaju działania stają się niemal codziennością, w Europie przynoszą one określone korzyści, bo wywołują chaos, panikę, strach i trudno nad nimi zapanować.

Atak w Barcelonie oraz oświadczenie związanej z Daesz agencji prasowej Amaq ukazały nowy aspekt działań zamachowców. W oświadczeniu padło bezpośrednie oskarżenie Hiszpanów o zaangażowanie na Bliskim Wschodzie. Hiszpanie zajmują się szkoleniem Irakijczyków oraz udzielają pomocy humanitarnej na terenie zniszczonego kraju. Można spekulować, że taka strategia wyboru potencjalnych miejsc do przeprowadzania zamachów będzie miała ciąg dalszy. ■

Dr MAGDALENA EL GHAMARI jest kierownikiem Pracowni Bezpieczeństwa Kulturowego Centrum Badań nad Ryzykami Społecznymi i Gospodarczymi w Collegium Civitas oraz prezesem Fundacji El Karama.

HISTORIA

/ II WOJNA ŚWIATOWA

ANNA DĄBROWSKA

NASZ DUCH JEST SILNIEJSZY

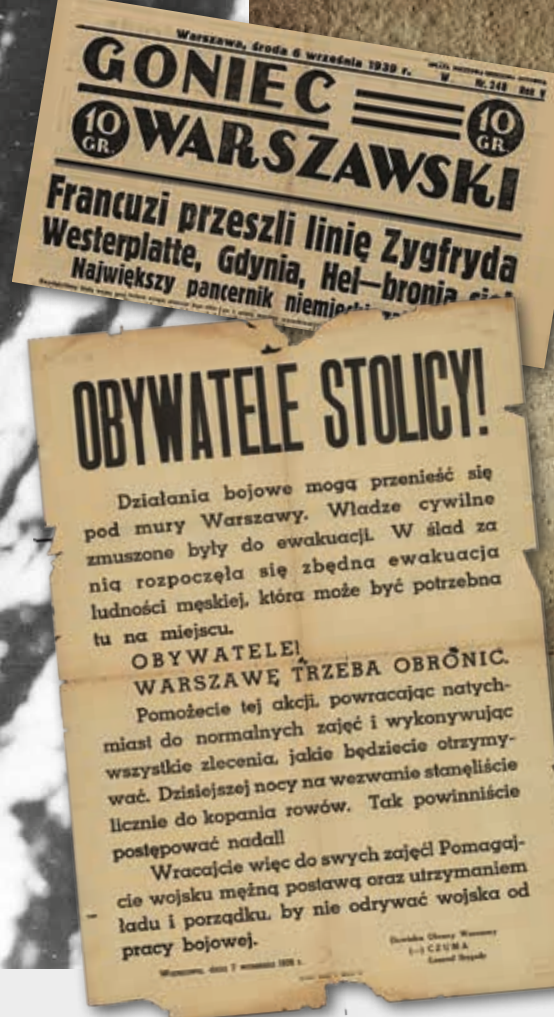
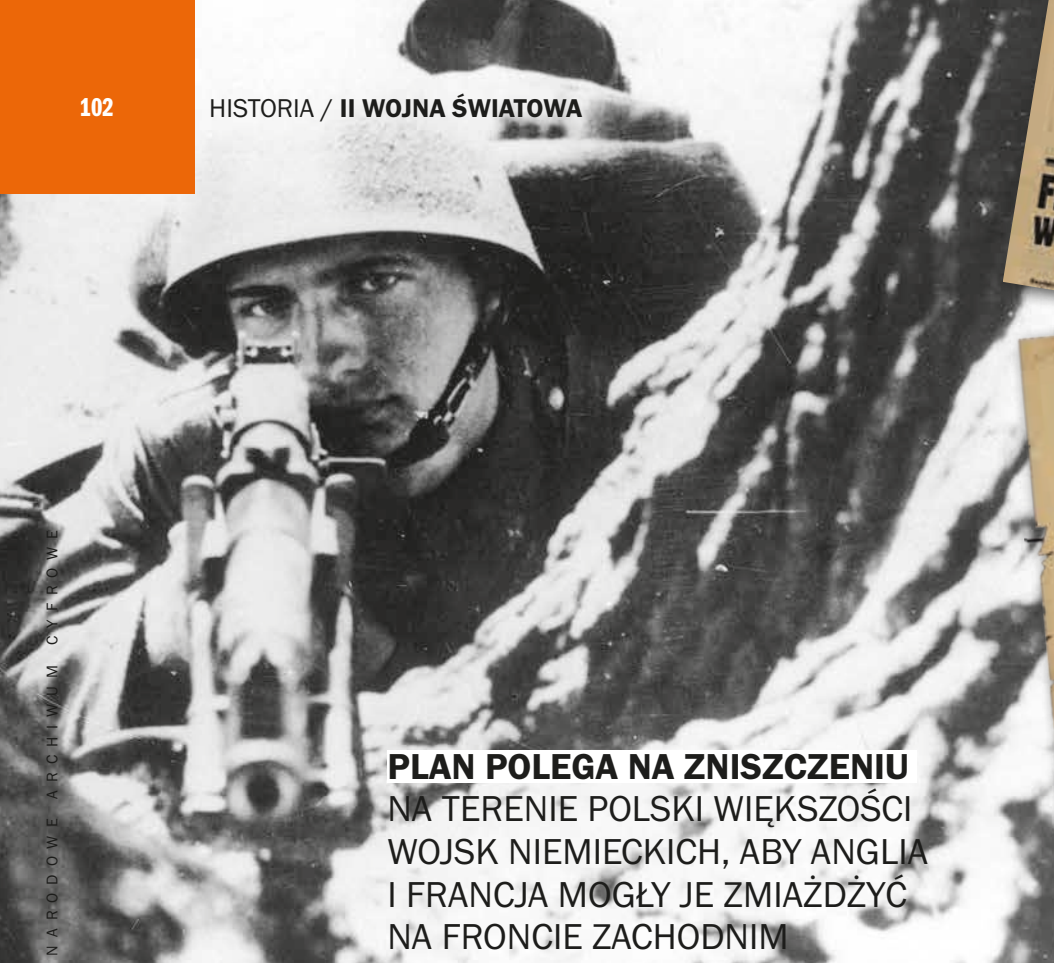
**„Żołnierz polski dowiódł, że umie się bić
jak bohater”, czyli obraz wojny obronnej
1939 roku w polskich dziennikach.**



DO BRONI

**ZWARCI
I ZJEDNOCZENI
ZWYCIĘZYMY
WROGA!**





PLAN POLEGA NA ZNISZCZENIU NA TERENIE POLSKI WIEKSZOŚCI WOJSK NIEMIECKICH, ABY ANGLIA I FRANCJA MOGŁY JE ZMIAŻDŻYĆ NA FRONCIE ZACHODNIM

Do ostatniego żołnierza, do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchu będziemy walczyć o naszą ojcowiznę. Z wiarą w naszego wodza, z wiarą w nas samych, z wiarą w sprawiedliwość rozpoczynamy żołnierski trud obrony naszego państwa”, pisano w „Polsce Zbrojnej” 2 września 1939 roku. Na pierwszej stronie zamieszczono obwieszczenie o zarządzeniu stanu wojennego, informacje, że marsz. Edward Śmigły-Rydz został Naczelnym Wodzem Polskich Sił Zbrojnych, oraz orędzie prezydenta Ignacego Mościckiego: „Nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz rozpoczął działania zaczepne wobec państwa polskiego”.

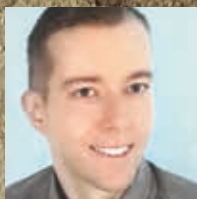
GDYNIA I HEL SIĘ BRONIA

Dzień wcześniej, w piątkowym wydaniu z 1 sierpnia, na łamach dziennika nie znajdziemy jeszcze wzmianki o wybuchu wojny. Głównymi tematami były żądania III Rzeszy dotyczące Gdańska. „Na nieprzytomne te żądania odpowiadamy gotowością bojową”, stwierdzała wojskowa gazeta. O napaści na

Polskę poinformował tego dnia dopiero „Kurier Warszawski” w specjalnym wieczornym wydaniu: „Niemcy podstępnie zaatakowali Polskę. W imię Boże – do zwycięstwa!”.

Od 2 września pojawiły się w prasie komunikaty z frontu podtrzymujące nadzieję na zwycięstwo: „Trzykrotne natarcie na Westerplatte zostało odparte”. „Nasza kawaleria posuwa się w głąb Prus Wschodnich, nieprzyjaciel wycofuje się szybko”. „30 samolotów polskich bombardowało Berlin i wszystkie powróciły do swych baz”. Ponadto 3 września gazeta zamieściła rozkaz wodza naczelnego do wojska: „Nadszedł czas wypełnienia naszego żołnierskiego obowiązku. Żołnierze, walczyć o istnienie i przyszłość Polski!”.

Jak podawał 11 września „Kurier Poranny”, nasza armia z każdym dniem nabierała doświadczenia i szykowała się do zadania ostatecznego ciosu Niemcom. Doniesienia z 17 i 18 września brzmiały: „Gdynia i Hel bronią się, Warszawa trwa, Lwów odpiera ataki”, „Armia poznańska przeszła do natarcia i zmusiła Niemców do cofania się”. „Na południu pod Lwowem przeciwuderzenie było tak silne, że rozbito kolumnę pancerną, zabierając do niewoli 5000 jeńców i 100 czołgów”.



KOMENTARZ

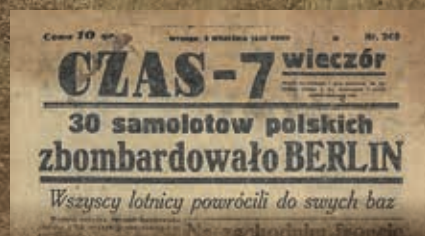
GRZEGORZ RUTKOWSKI

Główną rolą polskiej prasy we wrześniu 1939 roku było umacnianie morale, zapobieżenie panice, podtrzymywanie ducha i woli walki, zmniejszenie chaosu, który zapanował w życiu codziennym. Jej celem było też przekazywanie informacji dotyczących organizacji życia podczas wojny, zarządzeń władz czy działania obrony cywilnej. Nie podawano tego, co mogłoby wywołać panikę wśród ludzi. Szeroko opisywano zaś sukcesy naszych wojsk na polu walki, nie-

kiedy je nawet wyolbrzymiano. Przemilczano natomiast postępy wrogich wojsk lub informacje o tym, aby pomniejszyć ich znaczenie, zamieszczano gdzieś na dalszych stronach. Po wypowiedzeniu przez Wielką Brytanię i Francję wojny III Rzeszy w gazetach zapanowała euforia. Pisano, że wojna za chwilę się skończy. W miarę upływu czasu optymistyczne doniesienia były tonowane, ale nadal podtrzymywane. Nie wiadomo dzisiaj dokładnie, jaki dziennikarze mieli

wówczas dostęp do informacji z frontu. Na pewno nie o wszystkim wiedzieli, a także nie o wszystkim mogli pisać. Polska znajdowała się w stanie wojny, najważniejsza była jej obrona i temu wszystko zostało podporządkowane. ■

GRZEGORZ RUTKOWSKI
jest historykiem z Muzeum
Historii Polski.



STRATEGIA HITLERA ZAWIODŁA

W „Polsce Zbrojnej” tłumaczono, że niemiecki plan wojny błyskawicznej zamienił się w gruzy, ich kolumny pancerne weszły w głąb Polski, ale już stąd nie wyjdą. „Zagony zostały pod Lwowem doszczętnie rozbite, a pod Warszawą zatrzymane i związane w walce”. Jak wyjaśniał dziennikarz wojskowej gazety, nie ma w tej chwili w Polsce zwartego frontu, a poszczególne grupy naszej armii działają oddzielnie i utrzymują ze sobą łączność. „Dla Niemców to bardzo niekorzystne, bo nie mogą rozbić głównych sił i zniszczyć maszyny państwa”.

Pojawiały się jednak i złe wiadomości. „Po trwającej kilka dni bohaterskiej obronie Westerplatte padło”, informował 9 września dziennik. Z kolei 19 września gazety zamieściły orędzie prezydenta Mościckiego o radzieckiej napaści na Polskę. „Gdy armia nasza zmagą się z przemocą wroga, wstrzymując napór niemieckich sił zbrojnych, nasz sąsiad ze wschodu najechnął nasze ziemie, łamiąc wszelkie umowy i traktaty”.

Od początku z nadzieją oczekiwano reakcji sojuszników, a po wypowiedzeniu przez nich wojny Niemcom zapanowała euforia. „Anglia i Francja stoją ramię w ramię z Polską. Nareszcie zostanie położony kres szaleństwu i awanturom Hitlera”, pisał 4 września „Kurier Warszawski”.

Dwa dni potem „Kurier Poranny” podawał, że oba kraje rozpoczęły atak na Niemcy. „Lotnictwo angielskie bombarduje porty niemieckie. Rzesza powoli stacza się

w przepaść”. Z kolei 12 września informowano, że marsz wojsk francuskich jest powolny, ale nieustannie posuwają się one w głąb Rzeszy. „Strategia Hitlera zawiodła. Zwycięskie wojska angielsko-francuskie jak fala zalewają niemieckie terytorium. Flota Wielkiej Brytanii panuje na wszystkich morzach”, podsumowywała „Polska Zbrojna”.

OKNA ZASŁANIA SIĘ PRZY ZGASZONYCH ŚWIATŁACH

Na początku września miejskie strony gazet nadal były pełne codziennych spraw, ogłoszeń, repertuarów kin i teatrów, które rozpoczęły jesienny sezon. 3 września grano w Romie „Trzech podchorążych”, w Małym komedijkę „Ostrożnie świeżo malowane”, a w Letnim „Serce w rozterce, czyli ślusarz-widmo”.

Z każdym dniem pojawiało się jednak więcej informacji wojennych: „Rejestrację dzieci bez opieki przeprowadza ośrodek zdrowia przy Grzybowskiej 45”, „Kolumna sanitarno-techniczna uruchamia własny ośrodek sanitarno-weterynaryjny przy ulicy Koszykowej w halach miejskich, gdzie dokonywany będzie ubój koniny na mięso”, „Lepszy niż koce i chusty do osłony okien jest czarny papier”. Jednocześnie w gazetach zamieszczano doniesienia i zarządzenia władz. Apelowano o krew dla żołnierzy, o użyczenie łóżek i pościeli dla szpitali, o pomoc w punktach





NASZA ARMIA Z KAŻDYM DNIEM NABIERA DOŚWIADCZENIA I MORALNEJ SIŁY I SZYKUJE SIĘ DO ZADANIA OSTATECZNEGO CIOSU NIEMCOM

opatrunkowych, wzywano pracowników kolei, aby zajęli się naprawą uszkodzonych torów kolejowych.

Przypominano o zaciemnieniu: „Okna zasłania się przy zgaszonych światłach, a nie po ich zapaleniu. Winni niewłaściwego zaciemnienia będą karani aresztem”, informowała „Polska Zbrojna”. Gazeta apelowała też, żeby w czasie alarmów wszyscy przebywali w domach, schronach lub rowach przeciwlotniczych.

WSZYSTKIE ATAKI ODPARTE

Od 9 września pojawiły się informacje o walkach o stolicę. „Pod Warszawą Niemcy ponoszą dotkliwe straty. Złamiemy tutaj krzyżacką potęgę”, twierdziła „Polska Zbrojna”. 10 września gazeta informowała o odpartym pierwszym ataku na miasto. Dwa dni później podano, że o mury Warszawy rozbił się impet nacierających band teutońskich. „72 dywizje niemieckie rzucone tak nagle na nasze ziemie znalazły się bezradne i bezczynne”.

„Na odcinku Pragi nieprzyjaciół nacierał nocą na Anopol, Brudno i Saską Kępę, wsparty silnie artylerią. Wszystkie wysiłki nieprzyjaciół zostały całkowicie odparte przez nasze oddziały”, głosił komunikat Dowództwa Obrony Warszawy z 21 września.

Jednocześnie dzienniki raportowały o zniszczeniach spowodowanych przez niemieckie

bombardowania i ostrzał artyleryjski. „Uszkodzono szpital Przemienienia Pańskiego i Marszałka Piłsudskiego, pożary w centrum miasta”, „Artyleria nieprzyjaciół zniszczyła kolejne kościoły, szpitale i zabytki, w tym Zamek Królewski”, „Naloty na Prudential. Muzeum Narodowe, Zachętę”. Mimo to dziennikarze umacniali wiarę w nasze zwycięstwo. „Nasz duch jest silniejszy niż wasza siła brutalna. Nie ludźcie się, abyście mogli wpłynąć na osłabienie psychiki i ducha polskiego”, pisali w gazecie wojskowej.

23 września w swoim ostatnim wydaniu „Polska Zbrojna” podała: „Plan polega na wciągnięciu i zniszczeniu na terenie Polski większości wojsk niemieckich, aby Anglia i Francja mogły je zmiażdżyć na froncie zachodnim, dlatego musimy skupić wszystkie siły, związać nieprzyjaciół w walce, zadawać mu straty”. Jednocześnie wojskowa gazeta donosiła o wizytacji frontu na prawym brzegu Wisły przez dowódcę armii warszawskiej gen. dyw. Juliusza Rómmła. „Wśród żołnierzy panuje nastrój doskonały”, raportowano.

„W ostatnich dniach na froncie mimo przeważających sił żołnierz nasz bił się świetnie. Wszystkie ataki zostały odparte. Żołnierz polski dowiódł, że umie się bić jak bohater”, pisał w dniu kapitulacji Warszawy 28 września „Kurier Warszawski”.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Fałszywe komunikaty

Niemieckie meldunki wypaczały obraz kampanii wrześniowej.

Relacje i wspomnienia z kampanii wrześniowej, które ukazały się w latach 1939–1940, najczęściej były inspirowane i publikowane przez sztaby poszczególnych jednostek niemieckiej armii. Niektóre powstawały na polecenie sztabu generalnego lub partii (NSDAP). Publikacje te pokazywały potęgę III Rzeszy oraz słabość i nieudolność polskiej armii. Działania agresora tłumaczyła też prasa wydawana przez Niemców w języku polskim, m.in. „Nowy Kurier Warszawski”, którego pierwszy numer ukazał się 11 października 1939 roku. W 1940 roku w drukarni „Nowego Kuriera Warszawskiego” wydano 60-stronicową książeczkę „Uwaga! Uwaga! Podajemy komunikat wojenny”. Autor Jan Powierza zebrał w niej komunikaty Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu z pola walki oraz z gabinetów dyplomatycznych.

Pierwszy taki komunikat został wydany 1 września 1939 roku i brzmiał: „Z rozkazu Fuehrera i naczelnego wodza siła zbrojna przejęła czynną ochronę państwa nie-



mieckiego. W wykonaniu tego rozkazu mającego na celu stawienie czoła akcji polskiej, wczesnym rankiem dnia dzisiejszego oddziały wojsk niemieckich przystąpiły do przeciwnataku”. Następne komunikaty ukazywały się w kolejnych dniach. 5 września 1939 roku: „Niemiecka armia wschodnia przełamała w dniu 4 września opór nieprzyjaciela na wszystkich frontach i prze niepowstrzymanie naprzód. [...] Nieprzyjaciół wycofuje się w rozsypce”.

Niemcy fałszowali przebieg walk, jeśli pokazywały one bohaterstwo Polaków. Komunikat z 8 września 1939 roku brzmiał:

„Załoga na Westerplatte w Gdańsku poddała się, przy czym stawiany przez nią opór został złamany dzięki udziałowi saperów, kompanii szturmowych marynarki wojennej i SS-Heimwehry przy równoczesnym współudziale statku szkolnego marynarki »Schleswig-Holstein«”. W czterostronicowej relacji „Jak zdobyliśmy Westerplatte” firmowanej przez feldmarszałka Wilhelma



Niemcy skrupulatnie dokumentowali i pokazywali zdobyty w kampanii wrześniowej sprzęt żołnierzy polskich.



KOMENTARZ

**TOMASZ
GŁOWIŃSKI**

We wrześniu 1939 roku niemiecka propaganda wobec Polaków prowadziły wyspecjalizowane oddziały Wehrmachtu podlegające informacyjnie Ministerstwu Propagandy III Rzeszy, czyli ministrowi Josephowi Goebbelsowi.

Te tzw. kompanie propagandowe (PK) były przydzielane do poszczególnych jednostek niemieckiej armii. Niemcy byli w tym czasie słabo przygotowani do uprawiania propagandy wśród Polaków. Działania prowadzone we wrześniu

1939 roku można podzielić na dwa rodzaje. Pierwszy polegał na wydawaniu ulotek w języku polskim, dość niezdarne redagowanych i sygnowanych polskim orłem. Wzywały one do porzucenia broni i zawarcia pokoju z rzekomo

Keitela, szefa Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, napisano, że do poddania się zmusiły polską załogę salwy pancernika „Schleswig-Holstein” oraz natarcie sił piechoty.

Każdy kolejny dzień to opisy sukcesów armii niemieckiej. Z komunikatów wynika jeden wniosek: armia niemiecka jest niezwyciężona, a metoda blitzkriegu skuteczna. 9 września 1939 roku: „Przedzierające się niejednokrotnie poprzez nieprzyjacielskie strażę tylne czołowe jednostki naszych wojsk zmotoryzowanych przekroczyły w wielu punktach rzekę Wisłę między Sandomierzem a Warszawą i zdążając od strony południowej wdarły się w godzinach popołudniowych do stolicy Polski”. 11 września 1939 roku: „Wielka bitwa w Polsce zbliża się do swojego szczytu, a mianowicie do zniszczenia polskiej armii operacyjnej na zachód od Wisły [...], wojska okrążone na różnych odcinkach zaczęły składać broń”.

Z komunikatów jasno wynikało, że nikt nie oprze się potęgze Rzeszy. 12 września 1939 roku: „Wielka bitwa w Polsce na zachód od Wisły zbliża się ku końcowi. [...] Rozpaczliwe wysiłki znaczących sił nieprzyjacielskich, okrążonych wokół Kutna, celem przedarcia się ku południu, zostały udaremnione”. Jak pisał Zygmunt Zieliński w artykule „Relacje Wehrmachtu w Kampanii Wrześniowej jako materiał propagandowy”, w niemieckich meldunkach bitwa pod Kutnem została odnotowana następująco: 10 września: „W wielkim łuku Wisły między Sandomierzem a Kutnem szybki przełom zmotoryzowanych i pancernych oddziałów osiągnął wielkie powodzenie aż do Wisły. Części licznych polskich dywizji zostały w okolicach Radomia odcięte i ze wszystkich stron otoczone”. 11 września: „Wielka bitwa w Polsce

zbliża się do swego punktu szczytowego, do zniszczenia polskiej armii na zachód od Wisły”. 12 września: „Wielka bitwa w Polsce zbliża się na zachód od Wisły do końca”. 19 września: „Bitwa nad Bzurą się skończyła”. Te lakoniczne relacje nie odzwierciedlają dramaturgii bitwy pod Kutnem, jednej z największych w czasie II wojny światowej, która kosztowała życie 15 tys. Polaków i ponad połowę tego Niemców.

Dzień po dniu agresor chwalił się odnoszonymi sukcesami. Wymieniane były kolejne zdobyte miasta i podawane liczby żołnierzy wziętych do niewoli. 17 września nie ma ani słowa o agresji ZSRR na Polskę. Dopiero 20 września pojawiła się informacja, że „Nasze wojska, które dotarły aż do linii Stryj – Lwów – Brześć – Białystok, są wycofywane planowo na linię demarkacyjną, ustaloną na mocy porozumienia między rządem niemieckim a sowieckim”. 30 września podano pierwsze informacje o walkach na froncie zachodnim: „Na zachodzie strącono dwa samoloty francuskie i dziewięć brytyjskich, nad Morzem Północnym dwa samoloty”.

Komunikaty w książeczce „Uwaga! Uwaga! Podajemy komunikat wojenny” kończą się 1 października informacją, że „pierwsze wojska niemieckie wkroczyły bez żadnych incydentów do Warszawy. [...] Na Zachodzie tylko lokalna działalność artylerii i oddziałów wywiadowczych”. Na zakończenie autor przytacza mowę Adolfa Hitlera wygłoszoną w Reichstagu 6 października 1939 roku. Była to kolejna okazja, aby podkreślić ducha niemieckiego militarysty: „Faktu, że niedobitki armii polskiej potrafiły do dnia 1 października bronić się w Warszawie, Modlinie i na Helu, nie należy przypisać ich sprawności i waleczności, lecz jedynie i wyłącznie naszej wyrozumiałości i poczuciu naszej odpowiedzialności”.

NIEMCY FAŁSZOWALI PRZEBIEG WALK, JEŚLI POKAZYWAŁY ONE BOHATER- STWO POLAKÓW

skrzywdzoną III Rzeszą. Zrzucono je zwłaszcza na tych terenach, gdzie Polacy dłużej się bronili, np. w Warszawie czy Modlinie. Drugi polegał na stosowaniu na linii frontu propagandy megafoonowej.

Po wrześniu 1939 roku propaganda na terenie podbitej Polski dotycząca kampanii wrześniowej była różnorodna i bogata. Pojawiały się liczne publikacje w tzw. prasie gadzinowej wydawanej po polsku przez Niemców, a także polskojęzyczne broszury. Przypomnieć tu trzeba

słynny plakat przedstawiający polskiego rannego żołnierza wskazującego na ruiny z podpisem „Anglio twoje dzieło” oraz film z początku 1940 roku „Kampania wojenna w Polsce”, który m.in. utrwalił, powielany potem również po wojnie, mit polskiej kawalerii rzekomo atakującej szablami niemieckie czołgi.

Aktywna propaganda niemiecka w okupowanej Polsce piętnująca „zbankrutowanych władców” i „oszałałych dowódców” polskich trwała intensywnie do maja – czerwca 1940 roku, choć jej

cel trudno uznać za jednoznacznie określony. Z jednej strony, Niemcy próbowali wykorzystać w niej naturalne rozgoryczenie pokonanego narodu, z drugiej zaś sami nie umieli określić, po co i w jaki sposób miałyby to być dyskutowane. Była to więc w dużej mierze sztuka dla sztuki, z której dla okupanta niewiele mogło wynikać. ■

Prof. TOMASZ GŁOWIŃSKI jest pracownikiem Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego.



NARODOWA WYSTAWA MILITARNA

PATRONAT HONOROWY:



HISTORIA
EDUKACJA
PATRIOTYZM

**PTAK
WARSAW
EXPO**

WWW.WYSTAWAMILITARNA.EU
WWW.IPDEX.PL

12-15
PAŹDZIERNIKA 2017

STREFY: HISTORYCZNO-EDUKACYJNA
MILITARNA | NAUKOWA | BIZNES

PATRONAT HONOROWY:



MINISTER
EDUKACJI
NARODOWEJ

PATRONAT NAUKOWY:



Wojskowa
Akademia
Techniczna

NIE WYBIERALI MNIE NA ŚMIERĆ

*Z Kazimierzem
Piechowskim*

**o brawurowej ucieczce
z Auschwitz i zbiorowej
odpowiedzialności za historię
rozmawia Piotr Korczyński.**

Tczew, Pańskie rodzinne miasto, w 1939 roku był nie tylko nadgraniczną miejscowością, ale też doskonale strategicznym węzłem komunikacyjnym. Niemcy chcieli za wszelką cenę przejąć tczewskie mosty, by mieć dogodny korytarz do Prus. Jak wiemy, nie udało im się i obie przeprawy zostały wysadzone przez polskich obrońców. Jak Pan zapamiętał 1 września w Tczewie?

Zupełnie nie wiem dlaczego, ale nie zapamiętałem jakoś szczególnie tego dnia. Może dlatego, że później spotkało mnie coś znacznie tragiczniejszego... A może dlatego, że wojnę było po prostu czuć? W lokalnej gazecie nie pisano o niczym innym. Wcześniej mieszkaliśmy przy ul. Sambora. To na tzw. Starym Mieście, blisko Wisły, a te wspaniałe mosty było widać wprost z ulicy. Atak na Tczew rozpoczął się wcześniej rano. Dzisiaj historycy dowodzą, że wojna rozpoczęła się właśnie tam, gdyż nalot na miasto wyprzedził o kilka minut symboliczny wystrzał na Westerplatte. Obrona Tczewa trwała bardzo krótko. Wysadzenie mostów uniemożliwiło przedostanie się niemieckich oddziałów szturmowych od strony Malborka. Jednak Niemcy nacierali od północy znad granicy z Gdańskiem, wspierani lotnictwem bojowym. Trafili w dworzec kolejowy i elek-

ARCH. KAZIMIERZA PIECHOWSKIEGO

WIZYTÓWKA



**KAZIMIERZ
PIECHOWSKI**

Urodził się 3 października 1919 w Rajkowie w powiecie tczewskim. Za próbę nielegalnego przekroczenia granicy trafił do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau (otrzymał numer 918). 20 czerwca 1942 roku wraz z trzema kolegami udało mu się uciec w przebraniu esesmana. Następnie walczył w Armii Krajowej, za co po wojnie został skazany na dziesięć lat więzienia.

trawnię. Wszędzie panował chaos. Ludzie pieszo uciekali z dobytkiem w stronę Starogardu i Pelplina. Miasta bronił batalion strzelców, ale pod naporem tak znacznej siły tego samego dnia nasi musieli się wycofać na południe i oddać Tczew Niemcom. 2 września w mieście zainstalowała się już niemiecka administracja. Kilka dni później niemiecka propaganda za pomocą plakatów ogłosiła, że Tczew jest pierwszym miastem oswobodzonym od polskiego terroru. A kto należał do tych rzekomych terrorystów? Polska inteligencja – urzędnicy, nauczyciele, kupcy i... harcerze. I wtedy zacząłem się bać.

W książce „Byłem numerem... świadectwa z Auschwitz” wspomina Pan swego przyjaciela z dzieciństwa – niemieckiego chłopca Erwina Schultza. Czy wie Pan, jak potoczyły się jego losy?

Wielokrotnie mnie o to pytano. To ciekawy wątek. Polak i Niemiec, przyjaciele z dzieciństwa, których przyjaźń została wystawiona na wojenną próbę. Wręcz filmowa historia. Ale ja nie wiem, jakie były jego losy. Erwin pochodził z bardzo biednej rodziny. Jego mama zarabiała na utrzymanie praniem. Uczęszczaliśmy do polskiej szkoły powszechnej. Po czterech latach nauki rodzice musieli podjąć decyzję, czy posłać dziecko do gimnazjum, czy do szkoły, nazwijmy to rzemieślniczej, żeby przyuczyło się do zawodu. Do takiej trafił właśnie Erwin. Jego mamy nie było stać, byłożyć na edukację syna. Mnie rodzice posłali do gimnazjum i tak nasze drogi się rozeszły.

Ze nielegalną próbę przekroczenia granicy i chęć bycia „turystą Sikorskiego”, jak Niemcy nazywali ochotników do armii polskiej we Francji, trafił Pan 20 czerwca 1940 roku wraz z kolegą z harcerstwa Alfonsem Kiprowskim do Auschwitz. Kiedy uświadomił Pan sobie fakt, że Auschwitz to nie obóz pracy, a napis nad jego bramą „Praca czyni wolnym” ma zatuszować jego prawdziwe przeznaczenie – zagładę?

O, wiedziałem to już przed zapakowaniem nas do wagonu. Niemcy złapali nas w okolicach Cisnej. Zanim trafiliśmy ostatecznie do Auschwitz, niemieckich umiejętności na własnej skórze doświadczyliśmy po drodze, w więzieniach w Sanoku, w Krakowie przy Montelupich i w Nowym Wiśniczu. Któregoś razu Niemcy oznajmili nam, że właściwie powinni nas rozstrzelać, ale mają coś o wiele ciekawszego.

Uczestniczył Pan w apelu, w czasie którego ojciec Maksymilian Kolbe ofiarował swe życie za Franciszka Gajowniczka. Jak Pan zapamiętał to wydarzenie?

Każdy, kto tylko trafił do obozu, dowiadywał się, że nie ma z niego ucieczki. Ale chyba nawet fryce w to nie wie-

rzyli, bo po co w obozowym „kodeksie” istniałaby kara za ucieczkę, skoro była ona niemożliwa? A za każdego uciekiniera śmierć miało ponieść dziesięciu więźniów z jego bloku. Było lato 1941 roku. Ten morderczy apel trwał dzień i noc. Z bloku uciekł jeden z nas. Wywleczeni, staliśmy w rzędach. Nikt nawet się nie rozglądał, nie chcąc wzbudzić zainteresowania. Trwała selekcja rzędek po rzędku. Wyrok składał się z jednej sylaby: „du!”. Kto usłyszał „du!”, trafiał do bloku 11, do celi śmierci, gdzie umierał z głodu. Esesman stanął w końcu i przede mną. A ja wyprostowałem się, jak tylko mogłem, wypiąłem pierś, jakby tym gestem mówiąc: „Nie, nie wybieraj mnie, ja jestem silny i zdrowy, będziesz miał ze mnie pożytek. Mogę pracować, nawet ciężko. Moja śmierć ci się nie opłaci!”. Tym razem mnie się udało. Szczęścia nie miał więzień Franciszek Gajowniczek. Zdążył zawyc, że nie zobaczy już żony i dzieci. Wtem szok i zdziwienie wywołał inny więzień z szeregu, który wolnym krokiem podszedł do kierownika obozu Fritzscha. Ten, nie mogąc ukryć niedowierzania, zapytał, czego chce ta polska świnka i wówczas usłyszał: „Weźcie mnie, ja jestem już stary, a on ma dzieci”. Prośba została wysłuchana. Później okazało się, że na śmierć skazał się o. Maksymilian Kolbe.

Dla wielu Auschwitz jest dowodem na nieistnienie Boga. Tymczasem po lekturze Pańskich książek odniosłem wrażenie, że wiara przynosiła Panu ulgę w tym strasznym położeniu.

Jestem wychowany w głęboko katolickiej rodzinie. Pobyt w obozie wielokrotnie wystawiał wiarę na próbę, targając mną od zanurzenia w szczerej modlitwie do całkowitego zwątpienia w fundamenty religii. To, co dawało siłę przetrwania, to silne przekonanie o zwycięstwie życia nad śmiercią.

We wspomnieniach podkreśla Pan, że inicjatorem brawurowej ucieczki z Auschwitz był Ukrainiec Eugeniusz Bendera, zdolny mechanik samochodowy. Wielu jego rodaków godziło się na współpracę z Niemcami i m.in. byli wykorzystywani jako strażnicy obozów koncentracyjnych.

Wierzy Pan, że to ma coś wspólnego z narodowością? Cieszymy się, że żyjemy w pokoju i nikt z nas nie jest zmuszony dokonywać w ciągu jednej sekundy wyboru pomiędzy życiem a śmiercią. A w jakich okolicznościach Gienek trafił do obozu? Nie wiem. W tamtych warunkach w ogóle lepiej było wiedzieć mniej.

Sobota 20 czerwca 1942 roku to dzień, w którym czterech więźniów – Kazimierz Piechowski,



Eugeniusz Bendera, ks. Józef Lempart i por. Stanisław Jaster – w esesmańskich mundurach, z bronią, wyjechało steyrem 220 główną bramą obozu ku wolności. Czterech. Niesamowite jest to, że ucieczka była tak zaplanowana, aby nikt ze współwięźniów nie poniósł za to kary... Rzeczywiście tak było?

Na tym polega fenomen naszej ucieczki, oczywiście oprócz tego, że udało nam się coś, co Niemcy sami chcieli uczynić niemożliwym. Wspominałem już o zasadzie dziesięciu za jednego. To znaczy, że jeśli ktoś uciekł z bloku, to Niemcy zabijali dziesięciu więźniów z jego bloku, a jeśli z komanda pracy, odpowiednio brano na śmierć dziesięciu z tego komanda. Niemcy trzymali się tej zasady. A nas gryzło sumienie. Jest nas dwóch, ja i Gienek. To oznacza, że 20 więźniów skonało z głodu w piwnicznych lochach bloku 11. Naprawdę nie wiem, jak wpadłem na ten prosty i genialny pomysł, by stworzyć nieistniejące komando, Rollwagenkommando. „Rollwagen” to po niemiecku znaczy „wózek”, a my takimi wózkami, jak było pociągowe, woziliśmy materiały w obozie. Najmniej liczne komando składało się z czterech więźniów. Do utworzenia fikcyjnego komanda brakowało jeszcze dwóch. Do naszej dwójki dobraliśmy Józka Lemparta i Staszka Jastera. Ponieważ uciekło całe komando pracy, według własnej zasady Niemcy nie mieli już kogo ukarać. Naiwnie liczyliśmy, że zachowają się honorowo. Nie wiem, czy zwyciężyło niemieckie zamiłowanie do porządku, czy Niemców zmroziła skala bezczelności naszej ucieczki. Faktem jest, że nikomu z osadzonych w obozie nie stała się krzywda. Represje jednak spotkały rodziny kolegów Lemparta i Jastera.

Co Pan sądzi o oskarżeniach o zdradę wobec Pańskiego przyjaciela Stanisława Jastera po jego tajemniczej śmierci?

Nareszcie powstał film na ten temat „Jaster. Tajemnica Hela”. „Hel”, bo taki miał pseudonim w podziemiu. Oskarżenie Jastera o zdradę to po prostu pomyłka. To absurd i wielka hańba, ale nie dla Staszka, tylko dla oskarżycieli. Nie jestem w stanie pogodzić się z tym, że żadna organizacja nie potrafi wykonać pierwszego kroku, by go zrehabilitować. Staszek nie był zdrajcą, on był bohaterem! Jego pamięć jest zbrukana fałszywym piętnem zdrajcy. Trzeba pamiętać, że Staszek dostał się do Auschwitz z Warszawy z łapanki żoliborskiej w 1940 roku, a nasza ucieczka w 1942 roku posłużyła mu do dostarczenia z powrotem do Warszawy raportów rotmistrza Pileckiego dotyczących konspiracji wojskowej, którą utworzył w obozie.

Staszek to był prawdziwy tur. Ogromny, rosły, prawie 2 m wzrostu. W obozie nawet nie mogli mu dobrać bu-

tów. Pracowaliśmy w magazynie. Należało nosić po jednym worku, ale Staszek nosił po dwa! Nie musiał, a nosił. A w Warszawie w podziemiu podejmował się najniebezpieczniejszych i najbardziej brawurowych akcji.

Dobrze Pan określił jego śmierć: tajemnicza. Nie wiadomo nawet, w jaki sposób zginął. Są domysły, że został zlikwidowany ad hoc przez Polskie Państwo Podziemne za rzekomą zdradę oddziału „Osa-Kosa 30”, ale dowodów, świadków ani zdrady, ani likwidacji Staszka nie ma. Chociaż czasy wojny usprawiedliwiały likwidację Staszka ze względu na utratę zaufania, nawet bez twardych dowodów, to prawdziwe kłamstwa pod jego adresem padły dopiero w 1968 roku we wspomnieniach Aleksandra Kunickiego „Rayskiego”, a raczej nie wspomnieniach, tylko pokrętnych domysłach. Dzisiaj żadna organizacja kombatancka nie chce podjąć kroków, by oczyścić Staszka z zarzutów. Wszyscy zaślaniają się brakiem dokumentów z podziemnego sądu. I o to mam ogromny żal. Mam nadzieję, że prawda w końcu zwycięży.

Po ucieczce znalazł się Pan w oddziale partyzanckim AK na Kielecczyźnie. W walce z Niemcami został Pan dwukrotnie ranny. Czy Pańscy towarzysze broni wiedzieli, że ma Pan za sobą pobyt w Auschwitz?

Trudno mi powiedzieć, czy oni wiedzieli. Ja tego nigdy nie wyznałem. Nie było się czym chwalić. Przecież Niemcy wyznaczali za naszą czwórkę solidne nagrody. Po ucieczce znalazłem schronienie u państwa Nowakowskich w Mlinie. Zresztą ich dom stoi tam do dzisiaj. Pomagałem w gospodarstwie. Walka w partyzantce to przede wszystkim dywersja. Przygotowywaliśmy zasadzki na Niemców, zwłaszcza na niemieckie transporty.

Po wojnie za nieujawnienie przynależności do AK został Pan skazany na dziesięć lat więzienia, z czego odsiedział siedem. Słowo „odsiedział” nie jest tutaj adekwatne, gdyż m.in. fedrował Pan węgiel w kopalni.

Ja nawet nie miałem się jak bronić. Procesy były ustawione. A w akcie oskarżenia widniało czarno na białym: „Nie ujawnił swojej przynależności do partyzantki, posiadał broń palną, sabotował przeciwko władzy ludowej”. A na wszystko „dowody”. To wystarczyło pewnie i na karę śmierci, mnie zaś „ofiarowano” kolejne dziesięć lat niewoli. Byłem w ciężkich więzieniach. Najpierw w Gdańsku, potem w Sztumie, z najokrutniejszymi zwyrodniałcami. Część kary odbyłem w kopalni Niwka. W raportach pisali, że jestem najlepszym górnikiem. Darowano mi trzy z tych dziesięciu lat za wydajne fedrowanie.

W książce „My Niemcy” wydanej w 2008 roku pisze Pan o wielowiekowej polityce niemieckiej, zwłaszcza



Uciekło całe komando pracy, więc według własnej zasady Niemcy nie mieli już kogo ukarać

przeciwko Polsce, której „szczytowym osiągnięciem” stał się w XX wieku nazizm. Została ona przetłumaczona także na język niemiecki. Czy wie Pan, jak przyjęto ją za Odrą?

Oczywiście, gdyż wiele razy, także z okazji wydania tej książki, byłem gościem różnych niemieckich instytucji, przede wszystkim ośrodków akademickich. Niemcy są świadomi winy swoich przodków za wywołanie i skutki wojny, ale mają, niestety, niewielkie rozeznanie, na czym te skutki polegają. Stąd ich ogromne zdziwienie, wręcz niedowierzanie, kiedy podczas takich spotkań zderzali się z faktami. Na przykład nie mogli zrozumieć, jak to możliwe, by palić dziennie 5 tys. ludzkich ciał. Przecież to liściebnie odpowiada małemu miasteczku! Musiałem się posiłkować niemieckimi dokumentami, inaczej by nie uwierzyli. Jakże wielkie było ich zaskoczenie, kiedy się dowiedzieli, że już po wojnie próbowano w Niemczech opatentować technologię krematoryjną o jeszcze wyższej wydajności. Kiedy opowiadałem o Auschwitz, o głodzie, zimnie, pracy ponad siły, o biciu, pseudoeksperymentach, braku godności, śmierci, która ma słodkawy zapach palonej padliny, niektórzy płakali. Nie wiem, czy ze współczucia wobec ofiar, czy z faktu, że to oni robili – Niemcy.

W ostatnich latach pojawiają się wspomnienia byłych esesmanów, gloryfikujących Waffen-SS jako formację, która nie „miała nic wspólnego z obozami koncentracyjnymi i eksterminacją”, a „broniła” Europy przed bolszewizmem. Podkreśla się także służbę w jej szeregach Skandynawów, Francuzów, Holendrów, Ukraiń-

ców i wielu innych nacji. Czytelnicy, zwłaszcza młodzi, często poddają się temu „czarowi elitarności” Waffen-SS, zapominając, że jej żołnierze mieli często za sobą służbę w obozach koncentracyjnych. Jak Pan odnosi się do tak kreowanego wizerunku?

Widocznie zapomnieli, że się z tymi bolszewikami ułożyli przeciwko Polsce. A cała reszta wymienionych narodów najpierw została zbrojnie zaatakowana, by potem z ich szeregów rekrutować wojsko. Myślę, że to element odbudowywania tożsamości. Trudno o atrakcyjną tożsamość, jeśli nie jest ona szlachetna. A historia Niemiec nie jest szlachetna i przeszłość SS nie jest szlachetna. Może wiara tych esesmanów w słuszność historycznej roli Niemiec była tak silna, że nie pozwalała nawet po wojnie zauważyć tych wszystkich okrucieństw, których się dopuścili? A może to zwykła taktyka obronna?

Książkę „My Niemcy” kończy Pan tezą, że naród niemiecki popadł w obłęd nazizmu, gdyż odrzucił tradycję chrześcijańską. Ale przecież w czasie wojny Wehrmacht miał na kłamrach pasów wygrawerowane: »Gott mit uns«. Inaczej było w SS, ale nawet tam Himmler nakazał nie eksponować antychrześcijańskiej ideologii.

Tak się właśnie kształtował opętany niemiecki nazizm. Z pozornie logicznego połączenia różnych idei i symboli. Wszystko składało się w całość, wszystko w służbie wielkich Niemiec. Symbole chrześcijańskie padły po prostu ofiarą cynicznego wykorzystania. Dużo łatwiej było je zawłaszczyć, niż próbować tego samego z wiarą i Kościołem jako instytucją. A zbrodnia z krzyżem u szyi nie ma większego usprawiedliwienia i nie staje się mniejszym złem. Pozostaje po prostu zbrodnią.

Postuluje Pan, żeby za wszelką cenę zachować pamięć o zbrodniach niemieckich. Nie oskarżać nowych pokoleń Niemców, ale wymagać, żeby pamiętali. Jednak, aby tego żądać, samemu trzeba mieć wiedzę. Czy w Polsce ta wiedza jest zadowalająca?

Myślę, że nie. Ale od razu powiem, że nie jest też tak, że na tle innych wydarzeń historycznych wiedza akurat o zbrodniach w Auschwitz jest szczególnie zmarginalizowana. Znajomość naszej historii wśród polskiej młodzieży jest po prostu słaba. Na szczęście dobrą pracę wykonują powołane do tego instytucje. Myślę o Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau, które co roku odwiedzają setki tysięcy ludzi, w większości młodych. Jest Instytut Pamięci Narodowej, strażnik naszej historii i tożsamości, ale powstają i nowe placówki. Tu niedaleko, w Gdańsku, gdzie symbolicznie padły pierwsze strzały, otwarto Muzeum II Wojny Światowej. ■

JAKUB NAWROCKI

KRESOWI STRACENICY

Mimo przeważających sił wroga i możliwości wycofania się, wytrwali na pozycjach. Większość z nich poległa, a do dziś ich historia jest mało znana.

Polska we wrześniu 1939 roku była uwikłana w wyniszczającą wojnę z hitlerowskim najeźdźcą. Wszystkie możliwe siły przerzucano na zachód w celu powstrzymania naporu Niemców. Nikt nie przypuszczał, że decydujący cios padnie zza odłoniętej granicy wschodniej.

NIEZAPLANOWANA OBRONA

Nad ranem 17 września Armia Czerwona, łamiąc wszelkie porozumienia międzynarodowe, zaatakowała strażnice graniczne na całej długości Kresów Wschodnich. Na Wołyniu we wrześniu 1939 roku granicy strzegł pułk Korpusu Ochrony Pogranicza „Sarny” pod dowództwem ppłk. Nikodema Sulika. Formacja ta była pułkiem tylko z nazwy. Duża część sił została przerzu-

cona w rejon zachodniej granicy, m.in. Rejon Umocniony Hel, do Twierdzy Osowiec i na Śląsk. Wraz z nimi na zachód pojechał też spory transport ciężkiego sprzętu i wyposażenia pułku. Aby zapewnić choć prowizorycznie jego obsadę etatową, dowódca uzupełnił stany rezerwistami z centralnej części Polski.

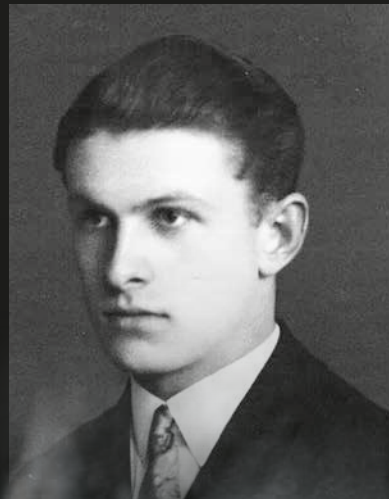
Rankiem 17 września na stacji w Niemowiczach trwał załadunek kolejowy oddziałów fortecznych pułku „Sarny”, które wyruszały do walki z hitlerowcami. Nie spodziewanie nad stacją zaczęły krążyć sowieckie samoloty myśliwskie. Zapanowała konsternacja. W południe załadunek został wstrzymany i wydano rozkazy do zajęcia pozycji obronnych Sarneńskiego Rejonu Umocnionego wzdłuż granicy nad rzeką Słucz. Była to jedna z nielicznych nowoczesnych linii obronnych na

BOHATEROWIE JEDNEJ FORMACJI



➤ Gen. Wilhelm Orlik-Rückemann,
dowódca KOP-u

Ppor. Jan Bolbott wywodził się z tej samej formacji – pułku Korpusu Ochrony Pogranicza „Sarny” – co kpt. Władysław Raginis, legendarny obrońca Wizny. Nie wiadomo, czy obaj oficerowie znali się i czy kiedykolwiek się spotkali.



DO DZIŚ
NIE WIADOMO,
**DO KIEDY DOKŁAD-
NIE BRONILI SIĘ PO-
GRANICZNIICY ORAZ**
KTÓRY SCHRON
BOJOWY NA POZYCJI
TYNNE ZOSTAŁ ZDO-
BYTY JAKO OSTATNI



wschodnich rubieżach II Rzeczypospolitej. Prace nad fortyfikacjami nigdy nie zostały ukończone i mimo że wzniesiono liczne obiekty obronne, całości nie oddano do użytku. Brakowało kopuł pancernych, przewodnic do karabinów maszynowych, a przede wszystkim zapasów amunicji i prowiantu na co najmniej kilka dni. Naprędce zaczęto organizować łączność telefoniczną, zaminowywać podejścia do schronów, rozciągać drut kolczasty i sprowadzać z koszar w Znosiczych ciężki sprzęt oraz zaopatrzenie.

18 września do dowódcy pułku „Sarny” zatelefonował gen. Wilhelm Orlik-Rückemann, dowódca KOP-u. Poinformował go, że tworzy grupę operacyjną, z którą wyrusza na zachód. Wydał rozkaz podwładnemu, by ten do końca bronił swoich pozycji, a następnie podążał

z oddziałami za nim. Ppłk Sulik przekazał tę informację swoim żołnierzom. Wszyscy z niecierpliwością wyczekiwali przeciwnika.

W OSAMOTNIENIU

Sowieci dzięki informacjom grup dywersyjnych i miejscowej ludności ukraińskiej doskonale znali pozycje Polaków. Wiedzieli również, że najlepszym miejscem do przeprawy przez rzekę Słucz i najlżej obsadzonym odcinkiem obrony są schrony bojowe wokół wsi Tynne. W tym rejonie bunkry rejonu umocnionego zostały obsadzone przez żołnierzy 4 kompanii fortecznej KOP pod dowództwem kpt. Emila Markiewicza.

W nocy z 18 na 19 września czerwonoarmiści przy- ➔
puścili pierwszy atak z użyciem piechoty na rejon

Tynnego w celu rozpoznania sił i rozmieszczenia wroga. Pomimo zamieszania i chaosu organizacyjnego Polacy odparli przeciwnika, a schrony bojowe pozostały nienaruszone. Rankiem 19 września Rosjanie ze wsparciem artylerii i czołgów 60 Dywizji Strzelców przystąpili do frontalnego ataku na pozycje KOP-istów. Ponieważ Polacy prawie nie mieli broni przeciwpancernej, sowieckie tanki podjeżdżały niemal pod same bunkry i wstrzeliwały się w otwory strzelnicze, zadając duże straty. Przed południem ppłk Sulik, obawiając się całkowitego okrążenia, rozkazał wycofanie się podległych mu jednostek na zachód w kierunku miejscowości Sarny. 4 kompania forteczna pozostała na pozycjach, zatrzymując Armię Czerwoną przed dalszym marszem.

Polscy pogranicznicy bronili się zaciekle, jednak po południu tego dnia sytuacja na odcinku Tynne była już dramatyczna. Załogi schronów znajdowały się na pozycjach daleko za linią frontu, i nie można już było liczyć na ratunek. Kpt. Markiewicz pozostawał w stałej łączności telefonicznej z ppor. Janem Bołbottem, który zamknął się w schronie nr 9 „Pirat” wraz z 50 żołnierzami. Ich sytuacja z każdą chwilą stawała się coraz bardziej dramatyczna. Sowieci przystąpili do systematycznej likwidacji poszczególnych umocnień za pomocą miotaczy płomieni i materiałów wybuchowych.

Ppor. Bołbott 20 września informował kapitana, że widział na własne oczy, jak czerwonoarmiści oblewali benzyną polskie szańce i następnie je podpalali, próbując w ten sposób wykurzyć załogi. Sam słyszał rozmowy Rosjan za murami schronu i kroki na jego sklepieniu. Mimo to nikt się nie poddał, a KOP-iści walczyli w maskach przeciwgazowych. Markiewicz próbował zorganizować odsiecz dla okrążonych żołnierzy i prosił młodego oficera, aby ten przy nadarzającej się sposobności oderwał się od przeciwnika. W słuchawce miał usłyszeć jedynie: „Dla nas już za późno. Długo to już nie potrwa”.

CENA NIEZŁOMNOŚCI

Przed godziną 5.00 nad ranem 21 września dowódca kompanii fortecznej po raz ostatni nawiązał łączność telefoniczną ze schronem „Pirat”. W swoich wspomnie-



**NAD RANEM
17 WRZEŚNIA**

ARMIA CZERWONA, ŁAMIĄC WSZELKIE POROZUMIENIA MIĘDZYNARODOWE, ZAATAKOWAŁA STRAŻNICE GRANICZNE NA CAŁEJ DŁUGOŚCI KRESÓW WSCHODNICH

niach w latach powojennych kpt. Markiewicz tak zapamiętał tamtą rozmowę:

„Ppor. Bołbott melduje, że przed chwilą nastąpił wybuch przy sąsiednim obiekcie i na własne oczy widział, jak nieprzyjaciel wdarł się wewnątrz. Chociaż jego obserwacja jest bardzo utrudniona, gdyż cały rejon jest w gęstym czarnym dymie, wszelkimi możliwymi środkami przyszedł z pomocą sąsiadowi – lecz pomoc ta była bezskuteczna. W czasie tej rozmowy zwraca się on do mnie z osobistą prośbą. Oświadcza mi, że jest pół roku po ślubie i jego żona mieszka w Lublinie – podał mi adres. Prosi mnie bardzo, ażebym po szczęśliwym wydostaniu się z walki dał znać jego żonie, że jeżeliby miał zginąć, niech wie o tym, że do ostatniej chwili myśląc o Ojczyźnie, myślał również i o niej. Po otrzymaniu

tej prośby przyrzekłem, że jeżeli będę mógł – postąpię według jego woli”.

Kapitan starał się powiedzieć, że obiecana odsiecz łada chwila ruszy, ale w tym momencie łączność została całkowicie przerwana. Do dziś nie wiadomo, do kiedy dokładnie bronili się pogranicznicy oraz który schron bojowy na pozycji Tynne został zdobyty jako ostatni. Również pod znakiem zapytania pozostaje kwestia, czy którejkolwiek załodze udało się wyrwać z okrążenia. Najprawdopodobniej w czasie kilkudniowej obrony rubieży polskich Kresów Wschodnich śmierć poniosło ponad 200 polskich żołnierzy. Ich ofiara nie poszła jednak na marne – dali swoją walką czas innym jednostkom, aby mogły się wycofać na zachód i nie dostały się do niewoli sowieckiej.

Pewne natomiast jest to, że ci, którzy przeżyli walki, w większości ponieśli śmierć z rąk rozwścieczonych i pijanych czerwonoarmistów. Zdarzały się przypadki, że rozbitych, leżących rannych KOP-istów Sowieci żywcem palili w schronach bojowych. Nie wiadomo również, jak i w którym bunkrze zginął niezłomny ppor. Jan Bołbott. Istnieją podejrzenia, że dostał się do niewoli, ale został rozstrzelany. Dopiero w 1989 roku został odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari. Jego imieniem i nazwiskiem została uhonorowana placówka Straży Granicznej w Dołhobrodach. Do dziś, mimo licznych badań i poszukiwań, nie odnaleziono grobów ani szczątków polskich obrońców Kresów Wschodnich Rejonu Umocnionego „Sarny”. ■



Bułgarski
samolot rozpo-
znawczo-bombowy
PZL.23 Karaś

ROBERT SENDEK

Pod polskimi skrzydłami

W latach trzydziestych ubiegłego wieku przebywała w Polsce na szkoleniach grupa pilotów i mechaników bułgarskich. Zdobyte umiejętności Bułgarzy wykorzystali następnie podczas tworzenia lotnictwa wojskowego w swym ojczystym kraju.

Nasze serca przenikało uczucie dumy, gdy docierały do nas informacje i opowiadania, jak pewien polski pilot myśliwski tylko jednego dnia strącił kilka niemieckich samolotów. Dla nas, bułgarskich myśliwców wychowanych na polskiej szkole latania, bohaterskie wyczyny polskich pilotów były przykładem śmiałości i męstwa. W późniejszym okresie, podczas obrony naszego kraju przed nalotami, udowodniłszy, że jesteśmy godnymi ich uczniami” – to słowa Stojana Stojanowa, bułgarskiego asa myśliwskiego z czasów II wojny światowej, które znalazły się w wydanej także po polsku książce „Messerschmitt nad Sofią”. Stojanow wspominał w ten sposób początek II wojny światowej i atak niemiecki na Polskę. Co prawda sam nie był wychowankiem szkoły polskiej, ponieważ odbywał praktykę w Niemczech, co zresztą barwnie opisał we wspomnieniach, jednak wśród jego kolegów i nauczycieli nie brakowało ludzi, którzy w latach trzydziestych umiejętności wyższego pilotażu zdobywali w Polsce.

Po zakończeniu I wojny światowej Bułgaria, walcząca po stronie państw centralnych, znalazła się w trudnej sytuacji gospodarczej i politycznej. Podpisany w 1919 roku

w podparyskim miasteczku Neuilly-sur-Seine traktat pokojowy przewidywał m.in. znaczne ograniczenie liczebności armii, likwidację bułgarskiej marynarki wojennej oraz lotnictwa wojskowego. Były to bardzo ciężkie warunki do spełnienia, niemniej władze już wkrótce zaczęły podejmować próby ich obejścia. Z czasem pojawiały się kolejne inicjatywy, które miały doprowadzić do wyjścia kraju z izolacji oraz do odbudowy bułgarskiej armii, w tym także lotnictwa.

Starania te zostały zintensyfikowane w latach trzydziestych, zwłaszcza po tzw. przewrocie majowym w 1934 roku, mocno wspieranym przez wojsko. W efekcie już wkrótce obok lotnictwa cywilnego zostały utworzone także wojska powietrzne. Zmiany przypieczętowano podpisaniem w 1938 roku w Salonikach układem, który oznaczał zniesienie przez Bułgarię ograniczeń traktatowych z 1919 roku i otwierał drogę do oficjalnej odbudowy armii bułgarskiej.

Chcąc ominąć ograniczenia traktatowe, Bułgarzy od początku lat trzydziestych wysyłali swych pilotów na szkolenia za granicę, najpierw do Włoch, z którymi podjęli współpracę wojskową, następnie także do



Niemiec. Coraz intensywniejsze były również wojskowe kontakty z Polską. Dynamicznie się rozwijający polski przemysł zbrojeniowy szukał dla siebie zagranicznych kontrahentów oraz rynków zbytu. Intensywnej promocji polskiego przemysłu lotniczego służyły wystawy, manifestacje oraz pokazy lotnicze połączone z występami akrobacyjnymi, m.in. podczas tzw. rajdów bałkańskich, których do 1939 roku odbyło się kilka. Nic więc dziwnego, że wynikały z tego konkretne umowy.

Pierwszym bodaj Bułgarem, który otrzymał zaproszenie do Polski na szkolenie lotnicze, był Wasil Czokoew, przedstawiciel bułgarskiego lotnictwa cywilnego. Wraz z całą delegacją odwiedził on w listopadzie 1930 roku polskie zakłady lotnicze oraz spotkał się z ministrem transportu RP, Alfonsem Kühnem. Efektem m.in. tej wizyty było podpisanie w kolejnych miesiącach wielu umów, dotyczących np. uruchomienia regularnych połączeń lotniczych pasażerskich i towarowych czy udostępnienia Polskim Liniom Lotniczym LOT przestrzeni powietrznej w kierunku Salonik. Strona polska zaproponowała Czokoewowi naukę pilotażu w Aeroklubie Krakowskim. Ze względu na obostrzenia traktatowe miała to być oficjalnie wizyta prywatna. Zaplanowano ją na 1931 rok, lecz z powodu śmierci Czokoewa się nie odbyła.

BUŁGARZY SIĘ UCZA

Niestety, informacje na temat początków szkolenia bułgarskich pilotów zdobywających w Polsce umiejętności pilotażu są w dużej mierze rozproszone i niepewne. Najprawdopodobniej do pierwszej konkretnej wizyty doszło w 1934 roku, a zatem już po utworzeniu przez Bułgarię własnych sił powietrznych. Latem tego roku do Polski przyjechało trzech Bułgarów, którzy koszty kursu pilotażu pokrywali z własnej kieszeni, aczkolwiek strona polska zaoferowała im pewne ułatwienia. Prawdopodobnie byli to Krystio Atanasow, Donczo Dimitrow oraz Luben Szoropłow. Ich przyjazd z jednej strony ułatwiał zorganizowanie podobnych wizyt w kolejnych latach, z drugiej zaś zdobyte przez nich doświadczenie i umiejętności zapoczentowały już w Bułgarii, wszyscy zostali bowiem skierowani do szkolenia kolejnych roczników pilotów.

Donczo Dimitrow po latach pracy w charakterze instruktora wydał w 1946 roku książkę pt. „Teoria i technika lotu”, która stała się podstawowym podręcznikiem dla następnych pokoleń bułgarskich pilotów samolotowych i szybowcowych. Krystio Atanasow najpierw został instruktorem w szkole pilotów w Płowdiwie, a następnie szefem wyższej szkoły pilotażu w miejscowości Karłowo, gdzie wykształciło się wielu bułgarskich pilo-

tów wojskowych. Jednym z wychowanków szkoły był wspomniany Stojan Stojanow. Miał on za sobą praktyki w lotnictwie niemieckim, mógł zatem porównać obydwie szkoły pilotażu, tj. polską i niemiecką. Pisał o tym w ten sposób: „Jeśli chodzi o ćwiczenia dotyczące wyższego pilotażu, obydwie szkoły nie różniły się między sobą. System polski dawał umiejętności wyższego pilotażu dla samolotu myśliwskiego w wyszkoleniu jednostkowym, zaś system niemiecki miał już zastosowanie w walce, ćwiczenia w szyku i taktyce bojowej”.

DALSZE LOTY

Efektem kolejnych wizyt przedstawicieli bułgarskich sił powietrznych było podpisanie w kwietniu 1936 roku kontraktu na dostawę do Bułgarii 24 samolotów PZL.23 Karaś i myśliwców PZL P.24. W umowie znalazł się także zapis dotyczący wyszkolenia grupy bułgarskich pilotów oraz mechaników, którzy mieli zdobyć umiejętności pilotażu i obsługi nowych maszyn. W efekcie do Polski przybyło wówczas 15 pilotów i mechaników, którzy odbyli tu staże i zdobywali umiejętności. Po zakończeniu szkoleń Bułgarzy zwiedzili fabrykę samolotów oraz 1 Pułk Lotniczy w Warszawie.

Rezultaty szkolenia były na tyle dobre, że po rocznej przerwie przybyła do Polski kolejna grupa 15 Bułgarów. Część kursantów powróciła w roku następnym i kontynuowała szkolenie. Był wśród nich także Petyr Manolew, weteran bułgarskiego lotnictwa, zmarły w 2013 roku. Po latach tak wspominał swój pobyt w Polsce:

„W roku następnym [1938] nasze dowództwo postanowiło za wszelką cenę rozpocząć przygotowanie pilotów myśliwskich. W gronie 15 kolegów udałem się na szkolenie do Polski. Spędziliśmy tam trzy miesiące na szkoleniu początkowym. W następnym roku, już w randze podporucznika, znów wysłano mnie na specjalizację do Polski, ale tym razem mieliśmy być przygotowani jako piloci gotowi do działań wojen-



W 1934 roku na prototypie PZL P.24 pil. Bolesław Orliński ustanowił światowy rekord prędkości dla samolotów myśliwskich z silnikiem gwiazdowym, osiągając prędkość 414 km/h.

W KWIETNIU 1936 ROKU POLSKA PODPISAŁA KON- TRAKT NA DOSTAWĘ DO BUŁGARII 24 SAMOLOTÓW PZL.23 KARAŚ I MYŚLIWCÓW PZL P.24

nych. Rozpoczęło się wówczas szkolenie na trudniejszych maszynach, na których ćwiczyliśmy figury, loty zespołowe, ataki celów naziemnych i powietrznych itp. Bardzo dobrze nas przygotowano. Najważniejsze, że nie przynieśliśmy Bułgarii wstydu. Nie doszło do żadnego wypadku, ani za pierwszym, ani za drugim razem”.

NADCHODZI WOJNA

Ostatni kurs dla pilotów bułgarskich zaczął się w Dębli- nie 1 lipca 1939 roku. Loty szkoleniowe zostały jednak

pod koniec sierpnia przerwane z powodu napiętej sytuacji politycznej. Tuż po wybuchu wojny Bułgarzy otrzymali polecenie ewakuacji do Warszawy, mieli także jak najszybciej wrócić do swej ojczyzny. Ze względu na rozpoczęcie działań wojennych oraz narastające problemy komunikacyjne część z nich wyjechała ze stolicy Polski i na granicy z Rumunią znalazła się dopiero 10 września. W chaosie komunikacyjnym kilku pilotów dotarło do Warszawy z dużym opóźnieniem. Dwóch z nich (białoruski historyk Ihara Mielnikau identyfikuje ich jako Pawła Pawłowa i Petkę Kukłowa) wsiadło tu do niewłaściwego pociągu i zamiast do Bukaresztu dojechało do Brześcia. Miasto było wówczas opanowane przez Rosjan, którzy przejęli je od Niemców po wspólnej defiladzie 22 września. Sowieccy żołnierze niespecjalnie przejmowali się dystynkcjami i mundurami dwójki Bułgarów. Obydwaj zostali aresztowani. I nie wiadomo, jak skończyłaby się cała ta sytuacja, gdyby nie interwencja najwyższych polityków bułgarskich. Do Stalina zwrócił się w tej sprawie ponoć sam car Borys III. Kukłow i Pawłow zostali wypuszczeni i mogli wrócić do domów. Jeszcze inny los spotkał Konstantina Konstantinowa, kolejnego z kursantów bułgarskich, który został aresztowany przez Niemców. Ponieważ jednak był obywatelem Bułgarii, a więc państwa neutralnego, został ostatecznie wypuszczony. ■

Korzystałem

m.in. z prac WOJCIECHA MAZURA,
IHARA MIELNIKAUA oraz wspomnień STOJANA
STOJANOWA i PETYRA MANOLEWA.



CIESZĘ SIĘ, ŻE MOGĘ ŻYĆ W WOLNEJ POLSCE

*Z Bolesławem
Kowalskim*

**o przywiązaniu do munduru,
służbie w wojsku
II Rzeczypospolitej, walce
o Polskę i żołnierskim szczęściu
rozmawia Jacek Matuszak.**



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI (3)

Urodził się Pan w styczniu 1917 roku, a kiedy miał 14 lat, wstąpił do Związku Strzeleckiego. Dlaczego?

Dla mnie Polska zawsze była najważniejsza. Wpajano mi to od dziecka w domu i w szkole. Jednym z moich nauczycieli był pan Józef Sikora. Na jego lekcjach, w czteroklasowej szkole podstawowej, ćwiczyliśmy z drewnianymi karabinami. Nic więc dziwnego, że w tym wieku wstąpiłem do Związku Strzeleckiego, a dwa lata później ukończyłem drugi stopień przysposobienia wojskowego. Na początku nie chcieli mnie przyjąć do Związku, ale płakałem i bardzo o to prosiłem. W końcu się udało.

Dlaczego służbę wojskową odbył Pan w 9 Pułku Artylerii Lekkiej w Siedlcach? Nie ciągnęło Pana np. do kawalerii, która była chlubą II Rzeczypospolitej?

Nie było prosto zostać artylerzystą. To bardzo ciężka służba. Trzeba było odbyć musztrę pieszą jak w piechocie, jazdę konną jak w kawalerii no i działoczniny. Dlatego do artylerii brali takich, co to mieli trochę w głowie poukładane. Byłem dumny, że trafiłem do artylerii. Kochałem swój pułk. Gdy rozpoczynałem służbę wojskową w 1938 roku, piechota chodziła jeszcze w tzw. owijaczach, a artylerzyści w butach z wysokimi cholewami.

Zresztą przed wojną wojsko było bardzo cenione, a służbę uważano za obowiązek i zaszczyt. Gdy szliśmy w mundurach przez miasto, ludzie bili nam brawo. Naprawdę czuło się, że nas cenią i są z nas dumni. Pamiętam, że w ludowym Wojsku Polskim ludzie chcieli się wykręcić od służby. Choć ja uważałem, że wojsko to wojsko i dwóch moich synów odbyło służbę. Każdy powinien być przeciwiony, by w razie potrzeby bronić swojej ojczyzny.

W czasie kampanii wrześniowej uczestniczył Pan m.in. w ostatniej bitwie – pod Kockiem. Co z tamtych dni najbardziej zapadło Panu w pamięć?

Powołanie do czynnej służby wojskowej dostałem już 15 lutego 1939 roku, właśnie do mojego 9 Pułku Artylerii Lekkiej. I dobrze pamiętam 1 września. Zaczęło się od pobudki i alarmu przed piątą rano. Z głośnika usłyszeliśmy głos prezydenta RP, który informował nas, że Adolf Hitler wydał nam wojnę. I zaraz potem przemówił do nas nasz dowódca, który powiedział: „Żołnierze! Strzelajcie celnie. Żołnierze! Strzelajcie powoli”. Informacja o tym, że napadli na nas Sowieci, zastała nas na Wołyniu. Pamiętam, jak na zbiórce nasi oficerowie mieli grobowe miny. Jakiś pułkownik powiedział do nas: „Dziś wojska sowieckie przekroczyły naszą granicę. Dwaj nasi odwieczni wrogowie rozszarpują naszą ojczyznę. Sytuacja jest tragiczna.



Wręczenie portretu wykonanego przez Marcina Lisowskiego, ucznia Zespołu Szkół Plastycznych im. Cypriana Kamila Norwida w Lublinie. Praca powstała jako część projektu edukacyjnego „Wehikuł czasu, czyli ocalić od zapomnienia”.

WIZYTÓWKA

➤ MJR BOLESŁAW KOWALSKI „WICHER”

Żołnierz 9 Pułku Artylerii Lekkiej, uczestnik kampanii wrześniowej i ostatniej bitwy wojny obronnej, stoczonej pod Kockiem. Partyzant Polskiej Armii Podziemnej, Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej.

Portretem ułożonym ze zdjęć nadesłanych razem z życzeniami od ludzi z całej Polski uczczono setne urodziny mjr. Bolesława Kowalskiego „Wichra”, które jubilat obchodził 23 stycznia 2017 roku. Akcję zainicjowali wnuczka Joanna Janiec i Stowarzyszenie Głos Bohatera.



Apelujemy do was, abyście do końca wypełnili swój święty obowiązek wobec ojczyzny”. Ten 17 września był tragicniejszy od 1 września, bo wtedy był jeden wróg.

W okresie bitwy pod Kockiem służyłem w zwiadzie, do którego sam się zgłosiłem. Człowiek był młody to nie myślał o niebezpieczeństwie. Wtedy przeżyłem nie tylko ostatnią bitwę z Niemcami, ale też gorzkość kapitulacji. Trudno jest mi opowiedzieć to, co wtedy widziałem. Przede wszystkim zobaczyłem wielu poległych.

Teraz się mówi, że byliśmy częścią Samodzielnej Grupy Operacyjnej Polesie. A wtedy, w 1939 roku to my się nazywaliśmy Korpus Obrony Polesia. Przemianowano nas dopiero po 17 września. Zresztą gdyby nie było tego ataku, to my byśmy się jeszcze bardzo długo bronili w tym rejonie. Na Polesiu wystarczyłoby zerwać mosty; tam były bagna, w których czołgi by nie poszły. Niestety atak ze wschodu pokrzyżował wszystkie plany obronne.

Czy po przegranej bitwie pod Kockiem i całej kampanii wrześniowej miał Pan chwilę zwątpienia w sens dalszej walki?

Nie. Po kapitulacji pod Kockiem trafiłem do niewoli, ale udało mi się uciec z transportu, choć byłem kontuzjowany w nogę. Jak tylko wróciłem do Olbięcina, mojej wsi, to od razu podjąłem dalszą walkę. Zresztą Olbięcina to by-

ła bardzo patriotyczna wieś. Na jej terenie jeszcze przed wojną działały aż cztery organizacje, w tym Związek Strzelecki, do którego ja należałem. Ale były też Straż Ogniowa, Samarytanka i Obrona Przeciwgazowa. Zresztą w tej samej wsi, ale już na tajnych kompletach, ukończyłem szkołę średnią. W każdym razie ten patriotyczny duch wśród mieszkańców oraz wychowanie wyniesione z domu sprawiły, że jeszcze w listopadzie przystąpiłem do konspiracji, późniejszego oddziału Armii Krajowej. Przyjąłem wtedy pseudonim „Wicher”. Zostałem zaprzysiężony niedługo po powrocie z wojny, bo już 26 listopada 1939 roku. Na początku konspirację tworzyły tzw. trójki i piątki złożone z oficerów i podoficerów. Ja byłem wówczas plutonowym Wojska Polskiego. Stanowiliśmy najpierw załazek Służby Zwycięstwu Polski, potem Związku Walki Zbrojnej, z której w lutym 1942 roku utworzono Armię Krajową.

Jak w tych trudnych czasach okupacji funkcjonowaliście jako oddział partyzancki?

Mieliśmy jedną podstawową zasadę – nie wolno niczego rekwirować po wsiach. Mogliśmy korzystać tylko z tego, co sami zdobyliśmy na nieprzyjacielu. W akcji w lipcu 1944 roku zdobyliśmy aż 35 wozów taborowych. Przechwyciliśmy wtedy dużo żywności, ale też



Dla mnie Polska zawsze była najważniejsza. Wpajano mi to od dziecka w domu i w szkole

mundury, broń i wiele innego majątku. Mieliśmy przepuścić całą kolumnę, czyli ponad 500 wozów, i zatrzymać dopiero ostatnią jej część. Niemcy jednak zauważyli jednego z naszych i zasadzka nie poszła po naszej myśli. Wyrwaliśmy w sumie sam środek tej kolumny taborowej. Jej przód pognął w kierunku na Gościeradów, a tył cofnął się na Marynopol. Gdy uderzyliśmy na kolumnę, jej dowódca nakazał podwładnym, by nie strzelali, bo on chciał przeżyć wojnę. To był jeden z większych sukcesów, jakie odniosła moja 10 kompania. W tej akcji nikt z naszych nawet nie został ranny. A do niewoli wzięliśmy 27 Ukraińców i sześciu Niemców.

Kiedy i w jakich okolicznościach sformowano tę 10 kompanię?

To było w lipcu 1944 roku. Na odprawie konspiracyjnej kpt. Piotr Iracki „Andrzej”, komendant podobowodu AK na Janów Lubelski i Kraśnik, przekazał nam rozkaz naczelnego komendanta Armii Krajowej, żeby otwarcie atakować cofających się Niemców. Rozpoczęła się akcja „Burza”. Z żołnierzy placówek naszego podobowodu mieliśmy zorganizować 10 kompanię 8 Pułku Piechoty Legionów AK. Pomagano nam w formowaniu jednostki. Dostaliśmy produkty żywnościowe i środki opatrunkowe. Było nas w sumie 120 ludzi. W Lasach Gościeradowskich nasze zgrupowanie stoczyło kilka większych potyczek z Niemcami.

Za co został Pan odznaczony Krzyżem Walecznych?

Odnaczenie dostałem za to, że rozbroiłem i wziąłem do niewoli dwóch niemieckich saperów. Zaczęło się od tego, że dowódca wysłał mnie i trzech innych żołnierzy, byśmy uprzątnęli z drogi zabitego konia. Z daleka zobaczyłem dwóch Niemców. Pozwoliliśmy im blisko podejść i zawołałem po niemiecku „ręce do góry”. I za to dostałem ten krzyż. Choć myślę, że także za to, iż nie pozwoliłem tych Niemców zabić. Niektórzy uważali, że należy ich rozstrzelać, ale ja na to nie pozwoliłem. Zresztą gdy obszukiwałem jeńców, to u jednego znalazłem zdjęcie, na którym siedziała taka bladziutka kobieta, a wokoło niej stało pięcioro dzieci. I też dlatego nie

pozwoleń rozstrzelać tych Niemców. Na rozkaz dowódcy odprowadziłem ich w las i wypuściłem. Dziś mogę powiedzieć, że w moim stuletnim życiu żadnej hańby nie pozostawię po sobie.

W jakich okolicznościach został Pan ranny?

To było 28 lipca 1944 roku, w czasie akcji „Burza”. Przebijaliśmy się z okrażenia, bo zostaliśmy otoczeni przez niemieckie wojska. W trakcie potyczki kula trafiła mnie w szyję, wyszła bokiem, wyrwując wielki kawałek ciała. Nie uczestniczyłem już w dalszych walkach oddziału. Po opatrzeniu przez sanitariuszkę przyniesiono mnie do domu mojego ojca, a później sąsiada. Kiedy przyszło NKWD, by mnie dobić, nie znalazło mnie. Brat powiedział, że zmarłem. Uwierzyli mu. U sąsiada ukrywałem się kilka miesięcy, a rana na dobre zagoiła się dopiero po półtora roku. To były dla mnie trudne dni, ale się udało.

Dopisało Panu żołnierskie szczęście...

Tak. Wtedy, ale też później. Pięć lat po wojnie zostałem aresztowany, podobnie jak wielu innych byłych akowców. Na szczęście żona dowiedziała się, co się stało i dzięki jej staraniom oraz pomocy innych ludzi po kilku dniach mnie wypuszczono. Los nas nie oszczędzał, ale dzięki Bogu dożyłem stu lat. Dziś jestem dumny z mojej rodziny, z tego, że mam dziewięcioro wnucząt i 12 prawnucząt.

A jakie przesłanie chciałby Pan przekazać młodym, którzy dziś mają po 14, 15 lat, czyli tyle, ile Pan miał, gdy wstępował do Związku Strzeleckiego?

Chciałbym im powiedzieć, by cieszyli się z tego, że mamy dziś wolną ojczyznę. Niech pamiętają jednak, że nie przyszło to łatwo. Ceną były miliony ofiar i morze polskiej krwi. Dla mnie ojczyzna to jest nasza wspólna matka, którą trzeba kochać i darzyć szacunkiem. Osobiście nie uważam się za bohatera. Walczyłem o wolną ojczyznę tak jak miliony innych Polaków. I wierzę, że było warto. Cieszę się, że dziś mogę żyć w wolnym kraju, i chciałbym, by młodzież mogła dla Polski pracować, a nie musiała o nią walczyć. Niech też dla nich, tak jak dla mnie, będzie ona świętością. ■

B O L E Ś Ł A W K O W A Ł S K I „ W I C H E R ”

#RycerzeBialoCzerwonej

Jak burzliwe były losy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej w XX wieku, wie najlepiej mjr Bolesław Kowalski „Wicher”, stuletni kombatan, artylerzysta 9 Pułku Artylerii Lekkiej, jeden z ostatnich żyjących uczestników bitwy pod Kockiem. Mimo porażki wojny obronnej 1939 roku nie złożył broni, ale od listopada w konspiracji kontynuował walkę o Polskę. Z takich obrońców Ojczyzny możemy być dumni.

My też możemy do nich dołączyć!

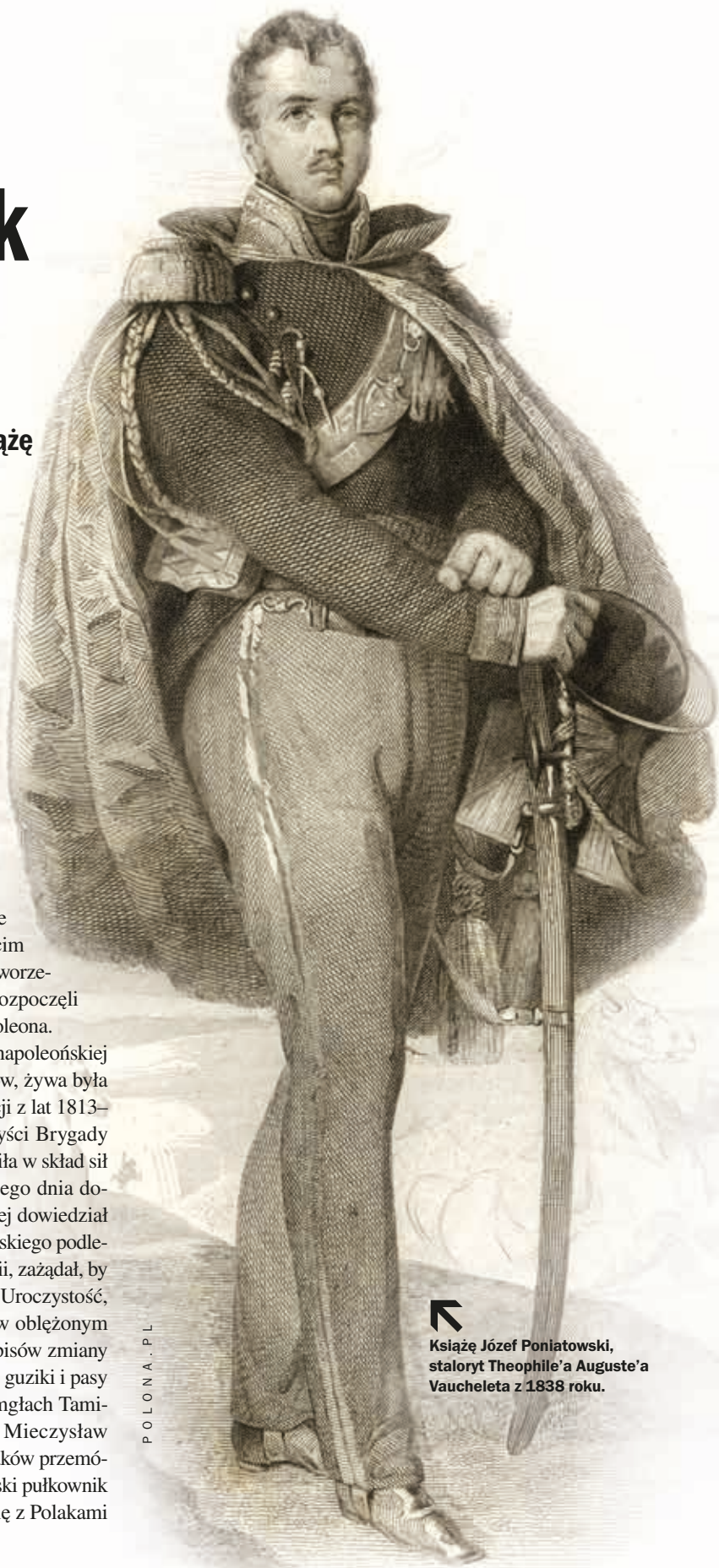
PIOTR KORCZYŃSKI

Pocałunek śmierci

Wątpliwy awans, czyli jak książę Józef Poniatowski został marszałkiem Francji.

Zanim książę Józef Poniatowski poniósł śmierć w nurtach Elstery, podobno krzyknął: „Bóg powierzył mi honor Polaków, Bogu go tylko oddam!”. Ta scena szybko stała się w świadomości narodowej symbolem oddania dla ojczyzny. Ofiara księcia i poświęcenie się jego żołnierzy w bitwie narodów pod Lipskiem w 1813 roku przyniosły jednak Polakom też całkiem realne korzyści. Zaborcze mocarstwa nie mogły bowiem po tym wydarzeniu pozwolić sobie na wymazanie Polski z mapy świata, jak zrobiły to po trzecim rozbiórce. Car Aleksander I zgodził się na utworzenie Królestwa Polskiego, w którego armii rozpoczęli służbę weterani księcia Józefa i cesarza Napoleona.

Pamięć o bohaterskich rodakach w armii napoleońskiej przetrwała nie tylko wśród polskich patriotów, żywa była także w tradycji wojsk antyfrancuskiej koalicji z lat 1813–1814. Przekonali się o tym m.in. artylerzyści Brygady Karpackiej, która jesienią 1941 roku wchodziła w skład sił broniących twierdzy tobruckiej. Gdy pewnego dnia dowódca brytyjskiego 1 Pułku Artylerii Konnej dowiedział się, że wejdzie w skład zgrupowania artyleryjskiego podlegającego dowódcy karpackiego pułku artylerii, zażądał, by polski oficer dokonał inspekcji jego wojsk. Uroczystość, mimo ciężkich warunków, jakie panowały w obleżonym Tobruku, odbyła się według wszelkich przepisów zmiany warty przed Pałacem Buckingham: „Armaty, guziki i pasy lśniły się w libijskim słońcu, jak nigdy we mgłach Tamizy”, zapisał relacjonujący tę uroczystość Mieczysław Pruszyński. Jeszcze bardziej zaskoczyło Polaków przemówienie dowódcy królewskiego pułku. Angielski pułkownik stwierdził, że ostatni raz jego pułk spotkał się z Polakami



POLONA.PL



Książę Józef Poniatowski, staloryt Theophile'a Auguste'a Vaucheleta z 1838 roku.

w 1813 roku w bitwie pod Lipskiem. Wtedy poznał ich waleczność i cieszy się, że pod rozkazami Polaka może po 128 latach walczyć ze wspólnym wrogiem!

ODBUDOWA WOJSKA

Księstwo Warszawskie, którego sytuację po klęsce Wielkiej Armii w Rosji dobrze określił pewien dyplomata francuski, stwierdziwszy, że „najbogatsi ludzie nie mają już pieniędzy”, zdobyło się na jeszcze jeden ogromny wysiłek na rzecz swego „dobroczyńcy” – cesarza Napoleona i przystąpiło do odbudowy wojska. Zajął się tym książę Józef Poniatowski. Czasu miał niewiele, gdyż na teren Księstwa wkroczyły już armie rosyjskie i austriacki korpus księcia Karola Schwarzenberga. Nominalnie był on sojusznikiem oraz osobistym przyjacielem księcia Poniatowskiego, a jego korpus miał osłaniać od południa odwrót Wielkiej Armii. Faktycznie jednak austriacki wódz stał już po rosyjskiej stronie, zachowując jedynie pozory wierności sojuszniczym zobowiązaniom wobec Francji.

W tej sytuacji książę Józef wyjechał z Warszawy i wyruszył w kierunku Krakowa. Na kwaterę wybrał sobie majątek swego adiutanta Artura Potockiego w Krzeszowicach. Stamtąd wysyłał rozkazy skierowania do Krakowa ocalałych oddziałów i formowania nowej armii. Działaniom tym cały czas towarzyszyło pytanie, co robić wobec zajęcia przez nieprzyjacielskie siły większości kraju i w sytuacji niejednoznacznej postawy austriackiego sojusznika stojącego tuż za miedzą, na Podgórzu. Pojawiało się coraz więcej głosów, by oddać się pod opiekę cara, który obiecywał „łagodne obejście i darowanie win”. Książę rozstrzygnął te dywagacje stwierdzeniem, że wojsko, na czele którego stoi, nadal jest częścią Wielkiej Armii cesarza Napoleona i powinno z nią się połączyć.

Poniatowski poprowadził zatem cesarzowi Napoleonowi przez Czechy ponadszesnastotysięczne siły, które w połowie stanowiła kawaleria. 16 czerwca przekroczył granicę Saksonii, a cztery dni później, po spotkaniu z Napoleonem w Dreźnie, na jego rozkaz zaczął formować swe oddziały w korpus. Już 15 sierpnia 1813 roku książę Józef mógł zameldować cesarzowi o gotowości VIII Korpusu nowej Wielkiej Armii, który liczył 13 660 żołnierzy, 5092 konie i 26 dział. W szeregach napoleońskich służył jeszcze tzw. korpus obserwacyjny gen. Jana Henryka Dąbrowskiego (faktycznie była to dywizja), było też kilka mniejszych jednostek, jak chociażby pułk szwoleżerów gwardii gen. Wincentego Krasińskiego, wchodzący w skład gwardii cesarskiej.

Kampania saska, zakończona bitwą narodów pod Lipskiem, dla obu stron była grą na zwłokę, w której czas działał na korzyść wojsk koalicji antyfrancuskiej. Rosjanie, Austriacy, Prusacy, Anglicy i ich coraz liczniejsi sprzymierzeńcy rozbudowywali swe armie. Wprawdzie Napoleon twierdził, że jego geniusz dowódczy zastępuje na polu bitwy stutysięczne wojsko, ale dysproporcje w kolejnych starciach, zwłaszcza kawalerii i artylerii, były coraz bardziej odczuwalne.

WOJNA PODJAZDOWA

Walki miały przede wszystkim charakter wojny podjazdowej, w której od sierpnia do października 1813 roku wciąż dochodziło do większych i mniejszych potyczek. Cesarz Napoleon uświadamiał sobie, że ta gra coraz bardziej osłabia jego siły, więc zaczął dążyć do rozstrzygnięcia kampanii w wielkiej bitwie. Również koalicjanci do tego dążyli – przecież mieli 325-tysięczną armię przeciwko 190 tys. żołnierzy wyczerpanych ciągłymi walkami i brakiem stałego zaopatrzenia.

Gdy Napoleon został poinformowany o tym, że Bawaria przeszła na stronę nieprzyjaciela, przesunął swe główne siły w rejon Lipska. Tam też pomaszerowały wojska koalicji, by odciąć Wielkiej Armii drogi do Francji, otoczyć ją i zniszczyć lub zmusić do kapitulacji. Dzięki temu pod Lipskiem 16–19 października 1813 roku spotkały się wojska kilkudziesięciu krajów europejskich.

POZORNY ZASZCZYT

Już pierwszego dnia bitwy polski VIII Korpus odznaczył się w żaźranych bojach o wsie Markkleeberg i Wachau na południe od Lipska. Mimo rozterek co do sensowności walki w szeregach napoleońskich i krwawych strat Polacy kolejny raz nie zawiedli cesarza. Napoleon mógł być

zadowolony, bo jego plan się powiódł. Jeszcze przed bitwą, w nocy z 14 na 15 października, zdecydował się na gest, który zagrzeje wojska Księstwa Warszawskiego do walki. W biuletynie Wielkiej Armii 16 października ogłoszono: „We wszystkich bitwach książę Poniatowski okrył się chwałą! Cesarz mianował Poniatowskiego na placu boju marszałkiem Francji”.

O awansie do stopnia marszałka książę Józef dowiedział się na polu bitwy wieczorem 16 października. Oficjalna nominacja miała nastąpić następnego dnia. Polski wódz od razu zdał sobie sprawę, że to tylko pozornie radosna wiadomość. Wiedział, że Napoleon dzięki temu manewrowi będzie mógł użyć jego ludzi na najcięższych odcinkach →

**KSIĄŻĘ JÓZEF PONIA-
TOWSKI OD POCZĄTKU
ZDAWAŁ SOBIE SPRA-
WĘ, ŻE JEGO AWANS
DO STOPNIA MARSZAŁ-
KA FRANCJI TO TYLKO
POZORNIE DOBRA WIA-
DOMOŚĆ**

i do najbardziej niebezpiecznych zadań. Szczerze cieszyli się z tego francuscy dowódcy. Marszałek Jacques Etienne Joseph Macdonald na wieść o nominacji miał powiedzieć do innych marszałków: „Podziękujmy cesarzowi, że takim jak Poniatowski zaszczylił nas kolegą”.

W szeregach polskiego wojska wieść o zaszczycie, jakiego dostąpił ich wódz, wywołała konsternację. Chodziło nie tyle o to, że żołnierze będą musieli stawać na najcięższych kierunkach walk, bo do tego już się przyzwyczaili, lecz o zachowanie polskiego charakteru korpusów Poniatowskiego i Dąbrowskiego. Obawiano się, że wobec uszczuplenia stanów obu jednostek zostaną one rozczłonkowane i wcielone do francuskich. Według niektórych oficerów ta nominacja oznaczała nawet, że Napoleon nie zamierza więcej zajmować się sprawą polską, a ofiarą walki u jego boku poszła na marne.

Książę Józef uważał jednak, że to nie jest najlepszy moment, by narazić się cesarzowi odmową przyjęcia godności. Dla ułagodzenia nastrojów wystąpił do króla saskiego i księcia warszawskiego Fryderyka Augusta z prośbą o upoważnienie do przyjęcia tytułu, a swych oficerów zapewnił, że innego mundurów niż polski nigdy nie włoży. Pomyślał również o uspokojeniu Warszawy, bo przewidywał, że jej mieszkańcy zareagują podobnie jak wojsko. Wysłał zatem do stolicy Księstwa specjalnego kuriera, Tomasz Ostrowskiego, który przekazał zapewnienie: „jeśli nie będzie wojny o Polskę, to tylko w cywilnym ubraniu chodzić będę”. Zaznaczył jednocześnie, że cesarza doprowadzi aż do Francji. Tym samym książę przypieczętował los swój i swoich żołnierzy.

Dzień oficjalnej nominacji księcia Poniatowskiego do stopnia marszałka Francji po obu stronach walczących sił upłynął na porządkowaniu szeregów i zajmowaniu nowych pozycji. Wtedy wojska koalicji otrzymały też wsparcie – dołączył do nich szwedzki korpus niedawnego marszałka Francji, a obecnie króla Szwecji Jeana Baptiste’a Bernadotte’a. 18 października, czyli decydującego dnia bitwy, okazało się zatem, że na 160 tys. piechoty, 20 tys. jazdy



Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego w nurtach Elstery. Akwaforta Horacego Verneta z 1822 roku.

NA 160 TYS. PIECHOTY, 20 TYS. JAZDY I 630 DZIAŁ WIELKIEJ ARMII NAPOLEONA PRZYGOTOWANO 300 TYS. PIECHOTY, 60 TYS. JAZDY I 1466 DZIAŁ KOALICJI

i 630 dział Wielkiej Armii Napoleona przygotowano 300 tys. piechoty, 60 tys. jazdy i 1466 dział koalicji. O ósmej rano na pozycje napoleońskie od południa uderzyły trzy wielkie kolumny rosyjsko-austriackie, liczące po 50 tys. ludzi każda. Cesarz mógł im przeciwstawić tylko 80 tys. żołnierzy, w tym polski VIII Korpus. Prawie równocześnie z atakiem Rosjan i Austriaków, na wschód od Lipska uderzyli Szwedzi, a od północy – pruski korpus feldmarszałka Gebharda Leberechta von Blüchera, na którego stronę szybko przeszły dywizja saska i dwa pułki wirtemberskie. Mimo przytłaczającej przewagi i zdrady części niemieckich wojsk armia francuska nie dała sobie odciąć drogi



odwrotu. Tyle że wieczorem tego dnia Napoleonowi zostało w rezerwie już tylko 15 tys. ludzi, koalicja zaś miała ich 100 tys. Co gorsza, artylerii francuskiej zostało amunicji jedynie na dwie godziny strzelania. Korpus księcia Józefa liczył już tylko 3,5 tys. żołnierzy pozbawionych prawie zupełnie amunicji...

O HONOR POLSKICH SZTANDARÓW

Napoleonowi pozostawał tylko odwrot. Można było go jednak przeprowadzić jedyną wolną drogą na Lindenau, więc należało utrzymać się na dotychczasowych pozycjach przez dobę. Do tego zadania cesarz wyznaczył 30 tys. żołnierzy, w tym cały polski VIII Korpus. Siły te po wstrzymaniu przeciwnika miały jako ostatnie odejść spod Lipska przez most na Elsterze, który póź-

niej miano wysadzić w powietrze.

Rankiem 19 października VIII Korpus rozpoczął ostatnią walkę, już nie o niepodległość ojczyzny, lecz o honor polskich sztandarów. Polacy obsadzili południowe przedmieścia miasta, od zewnętrznej bramy Windmühlentor, przez zewnętrzną bramę Peterstor, stanowiącą oś obrony, aż po Flossgraben, czyli rowy otaczające miasto od strony południowo-zachodniej. Mury południowe osłaniał 4 Pułk Piechoty Legii Nadwiślańskiej płk. Stanisława Malczewskiego i 12 Pułk Piechoty płk. Macieja Wierzbńskiego. Kawaleria z 2 Dywizji Lekkiej gen. Michała Sokolnickiego i Pułku Krakusów odeszła do Lindenau, bo jazda pod murami nie mogła już się rozwinąć. Przy księciu Józefie pozostał jedynie pluton krakusów i szwadron kirasjerów Kazimierza Dziekońskiego z 14 Pułku, razem 180 żołnierzy eskorty.

Przed południem bramą Randstadtską wyjechał cesarz Napoleon w kierunku mostu. Od tej chwili wypadki potoczyły się bardzo szybko. Rosjanie przypuścili szturm na bronioną przez Polaków bramę Windmühlentor. Płk Malczewski został zastrzelony przez żołnierzy badeńskich, którzy przeszli na stronę wroga. Marszałek MacDonald zaczął odwrot przez polskie stanowiska, od bramy Peterstor również cofnęli się polscy piechurzy z 12 Pułku, a za nimi ostrzeliwani przez Badeńczyków 4 Pułk.

Księżę Poniatowski zebrał swą eskortę przed południowo-zachodnim narożnikiem murów miejskich Pleissenburg i z trzema działami próbował kontratakować naciera-

jących jęgrów rosyjskich. W tym momencie usłyszał wybuch min podłożonych pod most na Elsterze, czyli jedyną drogę odwrotu. Francuscy saperzy spanikowali i zbyt wcześnie zdetonowali ładunki – w ten sposób odcięli odwrot swej ariergardzie. Polacy mogli zatem wycofywać się tylko wpływ przez rzeki Pleissę i Elsterę. Ranny książę Józef nie chciał zostawiać swych żołnierzy, którzy wciąż powstrzymywali napierających ze wszystkich stron Rosjan. W końcu uległ namowom i skierował swego konia w nurty Pleissy. Rumak został jednak porwany przez wezbraną je-siennymi opadami rzekę.

Na ratunek księciu ruszył młody kapitan francuski Hipolit Blechamps, służący w Sztapie Głównym polskiego wojska. Z jego pomocą książę uwolnił się od tonącego konia i wyszedł na brzeg. Trzykrotnie ranny, podtrzymywany przez adiutantów Ludwika Kickiego i Teodora Szydłowskiego, ruszył Poniatowski w kierunku Elstery. Po drodze nieprzyjacielska kula dosięgła go po raz czwarty. Książę zawisł na rękach żołnierzy, ale zaraz odzyskał przytomność. Adiutanci błagali go, żeby pozwolił się opatrzyć, by zdał dowództwo któremuś generałowi i oddał się do niewoli. Ten jednak nie reagował na prośby, półprzytomny mówił tylko coś o honorze i ojczyźnie. Z pomocą oficerów dosiadł nowego rumaka i podtrzymywany z obu stron udał się wzdłuż Elstery do brodu wskazanego przez saperów.

W tym czasie przeciwnik dotarł nad rzekę, przekroczył ją i zaczął ostrzeliwać uciekających Francuzów. Tracący co chwilę przytomność, ociekający krwią polski wódz spostrzegł, że wrogi oddział zachodzi mu drogę, więc zawrócił konia i wjechał do rzeki. Zwierzę z trudem dotarło do przeciwległego brzegu i tu, podczas wdrapywania się na błotniste urwisko, książę Poniatowski raz jeszcze został trafiony. Zsunął się do wody i zaczął tonąć. Kpt. Blechamps znowu pospieszył mu na ratunek, ale obaj zginęli w nurtach rzeki. Z VIII Korpusu jedynie około 500 oficerów i żołnierzy przedarło się na drugi brzeg Elstery. Do niewoli dostał się sztab korpusu i 13 generałów oraz większość pułkowników. Stanowili oni bazę, na której później sformowano armię Królestwa Polskiego.

Księżę Poniatowski, podjąwszy ostateczną decyzję o wyprowadzeniu swego wojska z ojczystych granic i dołączeniu do armii cesarza Napoleona, jakby przeczuwając nadchodzące wydarzenia, w odezwie z 12 marca 1813 roku tak napisał do swoich żołnierzy: „pomnijmy wszyscy, że w życiu narodów są chwile, którym zbieg okoliczności wartość nadaje wieków”. O tej wartości przekonali się żołnierze polscy walczący w tak odległym od ojczyzny miejscu, jak libijski Tobruk. Żołnierze 2 Armii Wojska Polskiego zaś po krwawych bojach w Saksonii mogli w 1945 roku złożyć w Lipsku kamień węgielny ku czci swego bohatera narodowego – księcia Józefa Poniatowskiego. ■

Już w 1926 roku francuska armia przygotowała wymagania dla nowego czołgu wsparcia, który miałby zastąpić skonstruowany w czasie wojny Renault FT-17. Jednak prace nad nowym pojazdem zaczęły się na poważnie w 1933 roku, gdy do władzy w Niemczech doszedł Adolf Hitler. Ostatecznie w wymaganiach z 2 sierpnia 1933 roku sprecyzowano, że ma to być wóz sześciotonowy z opancerzeniem grubości 30 mm. Zainteresowanie budowaniem nowego lekkiego czołgu wykazało 14 firm (tylko trzy dostarczyły prototypy). Jednak droga do zdobycia zamówienia od armii francuskiej nie była łatwa, bo gdy firmy pracowały nad prototypami, wojsko zmieniło wymagania taktyczno-techniczne. W nowych, z 21 czerwca 1934 roku, znalazł się zapis o 40-milimetrowym pancerzu.

DWA ZAMIAST JEDNEGO

W kwietniu 1935 roku firma Renault pokazała komisji wojskowej prototyp pojazdu, który zyskał jej akceptację.

W związku z nabierającymi tempa niemieckimi zbrojeniami francuski resort obrony nie zastanawiał się długo i już 29 kwietnia 1935 roku zamówił pierwszą partię 300 czołgów lekkich model 1935 R, znanych pod skróconym oznaczeniem R-35, które były przeznaczone do wsparcia piechoty. Pierwszy wóz przekazano wojsku wiosną 1936 roku, które go dalej testowało, a sugerowane zmiany wprowadzano w trakcie produkcji.

Renault R-35 miał kadłub odlewany, co obniżyło koszty produkcji tego wozu. Z przodu znalazło się stanowisko dla kierowcy, a przedział z silnikiem i zbiornikami paliwa o pojemności 166 l był z tyłu. Pośrodku kadłuba ulokowano przedział bojowy ze stanowiskiem dla dowódcy czołgu, który obsługiwał również uzbrojenie. Tam też znajdowały się amunicja do krótkolufowej (21 kalibrów) armaty Puteaux SA 18 kalibru 37 mm, pociski przeciwpancerne i odłamkowo-burzące oraz dla sprzężonego z nią karabinu maszynowego Reibel MAC 31 kalibru 7,5 mm (odmiana

TADEUSZ WRÓBEL

Francuskie trzydziestki piątki

W momencie wybuchu II wojny światowej trzonem francuskich sił pancernych były lekkie czołgi Hotchkiss i Renault, które weszły do służby w 1936 roku. Cztery lata później Francuzi mieli ich ponad 2,5 tys.

MUZEUM YAD LA-SHIRYON

ZDOBYCZNYCH LEKKICH CZOŁGÓW RENAULT I HOTCHKISS NIEMCY UŻYLI PRZECIWKO ALI- TOM W 1944 ROKU W EUROPIE ZACHODNIEJ

fortecznego kaemu, zasilanego z okrągłych 150-nabojowych magazynków). Uzbrojenie zamontowano w jednoosobowej, odlwanej wieży APX-R. Na jej stropie umieszczono kopułę obserwacyjną, a w tylnej ścianie drzwiczki wejściowe. Jako że były one odchylane do dołu, pełniły funkcję miejsca do siedzenia dla dowódcy.

Zastosowane rozwiązania konstrukcyjne uprościły i przyspieszyły produkcję R-35, ale odbyło się to kosztem wytrzymałości pancerza. Jego maksymalna grubość na pochyleniach kadłuba wynosiła 43 mm. Bardziej niż przód (32 mm) chronione były boki i tył, gdzie pancerz miał 40 mm. Na stropie natomiast i spodzie jego grubość wynosiła tylko kilkanaście milimetrów. Z kolei opancerzenie wieży miało od 30 do 45 mm.

Zawieszenie czołgu R-35 zostało przejęte z wozu rozpoznawczego AMR 35 opracowanego przez Renault dla francuskiej kawalerii. Składało się z koła napędowego z przodu i napinającego z tyłu oraz pięciu kół jezdnych z gumowymi obrotkami. Pierwsze z kół jezdnych było zamontowane niezależnie, a cztery następne tworzyły dwa wózki, że sprężynami zwojowymi, zawieszone na wahaczach. Szeroka na 26 cm gąsienica R-35 opierała się na trzech rolkach i była zbudowana ze stalowych płytek.

Jako że R-35 miał wspierać piechotę, wojskowi nie przykładali dużej wagi do prędkości. Benzynowy silnik Renault V-4 o mocy 82 KM pozwalał lekkiemu czołgowi rozwinąć ją do 20 km/h na drodze, a w terenie do 14 km/h. Jednocześnie wzrastało zużycie paliwa do 212 l na 100 km, co oznaczało, że trzydziestka piątka nie była w stanie pokonać tego dystansu z pełnym bakiem.

Równoległe z R-35 francuska armia kupiła inną konstrukcję proponowaną w przetargu, czołg lekki model 1935 H, bardziej znany jako Hotchkiss H-35. Trzeci jego prototyp, zaprezentowany 19 sierpnia 1935 roku, został zaakceptowany przez wojskowych po miesięcznych testach. 6 listopada 1935 roku zamówiono pierwszą partię 200 wozów. Ich produkcja ruszyła w połowie następnego roku, a 12 września pierwsze H-35 przekazano armii, która je testowała. Wojskowi nie byli zadowoleni z osią-

gów w terenie i piechota zrezygnowała z tych czołgów po otrzymaniu 108 sztuk, w które przebrojono dwa bataliony. Jednak H-35 przekazano do kawalerii.

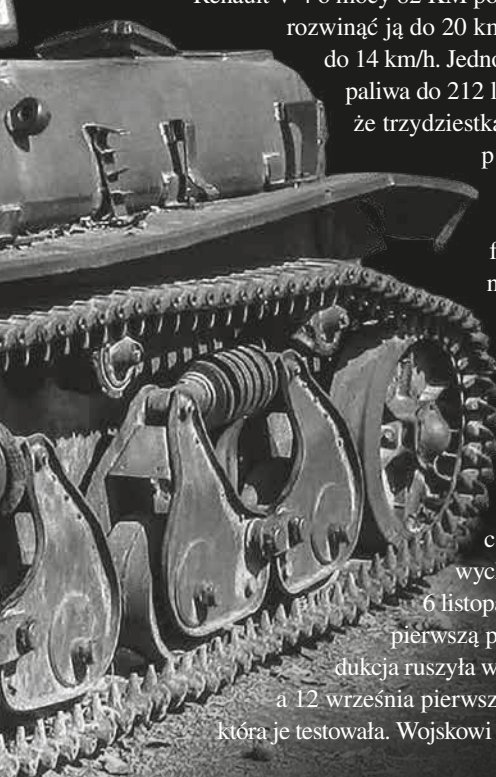
W wersji zaakceptowanej przez armię francuską H-35 miał taką samą wieżę jak R-35. Jednak kadłub był również odlwany i miał podobny układ wewnętrzny jak wozie Renault. Tyle że grubość opancerzenia wynosiła od 12 do 34 mm. Sześciocyldrowy silnik o mocy 75 KM zużywał 130 l paliwa na 100 km. H-35 był nieco szybszy niż R-35. Według oficjalnych danych, na drodze mógł rozpędzić się do 28 km/h, ale ponoć faktycznie było to niemożliwe. Czołg zabierał 180 l paliwa, na którym mógł przejechać 130 km. Zawieszenie H-35 różniło się od R-35, gdyż składało się z trzech wózków, każdy z dwoma kołami jezdnymi, i dwóch rolek. Szerokość gąsienic wynosiła 25 cm.

BŁĄD NIE DO NAPRAWIENIA

H-35 i R-35 były wyrobami nowymi, ale jednak przestarzałymi, gdy chodzi o rozwiązania konstrukcyjne. Na to nakładały się archaiczne założenia co do zasad ich użycia. Słabej mocy silniki powodowały, że oba czołgi były wolne i miały problemy z poruszaniem się w trudnym terenie. Dlatego jedną z pierwszych zmian było zamontowanie w hotchkissie mocniejszego silnika, 120 KM, i zwiększenie zapasu paliwa do 211 l. Po tej zmianie prędkość wzrosła do 36 km/h, a zasięg do 150 km. Wóz otrzymał oznaczenie H-39. W przypadku R-35 problemem było zawieszenie. Wprowadzono nowe, złożone z 12 małych kół jezdnych, a czołg dostał oznaczenie R-40.

Francuscy wojskowi dostrzegali szybki rozwój broni pancernej i domagali się zmian. Podstawową słabością obu lekkich czołgów było uzbrojenie główne. Krótkolufowa armata, z której wystrzeliwane pociski miały prędkość wylotową zaledwie 300 m/s, mogła przebić jedynie 12-milimetrowy pancerz z odległości 500 m. Z powodu niewielkiego kalibru SA 18 była mało efektywna w zwalczaniu umocnień polowych. Dlatego postanowiono zamontować nową armatę, SA 38 kalibru 37 mm z lufą o długości 35 kalibrów. Wystrzelony z niej pocisk przebił 40-milimetrowy pancerz z odległości 500 m. Zmodyfikowana wieża miała oznaczenie APX-R1. Wyposażony w nią czołg Renault otrzymał oznaczenie R-39, ale tych wozów powstało tylko około 50. Wieżę tę zamontowano też na 350 egzemplarzach H-39, ale nie spowodowało to zmiany ich oznaczenia.

Innym mankamentem obu czołgów był brak radiostacji, którą zainstalowano tylko w wozach do testów. Machanie chorągiewkami nie sprawdzało się na polu walki, ale wy-



RENAULT H-35

Masa bojowa – 10,4 t
Długość – 4,02 m
Szerokość – 1,87 m
Wysokość – 2,13 m
Moc silnika – 82 KM
Moc jednostkowa – 7,7 KM/t
Prędkość maksymalna (po szosie) – 23 km/h
Zasięg – 140 km

UZBROJENIE:

armata SA 18 kalibru 37 mm ze 100 pociskami; karabin maszynowy kalibru 7,5 mm z 2,4 tys. nabojów (okrągłe 150-nabojowe magazynki)

UZBROJENIE:

armata SA 18 kalibru 37 mm ze 100 pociskami (42 przeciwpancerne, 58 odłamkowo-burzących); karabin maszynowy kalibru 7,5 mm z 2,4 tys. nabojów (okrągłe 150-nabojowe magazynki)

HOTCHKISS H-39

Masa – 10,98 t
Długość – 4,22 m
Szerokość – 1,95 m
Wysokość – 2,15 m
Moc silnika – 120 KM
Moc jednostkowa – 9,92 KM/t
Prędkość maksymalna – 36 km/h
Zasięg – 150 km

miana uzbrojenia czy montaż radiostacji w R-40 przyniosły tylko niewielką poprawę. Dane o produkcji czołgów R-35 i H-35 oraz ich modyfikacji są niepełne, zwłaszcza z okresu między 10 maja 1940 roku, kiedy rozpoczął się niemiecki atak, a 24 czerwca, gdy podpisano rozejm. Wiadomo, że armia francuska rozszerzyła w 1939 roku zamówienia na czołgi Renault do 2,3 tys., ale w dniu ataku Niemiec na Polskę miała ich tylko 975 (wyprodukowano 1070). Szacuje się, że w sumie powstało 1570 z 1611 zamówionych wozów, z tego część wyeksportowano, m.in. 100 do Turcji, 41 do Rumunii i 54 do Jugosławii.

Według danych z 1 kwietnia 1940 roku, we Francji były 1063 czołgi Renault, 880 z nich w 20 batalionach czołgów bojowych (Battallions Chars de Combat – BCC), w zgrupowaniach batalionów czołgów (Groupements de Battallions Chars – GBC) podporządkowanych dowództwom dziewięciu armii. Poza Francją R-35 znajdowały się w trzech batalionach, które stacjonowały w Syrii (95) i Maroku (30). Po wyprodukowaniu 400 egzemplarzy H-35 następne budowano już w wersji H-39. Do wybuchu wojny z Niemcami dostarczono ich 640. W tym czasie dwa bataliony H-35 były w GBC. 10 maja 1940 roku było ich już osiem (360 czołgów), sześć z nich przydzielono później do trzech dywizji kirasjerów. W skład piechoty wchodziła jeszcze samodzielna kompania (15 czołgów).

Większość hotchkissów kawalerii znajdowała się w maju 1940 roku w trzech lekkich dywizjach zmechanizowanych, zorganizowanych w siedem pułków z 351 wozami. W pięciu lekkich dywizjach kawalerii było po szwadronie składającym się z 16 czołgów. Grupy rozpoznawcze dwóch dywizji piechoty miały po 23 hotchkissy.

Francuska struktura organizacyjna była pokłosiem międzywojennej koncepcji użycia niewielkich jednostek czołgów jako wsparcia piechoty. Gdy po 10 maja 1940 roku

okazało się, że jest ona całkowicie błędna, Francuzi sformowali ad hoc 2 i 4 Dywizję Kirasjerów Rezerwy, do których włączyli sześć armijnych GBC.

W OBCEJ SŁUŻBIE

Podczas walk w maju i czerwcu 1940 roku zostały obnażone słabości konstrukcyjne francuskich czołgów oraz brak sensownej taktyki działania, o czym świadczyły kontrataki przeprowadzane bez osłony lotniczej, w których poniesiono duże straty. We Francji Niemcy zdobyli około 1,4 tys. lekkich czołgów R-35, R-39, R-40, H-35 i H-39. Ponoć większość stanowiły pojazdy nieuszkodzone, np. porzucone z braku paliwa. Fakt, że w takich sytuacjach załogi nie próbowały ich niszczyć, nie najlepiej świadczy o morale armii francuskiej.

Niemcy wykorzystali zdobyczne czołgi w jednostkach okupacyjnych zarówno we Francji, jak i tych walczących z partyzantami na tyłach frontu wschodniego i Bałkanach. Część przebudowali na działa samobieżne, niszczyciele czołgów, ciągniki artyleryjskie, wyrzutnie rakiet, wozy amunicyjne lub obserwacyjne artylerii. Pewną liczbę czołgów przekazali sojusznikom, w tym 124 sztuki R-35 Włochom. Zdemontowane wieżyczki były instalowane na pociągach pancernych i fortyfikacjach.

Przechwyconych lekkich czołgów Renault i Hotchkiss Niemcy użyli przeciw aliantom w 1944 roku w Europie Zachodniej. Wcześniej alianccy żołnierze mieli z nimi do czynienia w czasie walk z wojskami Vichy w Lewancie w 1941 roku, w Afryce Północnej w 1942 roku i we Włoszech w 1943 roku. ■

KRZYSZTOF
KUBIAK

Fałszywe cele



Kiedy powiedzie się fortel mający skłonić przeciwnika do skierowania oręża przeciwko obiektowi jedynie pozorującemu ważny element ugrupowania bojowego lub infrastruktury, przynosi to wiele korzyści. Po pierwsze, rosną szanse, że własne wojska i zaplecze unikną porażenia; po drugie, zużycie przez oponenta zasobów (zarówno samego uzbrojenia, jak i jego nosicieli) nie przynosi mu żadnych wymiernych rezultatów; po trzecie, sytuacja taka wzmacnia dezorientację struktur kierowniczych przeciwnika, zwiększając gęstość „mgły wojny”, i tak już komplikującej sytuację.

Różne zabiegi mające ostatecznie doprowadzić do tego, by wrogie pociski rozmijały się z obiektami, które miały niszczyć, stosuje się od dawna. Podczas II wojny światowej, gdy głównym celem niemieckiej Luftwaffe stały się brytyjskie miasta, wdrożono szereg przedsięwzięć, by uniemożliwić pilotom i nawigatorom określenie swojego położenia w przestrzeni, a w następstwie odnalezienie miejsc do bombardowania. Służyło temu zaciemnienie określonych rejonów aglomeracji połączone np. z tworzeniem skupisk fałszywych świateł poza jej granicami. Po nalocie na Coventry w listopadzie 1940 roku Brytyjczycy przystąpili do realizacji programu „Rozgwiazda” (Starfish, pierwotnie Special Fire – SF), polegającego na wznieśieniu instalacji zasilanych ropą, tak aby pozorowały płonącą zabudowę miejską lub przemysłową. Łącznie powstało 237 takich obiektów wokół 81 wybranych miast. Ocenia się, że niemieckie lotnictwo około 700 razy zbombardowało wówczas fałszywe cele.

W nieco inny sposób posługiwali się celami pozornymi Egipcjanie i Sowieci w czasie toczonej przeciwko Izraelowi w latach 1967–1970 tzw. wojny na wyczerpanie. Najbardziej spektakularnymi epizodami tego konfliktu były starcia izraelskiego lotnictwa z obroną przeciwlotniczą oponentów. W ich trakcie Sowieci, a za nimi Egipcjanie budowali znaczną liczbę wyposażonych w makiety wyrzutni rakiet S-75 Dżwina i S-125 Newa stanowisk ogniowych. Piloci izraelscy, którzy operowali z dużą prędkością i na dynamicznie zmieniających się wysokościach, w trudnym do wyobrażenia stresie bojowym, nie byli w stanie rozróżnić atrap od rzeczywistego uzbrojenia i wielokrotnie je atakowali za pomocą bomb i niekierowanych pocisków rakietowych. Nawet jeśli trafili, zdolność bojowa przeciwnika pozostawała niezmienna, oni sami zaś narażali się na zestrzelenie.

Z kolei w trakcie działań NATO prowadzonych przeciwko byłej Jugosławii w marcu 1999 roku lotnictwo Jugosłowiańskiej Armii Ludowej stosowało cele pozorne, aby odciągnąć uwagę pilotów sojuszu od kluczowych obiektów, w tym schronów kryjących samoloty. Na pasach startowych stawiano niesprawne maszyny, często „nieudolnie” zamaskowane, albo zbudowane z drewna i blachy makiety myśliwców MiG-29, budzących największe obawy przeciwnika. Owe fantomowe samoloty miały nawet specjalne oznaczenie wojskowe M-18. Metoda ta sprawdzała się wzorcowo. Lotnictwo sojusznicze intensywnie atakowało takie fałszywe obiekty np. pod Batajnicą (około 20 km na północny zachód od Belgradu). Pokazuje to, że nawet w starciu z przeciwnikiem dysponującym istotną przewagą techniczną stosunkowo prymitywne sposoby wprowadzania go w błąd mogą się okazać nad wyraz skuteczne. W ostatecznym rozrachunku bowiem wojna nie jest konfrontacją komputerów, lecz umysłów ludzi zdolnych wychodzić w swych działaniach daleko poza wszelkie schematy.



Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.



HORYZONTY

/ POD NASZYM PATRONATEM

MICHAŁ ZIELIŃSKI

PIEKIELNY POSMYK

Bieg Katorznika należy do najbardziej elitarnych imprez tego typu w Europie Środkowej. Za jego legendą stoi nie tylko duch sił specjalnych, ale przede wszystkim wymagająca i nieprzewidywalna trasa.



MICHAŁ ZIELIŃSKI

P

rzed startem wszystko wydaje się proste. Dla zdrowego, w miarę wysportowanego człowieka przebiegnięcie kilkunastu kilometrów nie jest żadnym wyczynem. Do tego buzująca we krwi adrenalina i entuzjastycznie nastawieni inni uczestnicy podkreślają atmosferę. Całe ciało aż rwie się do tego, żeby wystartować. Ten stan euforii szybko mija przy pierwszym kontakcie z lo-

dową wodą, kiedy trzeba wskoczyć do jeziora. Po pokonaniu jednej trzeciej trasy po entuzjazmie nie ma już nawet śladu.

Ci, którzy przygotowywali się do biegu, metodycznie i ze skupieniem pokonują kolejne metry. Na umorusanych twarzach większości osób widać jednak, że sprawia im to ból. Pomiędzy płytko łapanymi oddechami pojawiają się pytania o odległość do mety lub przekleństwa na „chwytające” za kostki błoto. Na dodatek taśma izolacyjna przytwierdzająca buty do stóp nie trzyma ich wystarczająco mocno, a pragnienie wysusza język na wiór. Jest bardzo ciężko, a to dopiero początek tej piekielnej trasy.

KŁODY POD NOGI

W ciągu ostatniej dekady Bieg Katorżnika zyskał miano kultowego. Przyczynia się do tego nie tylko konsekwencja organizatorów z Wojskowego Klubu Biegacza „Meta” oraz zaangażowanie Jednostki Wojskowej KomanDOSów w dokręcanie zawodnikom śruby, lecz także będąca wyzwaniem trasa. Rozlewisko wokół jeziora Posmyk, gdzie rozgrywają się zawody, obfituje w naturalne przeszkody terenowe. Jednocześnie, ze względu na niewielką ingerencję człowieka, ten teren ulega nieustan-

nym zmianom, więc co roku na biegaczy czekają niespodzianki. „Uczestnicy twierdzą, że ta edycja jest jednak najtrudniejsza. Choć wiele odcinków trasy to te same miejsca, natura jednak zaciera ślady powstałe w poprzednich latach. Wszystko wydaje się więc nowe i niezbadane”. Zbigniew Rosiński, ojciec lublińskich zawodów, przyznaje, że zaplanowanie biegu to spore wyzwanie. Ma to być impreza elitarna, co wiąże się nie tylko z ograniczoną liczbą miejsc, lecz także z wysoko postawioną poprzeczką.

„W tym roku trasa jest odrobinę dłuższa i, zgodnie z numerem porządkowym edycji, liczy 13 km. Dodaliśmy wiele nowych fragmentów, włączyliśmy trzecie, najbardziej oddalone jezioro. Jednocześnie w innych miejscach trzeba było bieg odrobinę skrócić, co spowodowało dodatkowe utrudnienia. Zawodnicy musieli przedzierać się przez całe sekwencje trzin i rowów”, dodaje Zbigniew Rosiński. Zarazem trzeba pamiętać o niuansach, które nie są oczywiste dla mniej doświadczonych biegaczy. Chodzi o różnicę temperatury między ciepłą wodą w jeziorze a znacznie chłodniejszą w rowach odciekowych. Nagła zmiana w wypadku niedostatecznie rozgrzanego organizmu może spowodować skurcze lub znacznie poważniejsze urazy.

Planowanie trasy biegu zajmuje około tygodnia i wiąże się przede wszystkim z pracą w terenie. Krystian Świerc, który nadzoruje ten etap przygotowań do zawodów, wykorzystuje przede wszystkim doświadczenie zdobyte w poprzednich edycjach. Jako biegacz wie, które fragmenty będą sprawiać największą trudność. „Mógłbym zaprojektować trasę pod siebie, ale robię dokładnie odwrotnie. Zwracam uwagę na to, gdzie jest głębiej, bardziej grząsko, a nawet gdzie po prostu najbardziej śmierdzi. Dodaliśmy także trzeci staw. Nie jest on bardzo głęboki, ale ostatecznie długość biegu daje się mocno



Katarzyna Piecha w klasyfikacji generalnej kobiet zajęła drugie miejsce. Jak sama mówi, kompleksowa kąpiel błotna była miłym dodatkiem.

KAŻDY KILOMETR ODCISNĄŁ PIĘTNO NA TWARZACH ZAWODNIKÓW PRZEKRACZAJĄCYCH LINIĘ METY. BIEL ZĘBÓW KONTRASTUJE Z UBŁOCZONYMI TWARZAMI

we znaki. Jest to edycja, w której najwięcej osób zrezygnowało bądź zostało wyeliminowanych przez urazy”.

Faktycznie każdy kilometr odcisnął piętno na twarzach zawodników przekraczających linię mety. Część z nich mija sędziów wręczających pamiątkowe trofea i od razu sięga po wodę. Niektórzy padają na ziemię i leżą na piasku. Białe zęby widocznych w łapiących powietrze ustach kontrastuje z umorusanymi twarzami. Kilkakrotnie musi interweniować pomoc medyczna, ale odbywa się bez poważnych urazów. Organizatorzy podkreślają, że to bieg ekstremalny w pełnym tego słowa znaczeniu. Wiąże się to nie tylko z bardzo wymagającym terenem, lecz także minimalną liczbą punktów zapotrzeniowych. W tym wypadku przygotowano jeden!

Nie oznacza to jednak, że nikt nie czuwa nad bezpieczeństwem uczestników. Wręcz przeciwnie, na zawodach jest obecny cały sztab ratowników ze specjalistycznym sprzętem.

Sama trasa jest sprawdzana kilkakrotnie. To o tyle istotne, że burza bądź susza mogą w bardzo krótkim czasie wpłynąć na jej przebieg. Zbigniew Rosiński zdradza, że załamanie pogody, które w sierpniu tego roku nawiedziło Polskę, postawiło pod znakiem zapytania całe zawody. „Najwięcej szkód odnotowaliśmy przed dwiema nocami, kiedy przez okolicę przeszedł huragan. Nadleśnictwo musiało udrożniać drogi ewakuacyjne oraz sprzątać powalone drzewa. Mieliśmy w zanadru kilka alternatywnych pomysłów – od ominięcia jeziora po przesunięcie terminu imprezy, ale na szczęście ostatecznie ➔



Wodne fragmenty trasy są trudne m.in. ze względu na niespodziewane zmiany głębokości.

wszystko ułożyło się pomyślnie i nie musieliśmy z nich skorzystać”.

Trwające kilka dni ulewy pozrywały jednak taśmy oraz powiększyły liczbę wiatrołomów. Do ostatniej chwili organizatorzy w mozołę odbudowywali trasę, sprawdzali również, czy w bagnach nie zalegają gałęzie, mogące poważnie zranic uczestników. Huragany doprowadziły także do zauważalnego wzrostu poziomu wód. Miejsca, które podczas planowania biegu były jedynie wilgotne, wypełniły się klejącą mazią. Zarazem tam, gdzie jeszcze niedawno woda ledwie zakrywała kostki, podniosła się do poziomu kolan. „Dzień przed imprezą ponownie pokonałem tę drogę, co zajęło mi około sześciu godzin”, opowiada Krystian Świerc, który na naprawę szkód zużył dodatkowe 500 m taśmy. „Równie trudną sytuację zastałem w lasach. Wiatrołomy zablokowały trasę, więc musieliśmy ją tak poprowadzić, żeby była bezpieczna dla zawodników”.

Nie zawsze wpływ aury objawiał się w ten sposób. W poprzednich latach były bardzo wysokie temperatury, ale zdarzyły się także tak niskie, że dla niektórych uczestników bieg kończył się hipotermią.

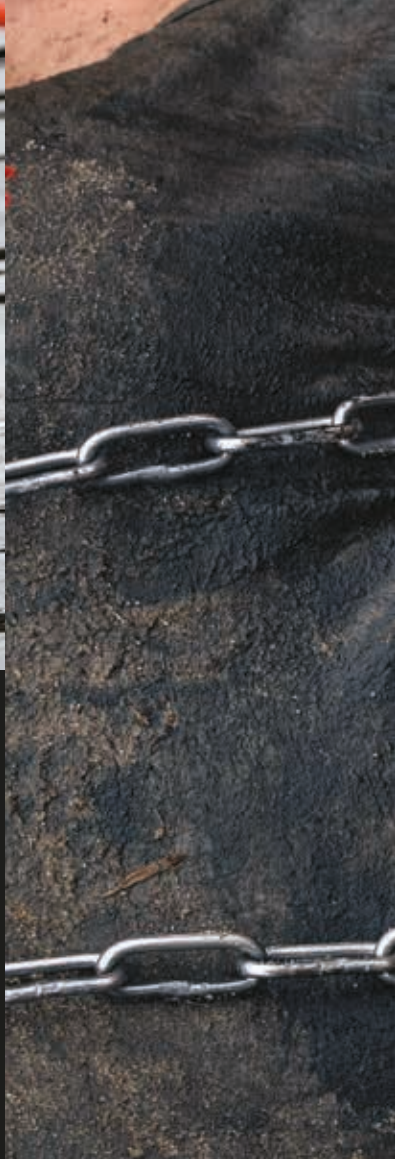
WOLA WALKI

Każdy, kto kiedykolwiek przedzierał się przez bagna Kokotka, zdaje sobie sprawę z tego, że nawet niewielkie zmiany na trasie znacząco wpływają na wytrzymałość zawodników. Widać to nie tylko na ich twarzach, lecz także w osiągniętych końcowych czasach. Największemu wyzwaniu muszą podo-

łać uczestnicy pierwszego startu, przedzierający się przez dziką trasę, która z czasem ulega pod naporem setek par butów. Z tego względu organizatorzy zrezygnowali z prowadzenia ogólnej klasyfikacji na rzecz kilku równoległych rankingów.

„W poprzednich latach zdarzały się osoby, które łamały czas dwóch godzin. W tym roku ukończenie biegu zajęło im średnio pół godziny dłużej. Są jednak od tego fenomenalne odstępstwa. Pierwszym z nich jest zwycięzca biegu z godziny dziesiątej, Niemiec Andreas Kolb, który pół godziny po przebiegnięciu mety stawiał się na starcie po raz kolejny, tym razem ze swoją drużyną. Pokazuje to klasę i siłę zawodnika. Naszą uwagę zwrócili również zwycięzcy biegów dla VIP-ów, którzy mocno wysforowali się przed konkurencją i ostatecznie pobili ją o dwie długości”, mówi Zbigniew Rosiński. Ma na myśli mjr. Bogusława Mazurka z Inspektoratu Systemów Informacyjnych oraz dziennikarza Radosława Fijałkowskiego, którzy prywatnie są miłośnikami biegów przełajowych i ultramaratonów. Ich końcowy rezultat, wynoszący dokładnie dwie godziny dziewięć minut i dwadzieścia jeden sekund zadziwił nawet najbardziej wytrawnych biegaczy.

Mimo ponadprzeciętnego przygotowania obaj biegacze przekraczali linię mety sponiewierani i cali wymazani błotem. Na pierwszy rzut oka różni tych mężczyzn wszystko – budowa ciała, wzrost, sposób poruszania się, ale w ich spojrzeniach widać taką samą determinację, świadomość, że są w stanie pokonać każdą przeszkodę na trasie. I tę walkę wygrać. ■



MICHAŁ ZIELIŃSKI (5)



135

**NA PIERWSZY RZUT OKA RÓŻNI
TYCH MEŃCZYŹN WSZYSTKO –
BUDOWA CIAŁA, WZROST, SPO-
SÓB PORUSZANIA SIĘ, ALE**



Według Mariana Adamusa z Bytomia nigdy nie jest za późno, by stawić czoła „Katorżnikowi”.





EWA KORSAK

Z czułością do czołgów

Ponad dwa tysiące metrów kwadratowych powierzchni – warsztat konserwatorski Muzeum Wojska Polskiego to miejsce, w którym zabytkowym wojskowym pojazdom dawane jest drugie życie.

Ogromna hala warsztatu, gdzie od września 2016 roku są remontowane wielkogabarytowe eksponaty należące do Muzeum Wojska Polskiego, mieści się na terenie warszawskiej Cytadeli. Przywraca się tu dawną świetność zabytkowym obiektom zgromadzonym w Muzeum Polskiej Techniki Wojskowej – Oddziale Muzeum Wojska Polskiego. Dziś w warsztacie działają pracownicy i wolontariusze placówki, ale do niedawna robiono tu przeglądy i naprawy należących do wojska samochodów osobowych i ciężarowych. „Wykonywano pełne obsługa, przeglądy, konserwacje i naprawy. Prawdziwy full service”, mówi Mirosław Zientarzewski, kierownik Muzeum Polskiej Techniki Wojskowej – Oddziału Muzeum WP. Dzięki temu warsztat jest już podzielony na

pomieszczenia do napraw elektroniki, blacharnię czy wulkanizację.

Pamiętek po poprzednich „lokatorach” nie brakuje. Na ścianach wiszą, pochodzące z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, plansze z przekrojami silników samochodowych i plakaty przypominające o przepisach bhp, które zresztą, jak mówią pracownicy muzeum, mimo upływu lat są aktualne. Po minionych czasach zostały też wielkie imadła, wiertarki, prasy, stoły warsztatowe, podnośniki, ale i trochę specjalistycznego sprzętu. Pewnie, że nie jest najnowszej generacji, jednak nadal działa i służy osobom, które eksponatom muzeum nadają nowe życie.

„Zawsze marzyliśmy o takim miejscu”, przyznaje Zientarzewski. I dodaje, że marzenia udało się spełnić



ARCH. MUZEUM POLSKIEJ TECHNIKI WOJSKOWEJ



Najbardziej spektakularnym przedsięwzięciem remontowym była rewitalizacja czołgu Renault FT, który do Polski został przywieziony z Afganistanu w 2012 roku.

dzięki zrozumieniu, które okazało środowisko wojskowe. „Dowództwo Garnizonu Warszawa poprzez Oddział Zabezpieczenia użyczyło nam całego wyposażenia warsztatu, a Stołeczny Zarząd Infrastruktury – budynku. Muzeum po raz pierwszy od swojego powołania doczekało się miejsca, gdzie można konserwować ciężki sprzęt”, wyjaśnia kierownik placówki.

ELEKTROKORUNDEM W RDZĘ

Przed przejściem warsztatu na Cytadeli muzealnicy oraz wolontariusze konserwowali i naprawiali wojskowy sprzęt historyczny na powietrzu – w siedzibie Muzeum Polskiej Techniki Wojskowej. To było nie tylko niekomfortowe, lecz także ograniczało prace czasowo – trudno konserwować czołgi w deszczu, śniegu czy w minusowej temperaturze, a zdarzało się im to robić właśnie w takich warunkach. W warsztacie praca jest wygodniejsza, szybsza i daje lepsze efekty. Dziś remontowane są tu cztery eksponaty: samobieżne działo przeciwlotnicze Sd.Kfz. 7/2 porzucone w styczniu 1945 roku przez wycofujące się wojska niemieckie; autotopograf TMG-2 na podwoziu samochodu terenowego Gaz-69, czyli archaiczna nawigacja, która, jak tłumaczy Mirosław Zientarzewski, ma jednak pewną zaletę – jeśli ktoś wyłączy kiedyś satelity, to autotopograf nadal będzie działał, podczas gdy mapy google już niekoniecznie; silnik lotniczy RD-500 – jednostka napędowa pierwszego samolotu odrzutowego używanego przez polskie lotnictwo, czyli Jak-23; a także moździerz okopowy Böhler M 15 kalibru 22,5 cm. „Jak widać, zajmujemy się wszystkim, co później można zobaczyć na wystawach plenerowych. Wszechstronne zabezpieczenie prac konserwatorskich było myślą przewodnią w chwili przejmowania warsztatu”, wyjaśnia Zientarzewski.

Po warsztacie jego kierownik oprowadza niemal jak po muzeum. Opowiada o każdym pomieszczeniu, wyjaśnia, do czego służą

W WARSZTACIE PRACA JEST WYGODNIEJSZA, SZYBSZA I DAJE LEP-SZE EFEKTY

urządzenia, z pasją mówi o pracach, które już zostały tu wykonane. Każdy etap remontu czy konserwacji odbywa się w innym miejscu warsztatu. W pomieszczeniu, gdzie kiedyś była lakiernia, znajduje się komora do czyszczenia strumieniowo-ściernego o obiegu zamkniętym. Czyści ona skorodowane części i elementy eksponatów, które potem można malować bez obawy, że

pod farbą pozostaną resztki rdzy czy ogniska korozji. Jak działa to urządzenie? Powierzchnia umieszczonego w komorze elementu pokrytego rdzą, starymi powłokami malarskimi i zanieczyszczeniami jest „bombardowana” wyrzucanymi z dużą prędkością drobkami elektrokorundu lub innego ścierniwa, które usuwa korozję i zanieczyszczenia. Zostaje wyłącznie czysty metal. Taki typ obróbki znakomicie przygotowuje elementy do malowania i, co ważne, bo mamy do czynienia z muzealiami, tylko w minimalnym stopniu uszkadza czyszczone części.

Komora jest bardzo dokładna, a to istotne w pracy muzealników. Chodzi o to, by praca została wykonana raz a dobrze, aby dany obiekt nie wymagał jej ponowienia za kilka lat. „Nasza komora czyści niewielkie przedmioty, czołg czy kadłub samolotu tam nie wejdzie. Ale i tak jest bardzo przydatna, bo każdy obiekt składa się z wielu mniejszych detali, które możemy w niej spokojnie oczyścić. Dzięki temu zabiegi konserwatorskie trwają znacznie krócej. Ręczna praca zabrałaby nam o wiele więcej czasu i nie przyniosłaby oczekiwanych efektów”, przyznaje Mirosław Zientarzewski. Z dumą dodaje, że muzeum kupiło maszynę za pieniądze, które zarobiło, organizując m.in. imprezy urodzinowe dla dzieci. „Łączymy przyjemne z pożytecznym, bo dzieciaki nie tylko się bawią, ale też poznają naszą historię, a to ważny element muzealnej misji”.

NAJWYŻSZY CZAS NA ZMIANĘ OPON

Kolejne pomieszczenie to warsztat wulkanizacyjny. „W Muzeum Wojska Polskiego, ➔

którego jesteśmy oddziałem, znajduje się bardzo dużo pojazdów kołowych”, mówi Zientarzewski. „Chcielibyśmy przywrócić im wszystkim świetność, m.in. poprzez naprawę ogumienia”.

Czy to aż takie ważne, żeby zawracać sobie tym głowę, przenosić pojazdy, wykonać dużo ciężkiej pracy? „Takich szczegółów nie bierze się pod uwagę, ale proszę pomyśleć, czy da się np. sprawnie przebudować ekspozycję składającą się z pojazdów, których nie można przetoczyć, bo nie mają napompowanych kół”, argumentuje kierownik. Jak wygląda taki przegląd kół? Muzealnicy najpierw zdejmują z pojazdów i przyczep części nieruszane od kilku dziesięcioleci koła, rozkręcają obręcze (te stosowane w pojazdach ciężarowych są dzielone). Następnie wyciągają i sprawdzają stan dętki, a gdy zachodzi potrzeba, naprawiają ją lub zastępują nową. Wszystkie metalowe elementy trafiają do komory strumieniowo-ściernej i są dokładnie czyszczone, a potem malowane. „Po tych zabiegach koło wygląda, jakby wczoraj wyszło z fabryki”, śmieje się Zientarzewski.

Sercem wulkanizatorni jest urządzenie do demontażu kół. Maszyna w sposób nieoceniony pomaga w naprawach ogumienia. „Czasami jest tak, że koła są na pojazdach 25 lat”, wyjaśnia Zientarzewski. „Nie były zabezpieczane przed deszczem, więc są skorodowane, a opona przywiera do rantów felg. Dzięki temu urządzeniu można rozłączyć te elementy i spokojnie przygotować je do konserwacji. W innym wypadku trzeba by kilkunastu silnych osób, które wielkim młotem waliłyby w oponę, aż oderwałyby się od felgi”.

Na koniec jeszcze warsztat elektryczny. Tu nie wiadać efektownych maszyn, ale prowadzone w tym miejscu prace są skomplikowane i ważne, ponieważ muzealnikom udaje się uruchomić takie perełki jak wspomniany wcześniej autotopograf. „To taka nawigacja z przeszłości. Pojazd z autotopografem jeździł po określonym terenie i dzięki urządzeniom połączonym z jego kołami określał położenie i nanosił je na mapę”, wyjaśnia kierownik muzeum. Te czujniki, przewody i kable są sprawdzane właśnie tutaj. Być może jest to jedyne takie zachowane urządzenie w kraju, dlatego podchodzi się do niego z wielką ostrożnością.

POTRZEBNA JEST PASJA

Warsztat działa niecały rok, ale jeszcze nie wyjechał z niego naprawiony sprzęt. Dlaczego? Po pierwsze, prace nad eksponatami to nie są zwykłe naprawy. Muzealnicy mają do czynienia z zabytkami, więc z wielką uwagą, a nawet, jak sami mówią, czułością traktując każdą śrubkę. Wiele czynności wymaga też dużej wiedzy o budowie historycznego pojazdu. Czasami naj-



CO ZOBACZYMY W MUZEUM

MUZEUM POLSKIEJ TECHNIKI WOJSKOWEJ JEST ODDZIAŁEM MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO. MIEŚCI SIĘ PRZY ULICY POWSIŃSKIEJ 13 W WARSZAWIE.

Jest zlokalizowane w zabytkowym, dziewiętnastowiecznym forcie, stanowiącym element zewnętrznego pierścienia umocnień Twierdzy Warszawa. Fort IX im. Jana Henryka Dąbrowskiego został zbudowany w 1883 roku pod kierunkiem płk. Verdenera. W 1939 roku na tym terenie i otaczającym go osiedla bronili się żołnierze II Batalionu 360 Pułku Piechoty, którym dowodził kpt. Konstanty Zbijewski, oraz ochotnicy z II Batalionu Obrony Warszawy, Batalionu „Ordon” i I Batalionu Robotniczego Obrony Warszawy. W 1944 roku fort

zbombardowało Luftwaffe. W 1992 roku decyzją szefa Sztabu Generalnego WP teren Fortu IX został przydzielony Muzeum Wojska Polskiego na potrzeby magazynowo-ekspozycyjne. Wówczas rozpoczęto gromadzenie ciężkiego sprzętu wojskowego wycofywanego z uzbrojenia Wojska Polskiego i tworzenie ekspozycji. W ten sposób powołano do życia Muzeum Polskiej Techniki Wojskowej. Na Powiśkiej znajduje się największa w Polsce kolekcja ciężkiego, wojskowego sprzętu. Na wystawach plenerowych zaprezentowano broń

pierw trzeba się czegoś dowiedzieć, żeby pójść krok dalej z remontem. A to zwykle musi trochę potrwać. Po drugie, w muzeum wciąż brakuje ludzi, którzy pomogliby w konserwacjach eksponatów lub ich remontach, wykwalifikowanych fachowców, pasjonatów, ale też po prostu wolontariuszy, mogących poświęcić swój wolny czas. „Jeśli ktoś chciałby popracować w naszym warsztacie i poznać od podszewki muzealne eksponaty, zapraszamy do grupy wolontariuszy”, zachęca Mirosław Zientarzewski.



ARCH. MUZEUM POLSKIEJ TECHNIKI WOJSKOWEJ

Prace nad eksponatami to nie są zwykłe naprawy. Muzealnicy mają do czynienia z zabytkami, więc z wielką uwagą, a nawet, jak sami mówią, czułością traktują każdą śrubkę. Wiele czynności wymaga też dużej wiedzy o budowie historycznego pojazdu.

pancerną, w której skład wchodzi czołgi oraz pojazdy opancerzone, artylerii klasycznej i raketowej, lotnictwa, sprzętu radiolokacyjnego i walki radioelektronicznej. Wiele eksponatów to unikat, np. czołg Renault FT, tankietki TK-3 i TK-S, łódzie saperskie z 1939 roku, armata Bofors kalibru 105 mm z okrętu podwodnego ORP „Sęp”, kolekcja czołgów i dział samobieżnych czy artylerii fortecznej. Zbiory muzeum tworzy ponad 200 wielkogabarytowych obiektów i setki mniejszych, które ukazują rozwój techniki wojskowej w XX wieku przez pryzmat

sprzętu używanego w Wojsku Polskim. Ponadto ważną część kolekcji stanowią muzealia przedstawiające historię techniki wojskowej państw obcych. Między innymi można zobaczyć największy w kraju zbiór niemieckiego sprzętu wojskowego z okresu II wojny światowej czy amerykańskie działo samobieżne M-107 pochodzące z konfliktu wietnamskiego. ■



Wolontariat w Muzeum Polskiej Techniki Wojskowej ma długą tradycję. „Jestem kierownikiem instytucji od 2007 roku i od zawsze ktoś do nas przychodził, pomagał, pracował przy różnych projektach”, mówi Zientarzewski. Początkowo chodziło o pomoc przy okazji większych wydarzeń, takich jak Święto Wojska Polskiego, Święto Niepodległości czy Noc Muzeów. Ale ponieważ wśród wolontariuszy są również ludzie z olbrzymią wiedzą na temat wojskowego sprzętu historycznego, zaczęli

brać udział w pracach konserwatorskich. Najbardziej spektakularnym przedsięwzięciem remontowym z ich udziałem była rewitalizacja czołgu Renault FT, który do Polski został przywieziony z Afganistanu w 2012 roku. „Ciekawy eksponat muzealny trafia się raz na dziesięć lat. I to właśnie była ta perełka”, wspomina Zientarzewski.

Na trop zabytkowego czołgu, który w dwudziestolecie międzywojennym służył w polskiej armii, a wichry historii zagnały go do Afganistanu, trafili Amerykanie. Znaleźli oni w Kabulu trzy maszyny tego typu. Wóz został sprowadzony do Polski i trzeba było się nim zająć. To zadanie powierzono właśnie Muzeum Polskiej Techniki Wojskowej. „Wkład wolontariuszy, którzy nam wówczas pomogli, był ogromny”, opowiada kierownik muzeum. „Jeden z nich zrobił dokumentację 3D, inny weryfikował dokumenty, które sporządziłem, nie mówiąc już o tym, ile osób było zaangażowanych w czyszczenie i remontowanie tego zabytku”.

Tomek, jeden z wolontariuszy, wspomina tę pracę jako niezwykle ekscytującą. „Zbadaliśmy w tym czołgu dosłownie wszystko, coraz to natrafiając na różne niespodzianki i sprawy, które trzeba było wyjaśnić. Zaczynając od gąsienic, które były zbyt lekkie, przez napis »Mars« na jego kadłubie, aż po haki, które znajdowały się w dziwnych miejscach. Każdą z tych zagadek rozwiązaliśmy i chętnie o nich opowiadamy odwiedzającym”, mówi Tomek, który jest informatykiem. To właśnie on skupił wokół siebie grupę około 20 osób, które poświęcają swój wolny czas, by „babrać się w smarze”. „Nie wymagamy od wolontariuszy wiedzy na tematy wojskowych pojazdów, wymagamy otwartości, dociekliwości i chęci. Wiedza i umiejętności przyjdą z czasem”, zachęca Tomek.

Ci, którzy chcieliby spróbować, mogą skontaktować się z nim lub innymi wolontariuszami na fanpage’u „wolontariat muzeum polskiej techniki wojskowej” albo po prostu przyjść do muzeum i zapytać o wolontariat. „Jeszcze tego samego dnia na pewno znajdziemy ci robotę. Pewnie wyjdiesz stąd cały w smarze i kurzu, ale szczęśliwy”, zachęca wolontariusze. Przy okazji pokazują zdjęcie, które zrobili po zakończeniu pracy przy czołgu Renault. Rzeczywiście trudno lepiej zilustrować radość. ■

PIOTR RASZEWSKI

Ocalają od zapomnienia

**Entuzjaści historii z Grupy
Rekonstrukcji Historycznej „Wir”
chcą odtworzyć w Puszczy Solskiej
szlak partyzancki.**

Puszcza Sol ska, kompleks leśny rozciągający się od Janowa Lubelskiego po Józefów Roztoczański, w czasie II wojny światowej dla wielu żołnierzy była domem. To tu schronienie znajdowały oddziały Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich, Armii Ludowej czy sowieckiej partyzantki. Stąd organizowano akcje wypadowe, ataki na niemieckie posterunki, więzienia i transporty kolejowe. „Kulminacja działań partyzanckich na tym terenie przypada na pierwszą połowę 1944 roku. Wtedy w Puszczy Solskiej przebywało najwięcej partyzantów, przeprowadzano najwięcej akcji zbrojnych i dywersyjnych, a Niemcy bali się wchodzić do lasu i podjąć z nimi walkę”, wyjaśnia Dominik Róg, pracownik Gminnego Ośrodka Kultury w Biłgoraju, autor książki „Zabrali nam dzieciństwo” o losach mieszkańców Zamojszczyzny w czasie II wojny światowej.

RZECZPOSPOLITA JÓZEFOWSKA

Miejscowa ludność stawiała opór Niemcom już od września 1939 roku, choć partyzancka siła zaczęła gwałtownie wzrastać od 1942 roku w odpowiedzi na tzw. wysiedlenia Zamojszczyzny, przeprowadzane przez Niemców w ramach „Generalnego planu wschodniego”. W powiatach biłgorajskim, zamojskim, hrubieszowskim i tomaszowskim w miejscach zamieszkiwanych przez Polaków zamierzano osiedlić osoby narodowości niemieckiej i folksdojców. Wielu rodaków chciało wyprzedzić te działania i zdecydowało się opuścić domy.

„Za sprawą wysiedleń, które wypchnęły do lasu ogromną grupę młodych ludzi, ruch partyzancki osiągnął na Zamojszczyźnie niezwykle wymiar”, podkreśla Adam Sikorski, historyk i dziennikarz telewizyjny. „Oni nie chcieli dać się wywieźć. Odkopywali zatem wrześniową broń i tworzyli oddziały. Była tam spora grupa wybitnych



dowódców, bojowych, a zarazem niezwykle etycznych, takich jak Konrad Bartoszewski »Wir« czy Tadeusz Kuncewicz »Podkowa«. To był teren, gdzie pokonano powszechny w czasie wojny bandytyzm, gdzie dowódcy leśni przejęli rolę polskiego prawa i karzącej dłoni wobec tych, którzy tego prawa nie przestrzegali”, dodaje twórca audycji „Było, nie minęło – kronika zwiadowców historii”.

Na przełomie lat 1942 i 1943 liczące już kilka tysięcy oddziały partyzanckie rozpoczęły serię akcji odwetowych, nazwanych przez Niemców powstaniem zamojskim. Partyzanci pacyfikowali skolonizowane wsie, atakowali transporty kolejowe, toczyli bitwy z regularnymi oddziałami niemieckimi. Teren został nazwany Rzeczpospolitą Józefowską, a Niemcy uważali, że Zamojszczyzna to krajowe centrum bandytyzmu. Mimo skutecznego oporu okupanci nie zrewidowali jednak swoich planów i m.in. wraz z Ukraińską Armią Powstańczą przeprowadzili następne zmasowane ataki na miejscową ludność, skutecznie usuwając Polaków z wyznaczonej strefy.

W czerwcu 1944 roku podjęli próbę rozprawienia się ze stacjonującymi w Lasach Janowskich i Puszczy Solskiej partyzantami – zorganizowali akcje „Sturmwind I” i „Sturmwind II”. Ta druga zakończyła się klęską polskiej partyzantki. Otoczeni znacznie liczniejszymi i doskonałe



W 1943 roku „Wir” w okolicy Trzępietnika założył obóz. Działał przy nim Kurs Młodszych Dowódców Piechoty Obwodu Biłgorajskiego AK, gdzie szkolono młodych partyzantów

wyposażonymi oddziałami niemieckimi Polacy zostali zepchnięci na bagna i rozbici przez siły niemieckie. „Podobne operacje były powtarzane w miarę przesuwania się frontu. Żadna regularna armia nie mogła sobie bowiem pozwolić na silnie rozwinięty ruch oporu na swoich tyłach. Niemcy zdawali sobie sprawę, co może zdziałać tak doskonale zorganizowana i silna partyzantka”, wyjaśnia Adam Sikorski, który w swoich programach dokumentował losy całego tamtejszego ruchu partyzanckiego.

Leśne oddziały stacjonujące w Puszczy Solskiej mogły uchodzić za przykład doskonałej organizacji. Pod osłoną drzew budowano schrony, dbano o dostęp do wody pitnej, a poszczególne partyzanckie obozy łączyła nawet sieć telefoniczna. Niedawno odbudowy niezwyklej wojennej infrastruktury oraz wytyczenia szlaku partyzanckiego podjęli się miejscowi pasjonaci historii. Jak podkreślają, wszystko zaczęło się za sprawą telewizyjnego programu „Było, nie minęło – kronika zwiadowców historii”. „Zawsze marzyłem, by zostawić po nas jakiś ślad. Od dawna organizowaliśmy inscenizacje historyczne czy wystawy, ale chcieliśmy zrobić coś, co po nas pozostanie”, mówi Andrzej Sokal, przewodniczący Grupy Rekonstrukcji Historycznej „Wir”, działającej w Biłgoraju. „W jednym z odcinków »Było, nie minęło...« Adam Sikorski przed-

stawiał historię ziemianki por. Konrada Bartoszewskiego i działającego tu Kursu Młodszych Dowódców Piechoty Obwodu AK Biłgoraj. Wtedy pojawił się pomysł, by odbudować ten obiekt”, dodaje Sokal.

ODBUDOWA PAMIĘCI

Hobbyści szybko przekuli pomysły w czyny. W miejscu, gdzie stał zniszczony w 1944 roku przez Niemców schron por. Konrada Bartoszewskiego, dowódcy Rejonu Józefów AK i autora planu bitwy pod Osuchami, niezwłocznie rozpoczęli prace ziemne. „Już na początku dokopaliśmy się do ścian i belek. Planowaliśmy odbudować mniejszą ziemiankę, ale jak znaleźliśmy oryginalne belki, to postanowiliśmy zrobić ją w pierwotnym rozmiarze”, przyznaje Marek Łaba, sekretarz GRH „Wir”.

Kilka tygodni później pierwsi turyści mogli już oglądać odbudowaną ziemiankę. Pomieszczenie zostało dokładnie odwzorowane, w środku pojawiły się ławy, stoły i prycze do spania. Jest też instalacja umożliwiająca ogrzewanie pomieszczenia. Początkowo rekonstruktorzy chcieli postawić w drzwiach kratę, by obiekt można było oglądać tylko z zewnątrz. Ostatecznie budynek pozostał otwarty. „Obawialiśmy się, że nasza praca pójdzie na marne. Zupełnie niepotrzebnie, bo okazuje się, że ludzie, którzy przychodzą obejrzeć to miejsce, niczego nie niszczą”, przyznaje Andrzej Sokal. „Zresztą byliśmy bardzo zaskoczeni, że schron cieszy się taką popularnością. W weekendy przychodzi bardzo dużo ludzi, a za każdym razem, gdy tu przyjeżdżam, zawsze kogoś spotykam”.

Rekonstruktorzy poszli za ciosem. Na początku roku zaczęli przeglądać materiały dokumentujące kolejny niezwykle obiekt – Szpital Leśny 665. Legendarna partyzancka placówka medyczna, położona około 1,5 km od schronu „Wira”, działała niecały miesiąc – na przełomie maja i czerwca 1944 roku. Mieściła się w baraku, który grupa partyzantów wykradła Niemcom ze stacji kolejowej Długi Kąt. W środku przygotowano m.in. sale chorych z kilkunastoma łózkami, operacyjną i pokój lekarski. Kamuflaż zapewniała rozłożysta jodła, której pień przechodził przez środek największego pomieszczenia. Niemal dwudziestoosobowy personel, pracujący pod kierownictwem ppor. Lucjana Kopcia „Radwana”, leczył nie tylko partyzantów, lecz także okolicznych mieszkańców. „Szpital służył też miejscowej ludności. Lekarze wyciągali pomocną dłoń do wszystkich, nawet tych, którzy nie sympatyzowali z Armią Krajową”, wyjaśnia Adam Sikorski.

Początkowo biłgorajscy pasjonaci planowali odtworzyć tylko ścianę szczytową, która miała imitować budynek. ➔

PIOTR RASZEWSKI (3)



SCHRON KONRADA „WIRA” BARTOSZEWSKIEGO ODTWORZONY PRZESZ PASJONATÓW Z GRUPY RE- KONSTRUK- CJI HISTO- RYCZNEJ



Nieskomplikowany plan z czasem przerodził się w dużo większą inwestycję. Przednia fasada szpitala została wsparta przez ściany boczne, a całość zamknięta dachem. Zebrane od sponsorów pieniądze, podobnie jak przy odbudowie schronu, okazały się niewystarczające. Rekonstruktorzy pokryli większą część kosztów z własnych środków, ale ze wsparciem miejscowej ludności i przedsiębiorców. „Drzewo kupiliśmy w tartaku po preferencyjnej cenie, a papę na pokrycie dachu dostaliśmy za darmo. Dużo osób pomogło nam nieodpłatnie, tak jak właściciel działki, który pozwolił wybudować tę konstrukcję na swojej ziemi”, podkreśla przewodniczący GRH „Wir”.

Obiekt został wiernie odwzorowany i umieszczony dokładnie tam, gdzie stał Szpital Leśny 665. „Mieliliśmy ten komfort, że dzięki Edwardowi Buczkowi, fotografowi Biłgorajskiego Obwodu AK, zachowała się obszerna dokumentacja zdjęciowa budynku. Na jej podstawie wyznaczyliśmy dokładne miejsce i mogliśmy zadbać o wszelkie detale”, zaznacza Marek Łaba. Nieopodal szpitala pasjonaci odkopali i zabezpieczyli studnię, z której personel medyczny czerpał wodę, a tuż przy drewnianym frontonie budynku stanęły tablice informacyjne, dokumentujące zarówno działalność Szpitala Leśnego, jak i jego odbudowę.

SZLAKIEM PARTYZANTÓW

Po odbudowie niezwyklego obiektu rekonstruktorzy nie spoczęli na laurach. Niebawem zamierzają wytyczyć pełny szlak walk partyzanckich na terenie Puszczy Solskiej. „Jest tu już co prawda podobny szlak, ale nie do końca pokrywa się on z tym, co w rzeczywistości wydarzyło się na tym terenie. Dlatego chcemy wyznaczyć nowy, tak by prowadził przez wszystkie istotne historyczne miejsca. Niedaleko, pod Zwierzyniec, jest przecież stacja Białe

Słup, skąd partyzanci wyprawiali się na akcje dywersyjne. Miejsce niezwykle ważne, a nie ma tam żadnej informacji o jego historii”, wyjaśnia Marek Łaba. „Najpilniejszym zadaniem, które przed sobą postawiliśmy, jest jednak odbudowanie spalonej w czasie wojny gajówki Za Oknem”, zdradza sekretarz biłgorajskiego stowarzyszenia.

Pasjonaci chcą też upamiętnić obozy oddziału por. Adama Haniewicza „Woyny” nad Studczkiem, plut. Józefa Mazura „Skrzypika” czy por. Józefa Steglińskiego „Corda”. Planują również wytyczyć faktyczną trasę przemarszu zgrupowania Edwarda Markiewicza „Kaliny” z ziemianki „Wira” do miejsca bitwy pod Osuchami oraz odtworzyć tzw. bandziorską drogę, którą partyzanci chodzili z głębi Puszczy Solskiej do Biłgoraja. „Na razie spotkaliśmy się tylko z jednym negatywnym komentarzem. Ktoś żałował, że było to urokliwe i spokojne miejsce, a teraz pojawi się tu więcej ludzi”, dodaje z uśmiechem Marek Łaba, sekretarz GRH „Wir”. „Uspokajam jednak, że miejsce jest dalej urokliwe, a ludzi aż tak wielu nie ma, bo to w końcu środek lasu. Nas cieszy jednak przede wszystkim to, że na nowo możemy odkryć te tereny dla innych pasjonatów historii i turystów”, podkreśla Marek Łaba.

Z kolei Adam Sikorski przyznaje, że „Puszcza Solka jest nasycona historią wspaniałych ludzi. Gdyby nie przywołać pewnych twardych znaków, takich jak zrekonstruowany fronton szpitala czy schron komendanta Konrada Bartoszewskiego „Wira”, to właściwie nie byłoby o czym opowiadać”, zaznacza dziennikarz. „Słowa mają to do siebie, że »wiedną«, znikają, a z nimi przepada legenda. Takie historie muszą mieć więc materialne oparcie. Stąd też próba budowy tego w pewnym sensie skansenu historycznego i moje pełne poparcie dla biłgorajskich pasjonatów historii”, kończy historyk i dziennikarz telewizyjny. ■



III Forum Bezpieczeństwa Morskiego Państwa

**25 stycznia 2018
Warszawa**

**szczegółowe informacje:
www.fbm.ztw.pl**





**GRUPOWA
WALKA TRWA
DO POWALENIA
NA ZIEMIĘ
OSTATNIEGO
PRZECIWNIKA**

ANNA DĄBROWSKA

RYCERSKA KADRA

Walki rycerskie to połączenie historii
ze współczesną rywalizacją sportową.



MICHAŁ NIWICZ

Można się tutaj dobrze bawić i walczyć na miecze, a ja w przyszłości chcę zostać zawodowym rycerzem”, mówi kilkuletni Robert Deptuła, trenujący w Centrum Dawnych Sztuk Walki w Warszawie. Na sali kończy się właśnie rozgrzewka grupy młodych adeptów walk rycerskich. Po biegach, skokach, kopnięciach przyszedł czas na ćwiczenie uderzenia mieczem i tarczą, wyprowadzanie ciosów oraz grupowe starcie z instruktorem.

„Współczesnych rycerzy kojarzymy najczęściej z inscenizacjami dawnych bitew, jednak od kilku lat średniowieczne walki rycerskie to już nie tylko hobby, lecz także międzynarodowa dyscyplina sportowa, która wyrosła z historycznych rekonstrukcji”, tłumaczy Robert Szatecki, trener i założyciel CDSW, pierwszej w Polsce profesjonalnej szkoły sportowych walk rycerskich.

Robert przygodę z rycerstwem rozpoczął 15 lat temu od rekonstrukcji. „W gimnazjum interesowałem się fantastyką, ale w przeciwieństwie do kolegów, zamiast tylko czytać książki czy grać w gry fantasy, postanowiłem nauczyć się prawdziwej walki na miecze”, opowiada. Jednocześnie trenował boks, potem karate. „Ciągnęło mnie do walki i możliwości sprawdzenia się”. Jak tłumaczy, w czasie rekonstrukcji bitew starcia są inscenizowane, jemu zaś marzyły się walki na serio, kiedy uderzasz z całej siły i starasz się powalić przeciwnika.

Takie są właśnie sportowe walki rycerskie. Jak dodaje Robert, od ośmiu lat rozgrywane są zawody międzynarodowe i mistrzostwa świata w tej dyscyplinie – na potrzeby zmagania opracowano zasady starć w zbrojach historycznych. Nasz kraj ma też swoją reprezentację – Rycerską Kadrę Polski, wybieraną na podstawie wyników rozgrywanych jesienią i zimą turniejów Polskiej Ligi Walk Rycerskich. Bierze w nich udział około 200 rycerzy z całego kraju.

Rycerski sport jest popularny na całym świecie, m.in. w Stanach Zjednoczonych, Rosji, na Ukrainie, w Japonii, Niemczech, we Francji, w Australii czy Argentynie. Powstały nawet dwie federacje rycerskie: wschodnia – Association of Historical Reenactors of the Middle Ages (AHRMA) oraz zachodnia, w której nie ma Rosji – International Medieval Combat Federation (IMCF). Polacy w obu znajdują się w światowej czołówce. W zeszłym roku w mistrzostwach świata AHRMA zajęliśmy trzecie miejsce za Rosją i Ukrainą, a w IMCF – drugie, pierwsza była Ukraina.

„Obecne walki to połączenie sportowej rywalizacji ze średniowieczną oprawą i ekwipunkiem”, mówi Michał Deptuła, trenujący w CDSW. Zbroje i broń muszą być odzwierciedleniem tych przedstawionych w źródłach historycznych; są wzorowane na okresie od XIII do XVI ➔

wieku. Jedyne odstępstwa wynikają z regulaminów. Na przykład noszenie kolczugi pod płytowym opancerzeniem jest zbędne. Współcześni rycerze wkładają też pod zbroje dodatkowe osłony, np. suspensory, czyli ochraniające na krocze czy też na zęby.

„Wkładamy niepełne zbroje bez kirysu, czyli elementu ochraniającego korpus, zamiast tego mamy brygantynę, rodzaj skórzanej kurtki z przynitowanymi od wewnątrz płytkami metalowymi. Zapewnia ona dobry poziom mobilności i bezpieczeństwa”, wyjaśnia Robert. Jak podkreśla, choć zbroja wygląda na niewygodną, tak naprawdę można się w niej swobodnie poruszać. Mitem jest też jej ciężar, który miał powodować, że opancerzony rycerz po upadku nie był w stanie samodzielnie się podnieść. „Dobra zbroja ważyła około 25–35 kg, czyli mniej niż noszą na sobie współcześni żołnierze”, zauważa trener.

MARZENIA O ZBROI

Do sportowej walki używana jest niemal każda broń znana sprzed wieków. Swoimi gabarytami i wagą musi odpowiadać średniowiecznym pierwowzorom, jest jednak tępą, nie można też używać sztychów, które mogłyby trafić w miejsce nieosłonięte pancerzem i zranić zawodnika. „Walcymy m.in. na miecze jedno- i dwuręczne, tasaki, topory, buzdygany, giewie z grotom o kształcie szerokiego jednosiecznego noża osadzonego na drzewcu, halabardy”, wyliczają rycerze.

Takie wyposażenie nie należy do tanich. Nowa zbroja i broń wykonane przez wyspecjalizowanych rzemieślników to wydatek rzędu 8 tys. zł. Z takim wyposażeniem można już jednak jechać na mistrzostwa świata. „Zawodnicy są coraz bardziej profesjonalni, biją coraz mocniej, dlatego nie należy oszczędzać na ochronie”, podkreśla Michał. Sam kompletował wyposażenie ponad dwa lata, zanim mógł wystartować w lidze.

O zbroi marzą teraz młodzi adepci rycerstwa. „Walka w niej na prawdziwe miecze to dopiero frajda”, uważa 15-letnia Asia. Niestety, na razie musi poczekać, ponieważ ciężkiego opancerzenia obciążającego kręgosłup nie mogą nosić osoby, które jeszcze rosną. „Ale to dobrze – i tak muszę na nią uezierać pieniądze”, stwierdza.

Znacznie dłużej będzie czekać 9-letni Krystian Kajkowski. „Najbardziej z całego treningu podobają mi się walki, chciałbym mieć już zbroję i bić się naprawdę, to najfajniejszy sport z tych, które uprawiałem”, mówi chłopak. „Marzy o zbroi i ma obiecanie, że dostanie ją w prezencie, kiedy tylko do niej dorośnie”, stwierdza jego mama.

Na razie dzieci i młodzież ćwiczą w CDSW z bronią sportową, czyli mieczami z tworzyw sztucznych obłożonymi otuliną oraz z miękkimi kaskami i tarczami. „My zresz-



Do walki wkładają niepełne zbroje bez kirysu, czyli elementu ochraniającego korpus, zamiast tego jest brygantyna, rodzaj skórzanej kurtki z przynitowanymi od wewnątrz płytkami metalowymi. Zapewnia ona dobry poziom mobilności i bezpieczeństwa.

tą też na co dzień, aby oszczędzać kręgosłup, ćwiczymy bez zbroi, wkładamy ją na treningi dwa, trzy razy w miesiącu”, mówi Michał Deptuł.

Sportowe walki rycerskie toczony są w dwóch formach: jako pojedynki jeden na jeden oraz starcia grupowe. Te pierwsze przypominają walkę bokserską. Zawodnicy dobierani są według kategorii wagowej i używają takiej samej broni – np. mieczów, tasaków czy buzdygantów. Potyczka trwa kilka rund, po półtorę minuty każda. Ze celne trafienia zdobywa się punkty liczone przez sędziów. Na końcu zostaje wyłoniony zwycięzca.

„Pojedynki to najbardziej prestiżowa współczesna konkurencja turniejowa, niezwykle wymagająca pod względem technicznego przygotowania zawodników, precyzji i siły ciosu”, mówi Robert Szatecki, który w 2017 roku został w polskiej kadrze kapitanem zawodników pojedynkowych. Sam jest też w tej kategorii wicemistrzem świata federacji wschodniej.

Jak dodaje Robert, dla widzów ciekawsze i bardziej efektowne są jednak starcia grupowe, tzw. bohurty: 5 na 5, 10 na 10, 16 na 16, a nawet 21 na 21 zawodników. Tutaj nikt nie liczy trafień ani nie ma stopera mierzącego czas. Walka trwa do powalenia na ziemię ostatniego przeciwnika. W bohurtach broń jest cięższa i bardziej zróżnicowana: miecze, topory, buzdygany, tasaki, giewie, halabardy. Dopuszczalne są kopnięcia, uderzenia głowicą miecza, ranem tarczy, rzuty zapaśnicze. Zabronione faule to atakowanie karku przeciwnika, nieosłoniętego tyłu kolana, krocza oraz pchnięcia.



Z TYCH KILKULETNIICH RYCERZY W PRZYSZŁO- ŚCI WYROSNA ZAWOD- NICY, KTÓRZY BĘDĄ SIĘGAĆ PO MEDALE NA MISTRZOSTWACH ŚWIATA

Taka walka wymaga nie tylko doskonałego przygotowania fizycznego i psychicznego, lecz także wytrzymałości, liczą się również indywidualne umiejętności techniczne zawodników oraz opracowana przez nich taktyka walki. Michał w tych starciach używa tasaka i tarczy ofensywnej. „Moją rolą jest zatrzymać najsilniejszego przeciwnika i czekać na naszego halabardnika, aby pojedynczym silnym ciosem wykluczyć go z walki”, wyjaśnia. Jak podkreśla, musi jednak jeszcze popracować nad swoją wytrzymałością w czasie starć, aby móc dłużej i szybciej walczyć.

Uderzenia są zadawane z całą siłą, dlatego w tym sporcie, mimo zbroi i tarczy, nietrudno o kontuzje. Najczęstsze są urazy kolan, ponieważ na nich koncentruje się cały ciężar opancerzonego rycerza, zerwane więzadła, nadwężone stawy, skręcenia i zwichnięcia. Zdarzają się też wybite czy połamane palce oraz wstrząsy mózgu po potężnym ciosie. „Siła nacisku przy takim uderzeniu wynosi, w zależności od rodzaju broni – od 350 do 700 kg”, podaje Michał.

STARCIA NA MIECZE

Jednak walki rycerskie to nie tylko sport dla siłaczy. „Na nasze zajęcia przychodzą całe rodziny, zarówno osoby trenujące do kadry narodowej, jak i te, które chcą poćwiczyć rekreacyjnie, odreagować po pracy za biurkiem”, opowiada Robert. Jedną z nich jest Bożena Kajkowska z mężem. „Chodzimy na zajęcia miecza sportowego, czyli walczymy miękką bronią”. Jak dodaje, nudził ją aerobik i inne typowo damskie ćwiczenia. „Tutaj mam sporą dawkę treningu

siłowego, wytrzymałościowego, a do tego rozciąganie – pracuje całe ciało. No i niezwykle atrakcyjne są starcia

na miecze”. Bożena i jej mąż interesują się fantastyką, lubią zwiedzać średniowieczne zamki, oglądać pokazy bitew, więc taki rycerski klimat bardzo im odpowiada.

Z kolei Asia marzy o walce w zbroi w rycerskiej grupie. „Lubię się bić, a walki rycerskie są zdecydowanie ciekawsze niż karate czy judo”.

Entuzjastą rycerskiego rzemiosła jest także Michał. „Szukałem czegoś dla siebie, trenowałem sztuki walki m.in. boks i karate, ale dopiero kiedy w 2012 roku zobaczyłem starcia rycerskie na żywo, wiedziałem, że to coś dla mnie. Tu jest historia, adrenalina, rywalizacja”, opowiada.

Jego syn Robert też szykuje się na współczesnego rycerza. „Jestem silny i najchętniej walczę dwuręcznym mieczem”, podkreśla kilkuletek. Zdaniem Bożeny i Michała walki rycerskie to świetny sport dla dzieci. „Mogą się wybiegać, wyszaleć, zmęczyć, powalczyć zgodnie z zasadami sportowymi, a rodzice jeszcze zachęcają, aby bić mocniej”, opowiadają.

Robert Szatecki liczy, że z tych kilkuletnich rycerzy w przyszłości wyrosną zawodnicy, którzy będą sięgać po medale na mistrzostwach świata. Zdaniem Michała ten sport będzie coraz bardziej popularny. „Jest widowiskowy, a pojedynki mogą oglądać całe rodziny, w przeciwieństwie np. do starć bokserskich”, uważa. „No i to znakomite połączenie średniowiecznej idei rycerskości ze współczesną rywalizacją sportową”, dodaje Robert. ■

A A N



Legitymacja Ignacego Jana Paderewskiego upoważniająca do uczestnictwa w obradach konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 roku

Akta w sieci

Powstał portal internetowy Twórcy Niepodległej.

Na uruchomionym przez Archiwum Akt Nowych portalu można znaleźć archiwalne zdjęcia, dokumenty oraz listy związane z Polakami, którzy przyczynili się do odbudowy niepodległego państwa polskiego. Internauci przeczytają tam m.in. akt powołania rządu Wincentego Witosa przez prezydenta Stanisława Wojciechowskiego z 1923 roku, akt przekazania władzy Józefowi Piłsudskiemu

przez Radę Regencyjną czy list Piłsudskiego do Romana Dmowskiego z 1918 roku w sprawie reprezentacji państwa polskiego w rozmowach z ententą. Obejrzą też legitymację Ignacego Jana Paderewskiego upoważniającą do uczestnictwa w obradach konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 roku. Materiały można znaleźć na stronie: www.aan.gov.pl/tworcyniepodleglosci. AD ■

Historia propagandy

Wystawa edukacyjna z sowieckimi pomnikami.

Instytut Pamięci Narodowej chce stworzyć ekspozycję w Muzeum Zimnej Wojny w Podborgu, filii Muzeum Oręża Polskiego z Kołobrzegu. Zostanie w tym celu zaadapt-

owany dawny magazyn sowieckiej broni atomowej. Częścią wystawy będą tzw. pomniki wdzięczności Armii Czerwonej, które są usuwane z przestrzeni publicznej w ramach dekomunizacji kraju. „Chcemy pokazać historię propagandy totalitaryzmu, to również był element zimnej wojny”, mówił na konferencji Jarosław Szarek, prezes IPN-u. Jak informuje Instytut, w kraju jest około 230 takich pomników. Wystawa będzie też przedstawiać m.in. ludzi, którzy walczyli z systemem sowieckim. AD ■



ANNA WOLSKA / 3 BLOG

Korona Gór Polski

Zdobywają górskie szczyty dla chorego chłopca.

Emil Kazanowski ma zaledwie siedem lat i toczy ciężką walkę z chorobą – rdzeniakiem mózgu. Rodzina chłopca potrzebuje pieniędzy na specjalistyczne leczenie. W tym wypadku najskuteczniejsza okazała się chemioterapia, która nie jest refundowana przez NFZ. „Każdorazowe podanie chemii kosztuje nas 6,5 tys. złotych”, wyjaśnia Alicja Kazanowska. Emil dostał już kilka takich kroplówek i jego stan się poprawił. W pomoc dziecku włączyło się trzech żołnierzy z 3 Batalionu Logistycznego. Szer. Rafał Gmiter, szer. Dariusz Półgrabski i szer. Bartosz Kozak 18 sierpnia rozpoczęli zdobywanie pięciu polskich górskich szczytów: Śnieżki, Śnieżnika, Babiej Góry, Tarnicy oraz Rysów. Na każdym z nich zostawiają informację o tym, jak wesprzeć chłopca w walce z chorobą. EK ■

JAK POMÓC RODZINIE EMILA?

Organizatorzy akcji „Korona gór Polski dla Emila” proszą o udostępnianie informacji o wydarzeniu w mediach społecznościowych.

Można także wpłacić pieniądze na specjalne konto założone dla chłopca przez Fundację „Stoneczko” – tytuł przelewu: Emil Kazanowski 1093/K, numer konta: 89 8944 0003 0000 2088 2000 0010 KRS 0000186434.

300-400 TYS.
OSÓB

Podziemne biogramy

Krakowskie muzeum stworzy poczet żołnierzy AK.

Zostanie utworzona ogólnodostępna elektroniczna baza zawierająca dane o żołnierzach tej największej podziemnej armii. Według różnych źródeł w jej szeregach służyło między 300 a 400 tys. osób. Bazę opracuje Muzeum Armii Krajowej w Krakowie we współpracy ze Światowym Związkiem Żołnierzy AK, Muzeum Powstania Warszawskiego oraz Instytutem Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mają się w niej znaleźć podstawowe dane dotyczące żołnierzy: imię, nazwisko, pseudonimy, miejsce i data urodzenia oraz śmierci, stopień wojskowy, otrzymane odznaczenia, biogram, zdjęcia oraz informacje o miejscu pochówku. W pierwszej kolejności Muzeum zajmie się kompilacją opracowanych dotychczas baz. AD ■



ARCH. 12 BBSP

Mirlołka pod opieką lotników

Żołnierze adoptowali miesięczne żubrzątko.

Urodziło się w Dzikiej Zagrodzie w Jabłonowie, ośrodku Zachodniopomorskiego Towarzystwa Przyrodniczego, które zajmuje się zwiększaniem populacji żubrów w regionie. Na stałe przebywają tam dorosłe osobniki, a młode urodzone w zagrodzie są wypuszczane na wolność. Miesięczną żubrzycę adoptowali żołnierze z 12 Bazy Bezzałogowych Statków Powietrznych w Mirosławcu. „Na ten pomysł wpadł nasz dowódca płk pil. Łukasz Andrzejewski-Popow”, mówi kpt. Małgorzata

Krywiak, oficer prasowy bazy. Żołnierzom pomysł się spodobał. Teraz ich obowiązkiem będzie dostarczanie podopiecznej jabłek i marchewek oraz odwiedzanie jej regularnie. Jednostka ogłosiła konkurs na imię dla zwierzęcia. Z nadesłanych propozycji wybrano Mirlołkę, bo kojarzy się z lotnictwem i Mirosławcem. W przyszłości żubrzycę dołączy do dzikiego stada. Zostanie jednak zaobrazkowana i dzięki specjalnej aplikacji wojskowi będą mogli śledzić jej losy. MM, EK ■

Rywalizacja weteranów

Sydney czeka na polskich weteranów.

W sportowej imprezie Invictus Games, której pomysłodawcą jest książę Harry, po raz pierwszy w historii wezmą udział polscy weterani misji poza granicami kraju. W 2019 roku wyjadą do Sydney, by konkurować w takich kategoriach, jak: łucznictwo, lekkoatletyka, kolarstwo, regaty, wyciskanie sztangi w pozycji leżącej, siatkówka na siedząco, pływanie, koszykówka i rugby na wózkach oraz wioślarstwo halowe. Centrum Weterana Misji poza Granicami Kraju wyjaśnia, że przewóz sprzętu ponadgabarytowego znacznie zwiększyłby koszty, dlatego w pierwszej kolejności zaprasza zawodników takich konkurencji jak pływanie.

Weterani, którzy chcieliby wziąć udział w Invictus Games, powinni wypełnić formularz zgłoszeniowy znajdujący się na stronie <http://centrum-weterana.mon.gov.pl>. ■

Kajakiem przez Hańczę

Czterdziestu weteranów i weteranów poszkodowanych razem z rodzinami wzięło udział w spływie kajakowym. Każdego dnia pokonywali kilkanaście kilometrów szlakiem Czarnej Hańczy. Imprezę sfinansowało ze środków własnych Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju, gdy wycofał się dotychczasowy sponsor.

„Spływ jest dla nas ważną formą rehabilitacji, nie tylko fizycznej, ale też psychicznej. W górskich rajdach pieszych nie wszyscy mogą uczestniczyć, a w kajaku nawet najbardziej poszkodowani dają radę”, mówi Janusz Raczy, wiceprezes zarządu Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju. MS ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Pielgrzymka do hallerczyków

**To jedyny polski cmentarz
wojskowy na terenie Ameryki
Północnej.**

Nekropolia w kilkunastotysięcznym miasteczku Niagara-on-the-Lake, oddalonym o 20 km od wodospadu Niagara, nazywana jest popularnie cmentarzem hallerczyków. Spoczywają na nim polscy ochotnicy do Błękitnej Armii, którzy zmarli w 1918 roku w wyniku epidemii hiszpanki. Podczas I wojny światowej o niepodległość wyzwolającej się spod rozbiorów Polski walczyli bowiem także emigranci ze Stanów Zjednoczonych i Kanady. Co roku w czerwcu do Niagara-on-the-Lake licznie przybywają amerykańska i kanadyjska Polonia, polskie władze konsularne i lokalni politycy, aby uczcić pamięć kanadyjskich hallerczyków.

WERBUNEK DO ARMII

Prezydent Woodrow Wilson podpisał 5 października 1917 roku dekret zezwalający Polakom z USA formować swoją armię. Żołnierze nie mogli być jednak szkoleni na amerykańskiej ziemi, gdyż Stany Zjednoczone pozostawały w stanie wojny. Pomocy udzieliły władze kanadyjskie, które w miasteczku Niagara-on-the-Lake wydzieliły miejsce, gdzie mogliby ćwiczyć rekruci.

Inicjatywę tę wspierał szef kanadyjskiego sztabu generalnego, gen. Willoughby Gwatkin, który zyskał przydomek „ojciec chrestny Wojska Polskiego”. Rozkaz szkolenia polskich oficerów oraz zorganizowania obozu szkoleniowego w Niagara-on-the-Lake otrzymał płk Artur D’Orr LePan (1885–1976). Polscy oficerowie byli skierowani do Camp Borden i na uniwersytet w Toronto, obóz zaś powstał w drugiej połowie 1917 roku i nadano mu imię Tadeusza Kościuszki.

Płk Artur D’Orr LePan wspominał: „Byłem zaskoczony, gdy otrzymałem instrukcje od centrali, aby przy-



jąć grupę polskich chłopców ze Stanów Zjednoczonych do szkoły oficerskiej. Klasy stawały się coraz liczniejsze, aż latem 1917 roku w Camp Borden mieliśmy około 150 Polaków szkolących się na oficerów. Następnie 14 września 1917 roku otrzymałem równie jasny komunikat, nakazujący, aby szkołę żołnierzy piechoty przenieść do Niagara i przejąć obóz Wojska Polskiego, który ma tam zostać założony”. Jako komendant obozu im. T. Kościuszki pułkownik cieszył się szacunkiem podwładnych, gdyż okazywał wiele sympatii polskim dążeniom niepodległościowym. W sumie oficerskie szlify zdobyło 295 kandydatów. Wraz z 28 oficerami kanadyjskimi stanowili oni kadrę szkoleniową w obozie.

Gdy rozpoczął się proces naboru, powstało ponad 40 biur rekrutacyjnych, głównie w Stanach Zjednoczonych, ale także w Kanadzie – w Winnipeg, Toronto, Montrealu oraz w obozie im. Kościuszki. Mieszkańcy prowincjonalnego Niagara-on-the-Lake nigdy wcześniej nie przeżyli takiego najazdu gości. Nawet część ratusza i innych budynków publicznych oddano na potrzeby Polaków, a lokalna poczta wywiesiła informacje i oznaczenia w języku polskim.

We wrześniu 1918 roku do obozu w Niagara-on-the-Lake dotarła grypa hiszpanka. Wirusa przywiózł prawdo-



W 2000 roku cmentarz odnowiono, ustawiając między innymi nowe nagrobki, kapliczkę i pamiątkowe tablice.



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER (3)

KĄŻDEGO ROKU W DRUGĄ NIEDZIELĘ CZERWCA PODCZAS USTANOWIONEGO PRZEZ WŁADZE NIAGARA-ON-THE-LAKE DNIA POLSKIEGO ODBYWAJĄ SIĘ ROCZNICOWE UROCZYSTOŚCI

podobnie jeden z rekrutów, który przyjechał z USA. Epidemia rozprzestrzeniła się w całym regionie Niagara. Zamknięto szkoły, teatry, kina i sale koncertowe, baseny oraz kościoły. Zanim w połowie października lekarzom udało się opanować epidemię, w obozie Kościuszki zmarło 40 żołnierzy. Ciała 15 z nich przekazano rodzinom, pozostałych 25 pochowano na parceli, którą wydzielił proboszcz parafii St. Vicent de Paul Church. Obecnie na tym cmentarzu mieści się 26 grobów, pogrzebano tam m.in. księdza płk. Józefa Dekowskiego VM, kapelana hallerczyków, który przed śmiercią wyraził takie życzenie.

Polskim cmentarzykiem z grobami tych, którzy zmarli podczas epidemii hiszpanki, przez lata opiekowała się także Elizabeth Ascher, korespondentka gazety „St. Catharines Standard”, zwana przez polskich ochotników „matką żołnierzy”. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości była ona pierwszym cywilem, który otrzymał

najwyższe polskie odznaczenie – Order Polonia Restituta. W podobny sposób uhonorowany został płk Artur D’Orr LePan.

Według danych kanadyjskiego ministerstwa obrony opublikowanych w wydawnictwie Niagara Historical Society z 1923 roku, przez obóz im. Tadeusza Kościuszki przeszło 22 174 żołnierzy – ochotników ze Stanów Zjednoczonych i Kanady, z których (po odbyciu ćwiczeń bojowych w Camp Borden) 20 720 zasililo polską armię we Francji. Żołnierze wyszkoleni nad Niagarą walczyli w 1918 roku z Niemcami na froncie francuskim, w latach 1919–1920 wzięli udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Po zakończeniu walk około 14,5 tys. żołnierzy Błękitnej Armii powróciło do Ameryki.

PIELGRZYMKI NA CMENTARZ

Obóz im. Tadeusza Kościuszki zamknięto 11 marca 1919 roku, pamiętano jednak o żołnierzach pochowanych na cmentarzu w Niagara-on-the-Lake. Pierwsza pielgrzymka do tego miejsca odbyła się 30 maja 1919 roku. Mieszkańcy miasteczka tłumnie przybyli, by położyć na grobach żołnierzy naręcza kwiatów. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości za zgodą władz kanadyjskich opiekę nad nekropolią przejęli członkowie Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce (SWAP), a następnie Kongres Polonii Kanadyjskiej.

W 2000 roku, z inicjatywy amerykańskiej i kanadyjskiej Polonii, cmentarz polskich żołnierzy gruntownie odnowiono. Został on ogrodzony, pojawiły się nowe nagrobki, kapliczka i pamiątkowe tablice. Każdego roku w drugą niedzielę czerwca podczas ustanowionego przez władze Niagara-on-the-Lake Dnia Polskiego odbywają się rocznicowe uroczystości. Poczty sztandarowe organizacji polonijnych, kombatanckich i harcerskich maszerują ulicami miasta do polskiego cmentarza. Po odczytaniu apelu poległych i oddaniu przez pododdział armii kanadyjskiej salwy honorowej składane są wiązanki kwiatów, po czym uczestnicy uroczystości przechodzą pod pomnik Nieznanego Żołnierza, znajdujący się w centrum Niagara-on-the-Lake, gdzie także składają wieńce.

„W ten sposób oddajemy hołd zmarłym żołnierzom Błękitnej Armii. W naszych dorocznych pielgrzymkach biorą także udział polscy żołnierze z 12 Brygady Zmechanizowanej im. gen. Józefa Hallera w Szczecinie. W tym roku okazja była podwójna, bo obchodziliśmy dwa jubileusze: 150-lecie powstania Kanady oraz 100-lecie utworzenia niepodległej armii polskiej, którą zasilili także żołnierze przeszkoleni w Kanadzie”, mówi Henry Sokołowski ze Stowarzyszenia Polskich Kombatanów w Kanadzie. ■

Panu gen. dyw. rez. Zbyszkowi Czerwińskiemu

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Teściowej

składa gen. broni Leszek Surawski,
szef Sztabu Generalnego WP.

Z ogromnym smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci

kmdr. por. rez. Jerzego Łojtki.

Wyrazy głębokiego współczucia i szczerze kondolencje

Rodzinie i Najbliższym

składa dowódca Centrum Operacji Morskich –
Dowództwa Komponentu Morskiego
wraz z podległą kadrą i pracownikami.

Panu ppłk. Waldemarowi Kitaszewskiemu

oraz Rodzinie

wyrazy współczucia i żalu
z powodu śmierci

Taty

składają koledzy i koleżanki
z Oddziału Organizacyjno-Planistycznego
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Panu płk. dypl. w st. spocz.

Ryszardowi Sławińskiemu

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
oraz słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Mamy

składają dyrektor i pracownicy
Biura Pełnomocnika MON ds. Budowy i Wdrażania
Narodowego Centrum Wspomagania
Operacji Powietrznych.

Panu płk. Radosławowi Kwiatkowskiemu

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Teścia

składają dyrektor i pracownicy
Biura Pełnomocnika MON ds. Budowy i Wdrażania
Narodowego Centrum Wspomagania
Operacji Powietrznych.

Panu gen. Henrykowi Pietrzakowi

w związku ze śmiercią

ukochanej żony Leokadii

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje
wraz z modlitewną pamięcią
składa sekretarz stanu w MON
Bartosz Kownacki.

Pani dr hab. inż. Olimpii Kunert,

wieloletniemu nauczycielowi akademickiemu

Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych,

oraz Jej Rodzinie i Bliskim

najszczerze wyrazy współczucia, wsparcia i otuchy
w trudnych chwilach z powodu śmierci

Męża

składają pracownicy

Wydziału Bezpieczeństwa Narodowego i Logistyki
Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych.

Rodzinie i Najbliższym

śp. ppłk. w st. spocz. mgr. farm. Edwarda Walasa

szczerze wyrazy żalu i współczucia

składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
5 Wojskowego Szpitala Klinicznego
z Polikliniką w Krakowie.

Żonie i Rodzinie Zmarłego

gen. bryg. w st. spocz. Jana Baranieckiego

serdeczne wyrazy współczucia

składają dyrektor i pracownicy
Instytutu Technicznego Wojsk Lotniczych.

Panu st. chor. sztab. Jacentemu Bęben

oraz Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają szef, kadra i pracownicy
Wydziału Materiałowego
3 Regionalnej Bazy Logistycznej.

Panu gen. bryg. Wojciechowi Kucharskiemu,
zastępcy szefa Zarządu Planowania Użycia
Sił Zbrojnych i Szkolenia – P3/7
Sztabu Generalnego Wojska Polskiego,
Rodzinie oraz Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego
gen. broni Leszek Surawski
oraz żołnierze i pracownicy SG WP.

**Panu gen. bryg. Wojciechowi Kucharskiemu
oraz Jego Rodzinie**
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
16 Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej.

Panu ppłk. Romanowi Narożnemu
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych
im. Hetmana Polnego Koronnego
Stefana Czarnieckiego.

Panu ppłk. dr. inż. Pawłowi Maciejewskiemu
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Mamy

składają kadra i pracownicy
Centrum Szkolenia Obrony
przed Bronią Masowego Rażenia
Akademii Sztuki Wojennej.

Panu plut. Pawłowi Kosińskiemu
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
1 Ośrodka Radioelektronicznego w Grójcu.

Panu płk. dypl. Marcinowi Frączkowi

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają oficerowie i podoficerowie
18 Białostockiego Pułku Rozpoznawczego.

**Panu Marianowi Leśków
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

najszczerze wyrazy współczucia, wsparcia i otuchy
w trudnych chwilach z powodu śmierci

Syna

składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
45 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wędrzynie.

Panu płk. Marcinowi Frączkowi

wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają kadra i pracownicy
Zarządu Rozpoznania i Walki Elektronicznej
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu ppłk. Grzegorzowi Patyrze

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają koleżanki i koledzy
z 1 Pomorskiej Brygady Logistycznej.

Panu płk. dypl. Marcinowi Frączkowi,
dowódcy 18 Białostockiego Pułku Rozpoznawczego,
dowódcy Garnizonu Białystok,
oraz Jego Bliskim

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy wojska
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
w Białymstoku
oraz Wojskowych Komend Uzupełnień.

Panu ppłk. Krzysztofowi Szulińskiemu

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze i pracownicy
1 Regionalnej Bazy Logistycznej.

**Pani Małgorzacie Czerwińskiej
oraz Rodzinie i Bliskim**

wyrazy najszczęśliwszego żalu i głębokiego
współczucia z powodu śmierci

Matki

składa dyrektor departamentu
wraz z podległą kadrą i pracownikami
Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia.

**Panu ppłk. Krzysztofowi Gryko
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym**

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają kadra i pracownicy wojska
Szefostwa Eksploatacji Sprzętu Inżynieryjnego
i OPBMR
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Panu płk. rez. lek. Januszowi Sroga
szczerze wyrazy żalu i współczucia

z powodu śmierci

Matki

składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
5 Wojskowego Szpitala Klinicznego
z Polikliniką w Krakowie.

Panu ppłk. Kazimierzowi Mączy

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają żołnierze i pracownicy wojska
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Warszawie.

Mjr. Marcinowi Piwowarczykowi

wyrazy szczerego żalu i współczucia z powodu
śmierci **Matki**

składają koledzy i koleżanki z Pionu Szkolenia
Dowództwa Wojsk Obrony Terytorialnej.

Panu ppłk. Radosławowi Niecikowskiemu,

wojskowemu komendantowi uzupełnień
we Włocławku,

wyrazy szczerego współczucia z powodu śmierci

Taty, śp. Romualda Niecikowskiego

składa szef Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
w Bydgoszczy wraz z wojskowymi komendantami
uzupełnień z Bydgoszczy, Inowrocławia, Torunia,
Grudziądza i Brodnicy.

Wyrazy głębokiego współczucia oraz żalu

Rodzinie i Najbliższym

z powodu śmierci

st. sierż. Dawida Stefańskiego

składa dowódca 3 Dywizjonu Artylerii Rakietowej
wraz z żołnierzami.

Z głębokim żalem i ogromnym smutkiem

przyjęliśmy wiadomość o śmierci

st. sierż. Dawida Stefańskiego.

Pograżonej w ból i smutku

Rodzinie i Bliskim

wyrazy współczucia składają
dowódca, żołnierze i pracownicy

resortu obrony narodowej

5 Lubuskiego Pułku Artylerii w Sulechowie.

Panu płk. dypl. Marcinowi Frączkowi,

dowódcy 18 Pułku Rozpoznawczego,

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze i pracownicy
25 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Białymstoku.

Wyrazy współczucia i szczerze kondolencje

kpt. Piotrowi Załęskiemu

z powodu śmierci

Syna

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Panu gen. dyw. w st. spocz. pil.

Henrykowi Pietrzakowi,

pełnomocnikowi ministra obrony narodowej
do spraw budowy i wdrażania Narodowego Centrum

Wspomagania Operacji Powietrznych,

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu

z powodu śmierci

Żony

składają pracownicy Biura.

„Można odejść na zawsze, by stale być blisko”

Ks. J. Twardowski

Naszemu Koledze

ppłk. Adamowi Kaczmarkowi

wyrazy najszczerzego współczucia

oraz głębokiego żalu po śmierci

Taty

składają szef, żołnierze, pracownicy

Delegatury Departamentu Kontroli w Bydgoszczy.

Panu ppłk. Robertowi Weremiejczykowi

wyrazy głębokiego współczucia

oraz szczerze kondolencje

z powodu śmierci

Matki

składają koledzy i koleżanki

z Oddziału Programowania Ćwiczeń

Zarządu Koordynacji Szkolenia

Inspektoratu Szkolenia DG RSZ.

Słowa wsparcia oraz wyrazy głębokiego żalu

i szczerzego współczucia

Pani Katarzynie Niżewskiej

oraz Rodzinie i Najbliższym

z powodu śmierci

Mamy

składają szef, żołnierze, strażacy oraz pracownicy

Wojskowej Ochrony Przeciwpowodzi.



Pamiętamy

st. chor. Sylwester Janik

2 września 2013 roku,

PKW Afganistan

sierż. Marcin Poręba

4 września 2009 roku,

PKW Afganistan

st. chor. Władysław Wojciechowski

5 września 1989 roku,

UNTAG Namibia

st. chor. Ryszard Zalewski

5 września 1989 roku,

UNTAG Namibia

st. sierż. Jan Boleszczuk

5 września 1989 roku,

UNTAG Namibia

kpr. Artur Pyc

8 września 2009 roku,

PKW Afganistan

kpr. Piotr Marciniak

10 września 2009 roku,

PKW Afganistan

por. Piotr Mazurek

12 września 2004 roku, PKW Irak

kpr. Grzegorz Nosek

12 września 2004 roku, PKW Irak

por. Daniel Różyński

12 września 2004 roku, PKW Irak

st. chor. Rafał Celebudzki

16 września 2014 roku,

PKW Afganistan

chor. Kazimierz Kajszyk

20 września 1991 roku,

UNDOF Syria

plk Bogdan Reczek

21 września 1977 roku, UNEF II Egipt

chor. Kazimierz Kasprzak

27 września 2010 roku,

PKW Afganistan

szer. Józef Zuzański

28 września 1994 roku,

UNDOF Syria

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213, 261 845 230, 261 840 227

KSIĄŻKA

Tajemnica postępu

Żeby odnieść sukces, trzeba ponieść porażkę.

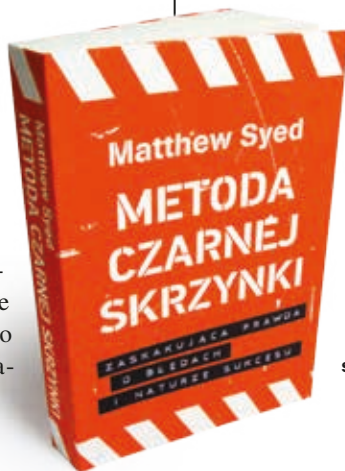
Jak się okazuje, to niby oczywiste twierdzenie, rozebrane na czynniki pierwsze przez Matthew Syeda, zawiera wiele ukrytych znaczeń. Przede wszystkim trzeba się do porażki przyznać, potem wyciągnąć wnioski, przeanalizować błędy i wprowadzić w życie nowe rozwiązania. Jak się jednak okazuje, ten pozornie banalny proces nie jest taki prosty.

Syed zebrał w swojej książce imponującą liczbę przykładów na to, w jaki sposób jeden błąd w działaniu stał się kołem napędowym w rozwoju całej dziedziny lub przyczyną jej zastoju. A dotyczy to zarówno medycyny, jak i sądownictwa, polityki, wojskowości, sportu, bezpieczeństwa lotów, informatyki, czyli właściwie każdej sfery działalności człowieka. Punktem wyjścia jego rozważań są dwa pozornie niezwiązane w żaden sposób przypadki: śmierć Elaine Bromiley na stole operacyjnym w wyniku błędnego działania lekarzy i katastrofa lotu 173 United Airlines, której przyczyną była nieprawidłowa reakcja pilota. Zasadniczą kwestią dla Syeda stało się to, jakie wyciągnięto wnioski po tych dwóch tragediach i czy doprowadziły do jakichkolwiek zmian w systemie leczenia czy bezpieczeństwa lotów. Jak się okazało, poradzono sobie różnie. Sporządzony po katastrofie raport komisji dochodzeniowej miał dla lotnictwa przełomowe znaczenie. Na jego podstawie wprowadzono nowe elementy szkolenia pilotów, które miały zminimalizować prawdopodobieństwo wystąpienia podobnych zdarzeń w przyszłości. Natomiast wniosek lekarzy był jeden: „Zdarza się”. I na tym się skończyło. Katastrofa lotu 173, w której zginęło dziesięć osób, przyczyniła się do uratowania życia tysiącom kolejnych. W tym właśnie wypadku, jak dowodzi Syed, zastosowano sposób myślenia zwany metodą czarnej skrzynki. Termin ten został użyty jako metafora rejestratora danych, które służą do dalszej analizy. Tak naprawdę chodzi o to, żeby nie bać się dociekać przyczyny niepowodzeń, a w błędach dostrzegać źródło wiedzy, a nie tylko zagrożenie.

Temat podjęty przez Syeda może wydawać się banalny, ale jego analiza prowadzi do tylko pozornie oczywistych wniosków. Uświadamia chociażby, jak wielkie znaczenie w podejściu do naszych porażek i błędów ma środowisko, w którym funkcjonujemy, czy dziedzictwo kulturowe. „Historia nauki, tak jak wszelkich ludzkich idei, to dzieje błędów”, napisał filozof Karl Popper. Syed w swojej książce pokazuje nam, jak potrafimy, jako społeczeństwo, sobie z tymi błędami radzić.

JOANNA
ROCHOWICZ

Matthew Syed „Metoda czarnej skrzynki. Zaskakująca prawda o błędach i naturze sukcesu”, Insignis, 2017



KSIĄŻKA

Wódz (nie)samodzielny

Czy fanatyzm jednego człowieka mógł spowodować klęskę całych wojsk?



Porażki militarne Niemiec w czasie II wojny światowej dziś wielu historyków przypisuje wyłącznie nieporowi i dyktatorskiej władzy Hitlera, a także jego zacofanemu myśleniu o wojsku – ponoć zatrzymało się ono w 1918 roku, w okopach wielkiej wojny. Najnowsza książka Henrika Eberlega rzuca nowe światło na politykę i działania militarne III Rzeszy pod wodzą niedoszłego malarza. Autor ukazuje zupełnie inny obraz wodza. Eberle dokładnie opisuje ścieżkę polityczną, która wyniosła go na same szczyty władzy w Niemczech. Najciekawsze są opisy ukazujące Hitlera jako głównodowodzącego sił zbrojnych. Okazuje się, że choć ostatnie słowo zawsze należało do niego, w wielu sytuacjach pozostawiał wolną rękę swoim generałom. I to on, a nie najwyżsi stopniem wojskowi, był najzgorzalszym orędownikiem najnowszych technologii w uzbrojeniu. Stratedzy hitlerowscy dopiero po wojnie, aby umniejszyć swój udział w niepowodzeniach na frontach, obarczali winą wyłącznie Führera, przypisując mu nieustępliwość, chore wyobrażenia i fanatyzm oraz to, że był głuchy na argumenty swoich podwładnych. Jest to ciekawa, dobrze napisana książka, w której autor nie raz zaskoczy czytelnika, łamiąc przyjęte twierdzenia i tezy historyczne.

JAKUB NAWROCKI

Henrik Eberle, „Wojny Hitlera. Od gefrajtra do Führera”, Prószyński i S-ka, 2017.

KSIĄŻKA

Encyklopedia gąsienic

Pojazdy wojskowe od wielu lat fascynują nie tylko ludzi związanych z wojskiem. Szczególną popularnością cieszą się czołgi, które są w polskiej armii od blisko stu lat. Wyjątkowo okazałe opracowanie tego zagadnienia przygotował Tomasz Szčerbiński, dziennikarz, publicysta, miłośnik motoryzacji i militariów. „Czołgi i samobieżne działa pancerne Wojska Polskiego 1919–2016” to kolejny po „Pojazdach ludowego Wojska Polskiego” i „Pojazdach

Wojska Polskiego 1914–1939” album poświęcony historii polskiego oręża. W przeciwieństwie do poprzednich pozycji, autor wziął pod lupę jeden rodzaj pojazdów, za to przedstawił ich rozwój w szerszej perspektywie czasowej. Choć – jak sam podkreśla – nie jest to kompletna historia wojsk pancernych w Polsce, w opracowaniu znajdziemy statystyki, parametry techniczne oraz ciekawe tło polityczne opisywanych wydarzeń.

Publikacja została podzielona na cztery części – od II Rzeczypospolitej, przez Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie, ludowe Woj-

ska Polskie, aż do teraźniejszości i Wojska Polskiego po 1989 roku. Ostatni, piąty rozdział opowiada o czołgach rodzimej produkcji. Oczywiście jest to album, więc większość z ponad 500 stron to zdjęcia, m.in. ze zbiorów własnych autora, archiwów i muzeów. ■

PIOTR ZARZYCKI

Tomasz Szčerbiński, „Czołgi i samobieżne działa pancerne Wojska Polskiego 1919–2016”, Vesper, 2017



KSIĄŻKA

POTRAFIĄ CIESZYĆ SIĘ KAŻDĄ CHWILĄ

**Bezcenne opowieści
uczestników
powstania
warszawskiego.**

Walka o wolność jest wpisana w historię mojej rodziny”, mówi Tytus Karlikowski „Tytus”, jeden z bohaterów książki „Nasza powstańcza młodość”. Jego rodzice poznali się w Polskiej Organizacji Wojskowej, wujowie brali udział w wojnie obronnej 1939 roku. On w czasie II wojny światowej działał w tajnym harcerstwie, a jego hufcowym był Janek Bytnar „Rudy”. Mały sabotaż Szarych Szeregów jednak mu nie wystar-

czał. Chciał walczyć, ale był za młody na akcje szturmowe. Ostatecznie „dopisano mu brakujące lata” i dostał broń do ręki. Kiedy wybuchło powstanie warszawskie, walczył w Zgrupowaniu „Radosław” i został ciężko ranny w czasie potyczki z Niemcami na cmentarzu żydowskim. Życie zawdzięcza sanitariuszce „Dorocie”, która przypięła go pasem do swoich pleców i ciągnęła, żeby kanałami wyprowadzić w bezpieczne miejsce. On przeżył wojnę, a ona zginęła w czasie walk w Śródmieściu, kiedy udzielała pomocy innemu ciężko rannemu powstańcowi.

Historia „Tytusa” jest jedną z tysięcy, które można przeczytać w opracowaniach, reportażach i monografiach dotyczących powstania warszawskiego. Można by wręcz powiedzieć: „ile można czytać ciągle o tym samym?”. Takich świadectw jednak nigdy dość, szczególnie że coraz mniej jest uczestników

tamtych dramatycznych wydarzeń. Małgorzata Czerwińska-Buczek spotkała się z wieloma osobami, które opowiedziały jej o dramatach wojny, śmierci, zniszczeniach, ale i o walce, przyjaźni, miłości rodzącej się nie wśród śpiewu ptaków, lecz w huku rozrywających się pocisków. Autorka czerpie od tych ludzi siłę i przekazuje ją nam. Jak mówi, „większość z nich ma już ponad dziewięćdziesiąt lat. Potrafią cieszyć się każdą chwilą”. Dlatego warto przeczytać kolejną relację, odbyć kolejną rozmowę, obejrzyć kolejny wywiad, poznać kolejne świadectwo, takie jak relacje kilkunastu powstańców warszawskich z książki Małgorzaty Czerwińskiej-Buczek. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Małgorzata Czerwińska-Buczek, „Nasza powstańcza młodość”, Bellona, 2017



Stanisław Wigura i Franciszek Żwirko, Kraków, październik 1930.

Lotnicze legendy

Wystawa Domu Spotkań z Historią i Aeroklubu Warszawskiego „Marzenia o lataniu. Warszawskie opowieści lotnicze” przypomina historię lotnictwa i jej legendy – pionierów awiacji, inżynierów, konstruktorów, niezwykle osobowości oraz ich życiorysy godne niejednego filmu. Zebrano i uporządkowano rozproszone materiały fotograficzne, filmowe i eksponaty – ilustrujące rozwój przedwojennego i powojen-

nego lotnictwa – które zachowały się dzięki wysiłkowi różnych osób i instytucji. Ekspozycję tworzą niepokazywane dotąd szerokiej publiczności zbiory Aeroklubu Warszawskiego, prywatne kolekcje Krzysztofa Kowalczuka, Marka Masalskiego, dr. inż. Andrzeja Glassa, Pawła Ruchały i zbiory rodzinne – Witolda Rychtera, Antoniego Kocjana, Stefani Wojtułanis częściowo zachowane w zbiorach Muzeum Lotnictwa w Krakowie oraz zdjęcia ze zbiorów NAC, PAP, Forum i Ośrodka KARTA. DSH ■

KSIAŻKA

Opuść pancerzyk jak cykada

Wszystkie chwytły dozwolone, czyli dalekowschodnia strategia prowadzenia wojny.

Francuski ruch oporu w czasie operacji „Overlord” niszczył kablówą infrastrukturę komunikacyjną. W jakim celu? Odpowiedź wydaje się banalnie prosta: żeby sparaliżować system dowodzenia wroga. I oczywiście jest to prawda. Tyle że w tym wypadku przede wszystkim chodziło o zmuszenie Niemców do korzystania z łączności radiowej szyfrowanej Enigmą. Jeden cel stanowił zasłonę dymną dla drugiego, o wiele istotniejszego. Historia wojen obfituje w tego rodzaju zagrywki taktyczne, bo wszelkie fortele, tricki, zmyłki czy pułapki od wieków są znakomi-

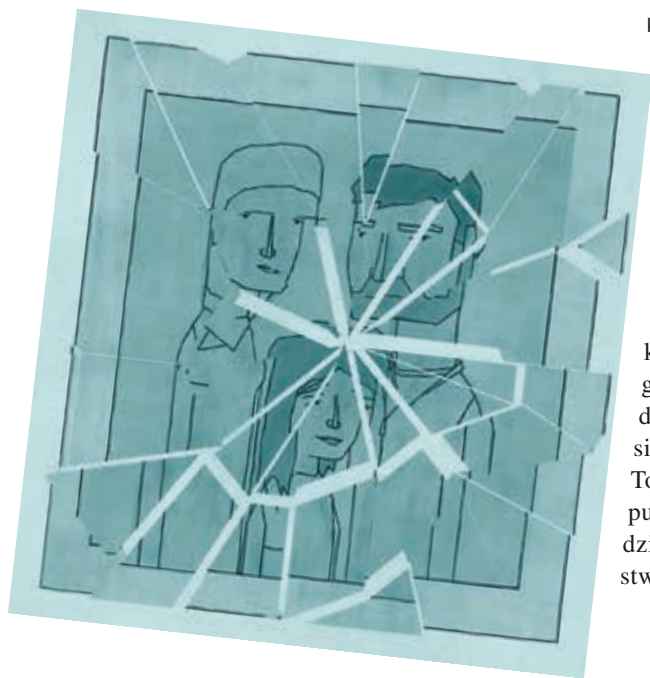
KSIAŻKA

Esemesy z piekła

Podjął ogromne ryzyko, żebyśmy mogli przeczytać tę relację.

Śmierć przez ścięcie grozi każdemu mieszkańcowi Rakki, na którego padł choćby cień podejrzenia, że skontaktował się z zachodnimi mediami. To nie czcze pogrozki, bo publiczne egzekucje są codziennością, od kiedy Państwo Islamskie wybrało sy-

ryjskie miasto na stolicę kalifatu. Wystarczy mieć w domu telewizor, wysłać esemes do niewłaściwej osoby, a nawet włożyć zbyt krótkie spodnie. Już za czasów reżimu w całym państwie panowały bezprawie, korupcja, bezrobocie i głód. Zdarzało się, że ktoś nie wracał do domu, zniknął na lata lub na zawsze. Teraz jednak każde wyjście na ulicę



tym orężem. Już Sun Zi twierdził, że „działania armii opierają się na podstępach”. I o ile jego „Sztuka wojny” jest powszechnie znana na całym świecie, o tyle w naszym kręgu kulturowym mało kto wie o anonimowej książce znalezionej u chińskiego przydrożnego handlarza w 1941 roku. Okazała się reprintem pracy datowanej na późną dynastię Ming lub wczesną Qing i zawierała opis 36 forteli do wykorzystania w sztuce wojennej.

Piotr Plebaniak z tego krótkiego opracowania stworzył nową jakość.

Nie ograniczył się do wymienienia i opisanie tych zasad. Takie sentencje, jak „poświęć śliwę, aby uratować brzoskwinie”, „w uśmiechu ukryj sztylet”, „wywab tygrysa z gór” czy „opuść pancerzyk jak cykada” przełożył na zestawy porad dla wojskowych strategów, dla każdego w codziennym funkcjonowaniu. W ten sposób powstał fantastyczny podręcznik pokazujący, jak wykorzystać zasady psychologii wojny czy świadomości międzykulturowej, ale też jak rozwiązywać wszelkiego rodzaju konflikty. Każdy z forteli został dodatkowo opatrzony przykła-

dami historycznymi – z odległych dziejów Dalekiego Wschodu oraz bardziej współczesnymi i odnoszącymi się do Polski, np. bitwy pod Grunwaldem i powstania warszawskiego. W ten sposób Piotr Plebaniak przełożył chińskie mądrości na nasz kod kulturowy, co jest o tyle istotne, że w kręgu Europy Zachodniej rycerstwo pogardzało niektórymi metodami walki zalecanymi np. przez Sun Zi. Na dodatek całość została opatrzona znakomitą wstępem Andrzeja Sapkowskiego. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Piotr Plebaniak, „36 forteli, czyli chińska sztuka podstępu, układania planów i skutecznego działania”, Zysk i S-ka, 2017



jest wielkim ryzykiem, a pozostanie w domu nie gwarantuje bezpieczeństwa.

W zasadzie niemożliwe było przedostanie się do tego miejsca odciętego od świata. Dziennikarzowi BBC udało się jednak trzy lata temu nawiązać kontakt z jednym z mężczyzn należących do tamtejszej grupy działaczy opozycyjnych. „Samir” – to jego pseudonim nadany ze względów bezpieczeństwa – zdecydował się podjąć ogromne ryzyko: zaczął prowadzić dziennik. Jego zapiski z 2014 roku szyfrowanymi esemesami przesyłano do jakiegoś kraju, żeby następnie przekazać je do BBC. To są wstrząsające opisy nie

tylko okrucieństwa i bezwzględności bojowników Państwa Islamskiego, lecz także trudów codziennego funkcjonowania w Rakce. Najbardziej wymowne są spostrzeżenia autora na temat tego, jak od lat Syryjczycy pragną choćby namiastki normalności, a sytuacja w kraju staje się coraz bardziej dramatyczna. „Samir” pokazuje też skomplikowane relacje między różnymi ugrupowaniami walczącymi na tamtejszym terytorium.

Niezwykłe emocjonujący jest osobisty wątek pamiętnika młodego mężczyzny, odartego z marzeń i nadziei na lepszą przyszłość. Nie ma on szans ani na lepsze wykształce-

nie, ani na godziwą pracę. Traci bliskich, przyjaciół i ukochaną. Nie może już patrzeć matce w oczy, bo widzi w nich lęk o jego przyszłość. Nie rozmawia z ludźmi, bo każdy może być donosicielem. Nie chce wychodzić na ulicę, bo najlepsze, co może go tam spotkać, to widok zamordowanego przyjaciela. W tym brutalnym, odczłowieczonym świecie spotyka jednak coś niewiarygodnego – ludzki gest. To daje mu siłę, żeby zawalczyć o siebie, żeby uciec z tego piekła... Tylko dokąd? ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Samir, „Zapiski z Rakki”, Insignis, 2017.

KSIĄŻKA

Serce i miecz Joanny d'Arc

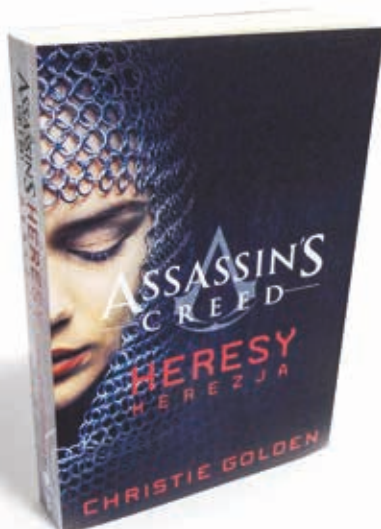
Cicha wojna asasynów i templariuszy trwa, choć do ostatecznej bitwy jeszcze daleko.

Kolejna powieść z cyklu Assassin's Creed i kolejny skok w historię tajemniczych artefaktów i odwiecznej walki asasynów i templariuszy. Tym razem bohaterem jest Simon Hathaway, historyk i członek Wewnętrznego Sanktuarium Zakonu Templariuszy, nowy dyrektor Działu Badań Historycznych Abstergo. Jednym z jego pierwszych projektów po objęciu stanowiska jest próba zbadania historii jednego z artefaktów – miecza Joanny d'Arc. Podłączony do Animusa, maszyny skonstruowanej do odczytywania genetycznej pamięci człowieka, dzięki wspomnieniom swego przodka Gabriela Laxarta wyrusza w podróż życia – do piętnastowiecznej Francji. Jako Laxart, wierny towarzysz Dziewicy Orleańskiej, staje się świadkiem twardych politycznych rozgrywek o francuski tron i wielkich historycznych bitew. Jako Hathaway, we współczesnych sobie czasach, musi stawić czoło tym, którzy chcą przeszkodzić mu w badaniach. Oddzielone kilkoma wiekami wydarzenia, pozornie niezwiązane ze sobą, w rzeczywistości stanowią jeden wzór, którego głównym elementem jest Simon.

Niejednokrotnie pisałam już, że Christie Golden to sprawdzony rzemieślnik literatury fantastycznej. Dowiodła znajomości swego rzemiosła jako autorka książek z innych cykli

przypisanych do świata gier komputerowych, m.in. z uniwersum Warcrafta czy Starcrafta. Również „Assassin's Creed. Herezja” jest tego doskonałym przykładem. **Golden pociągnęła oś powieści według sprawdzonego przepisu.** Trochę historii, trochę science fiction, szczypta sensacji i tajemnicy. Do tego charmatyczni bohaterowie i elementy fabuły wyjęte z jednej z najsłynniejszych gier wszech czasów. Wzór ten jest odtwarzany niemal w każdej części serii (dla porządku warto przypomnieć, że autorem poprzednich wydanych w Polsce był Oliver Bowden) i może się wydawać nudny. Może, ale nie musi, bo „Herezja” trzyma poziom i z pewnością znajdzie uznanie wśród fanów Assassin's Creed.

JOANNA ROCHOWICZ
Christie Golden, „Assassin's Creed.
Herezja”, Insignis, 2017



KSIĄŻKA

Oczami dzieci

Powstanie Warszawskie zaskoczyło je, gdy były w najpiękniejszym okresie życia.

Powinny być beztroskie, bezpieczne w otoczeniu kochających najbliższych. Tymczasem w wyniku walk i na skutek bezwzględności niemieckiego okupanta zostały zepchnięte do piwnic pełnych szczurów, bez wody, pożywienia, przepełnione obezwładniającym strachem. Widok rodzinnych domów zamienionych w gruzy na zawsze pozostał im pod powiekami. Kilkuletnie dzieci oderwane od rodziców, jeśli nie zabijane, to pozostawiane same sobie w rzeczywi-

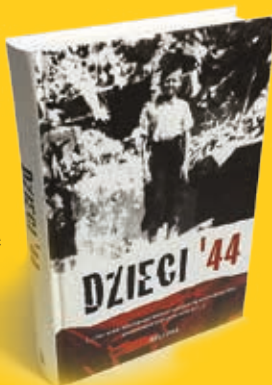
KSIĄŻKA

Ząb za ząb

Jeśli stosujesz wobec kogoś siłę, bądź przygotowany na to, że kiedyś odpłaci ci tym samym.

Seria „Uniwersum Metro 2033”, którą zapoczątkowała w 2005 roku powieść Dmitry'ego Glukhovskiego, przez kilkanaście lat rozrosła się do całkiem pokaźnych rozmiarów. Dziś pod tym szyldem wydano już kilkadziesiąt tytułów autorów z całego niemal świata. Jeden z nich, Denis Szabałow, jest bez wątpienia wielkim odkryciem projektu Glukhovskiego. Postapokaliptyczna trylogia, której bohate-

stości, która nie pozwalała na funkcjonowanie nawet dorosłym. Lektura ich wspomnień z okresu powstania nie jest łatwa, ale bezsprzecznie prowadzi do wniosku, że te dzieci wykazywały się niewyobrażalną odwagą, mądrością i odpornością. Z takim bagażem doświadczeń i zapamiętanymi obrazami życie może się wydawać później nieznośne, a jednak młodzież i kilkuletnie wtedy maluchy wyniosły z powstania siłę, która bije z ich opowieści. „Nastrój tamtego dnia i następnych to była euforia i radość. Gdy myślę o tamtych pierwszych dniach Powstania, przypominają mi się słowa piosenki: »To były piękne dni...«. Tak, to były piękne dni i chyba nawet słońce radośniej świeciło”, ta-



kie było spojrzenie na Powstanie siedmioletniego wówczas Jerzego Mireckiego, jednocześnie współautora i koordynatora projektu publikacji „Dzieci '44”.

Wspomnienia z dzieciństwa zostały przekazane przez małych i dużych bohaterów powstańczej Warszawy dla uczczenia pamięci wszystkich dzieci, które poległy w Powstaniu i niewoli niemieckiej.

Drugim założeniem tego pięknego projektu, jak podkreśla współautor, jest podzielenie się tymi wspomnieniami ze wszystkimi powstańczymi dziećmi, a także ich krewnymi, scalenie ich, uratowanie od zapomnienia. To na pewno się uda, bo takiej lektury nie da się zapomnieć. Obrazy widziane oczami dziecka pozostaną z czytelnikiem na zawsze. ■

IZABELA BORAŃSKA-CHMIELEWSKA

„Dzieci '44”, opracowanie Jerzy Mirecki, Bellona, 2017

MUZEUM

Pamięć o Cudzie nad Wisłą

Muzeum Bitwy Warszawskiej 1920 roku ma powstać w podwarszawskim Ossowie. Dokładnie tam, gdzie 14 sierpnia 1920 roku rozegrały się jedne z najważniejszych momentów Bitwy Warszawskiej. Polacy pokonali bolszewików, którzy zostali zmuszeni do wycofania się. Starcie poprzedziły tzw. Cud nad Wisłą i ostateczne zwycięstwo w wojnie polsko-bolszewickiej. Mające powstać muzeum będzie filią Muzeum Wojska Polskiego. Prace przygotowawcze, budowa oraz ekspozycja zostaną sfinansowane przez Ministerstwo Obrony Narodowej. ■



rem jest młody stalker Daniła Dobrynin, to literacki debiut zaliczany do najciekawszych części serii.

W wyniku katastrofy nuklearnej duża grupa ludzi jest zmuszona do życia w Schronie. Tam tworzą na nowo swój mikroświat, ustalają nowe prawa i hierarchię wartości. I właśnie tam przychodzi na świat Daniła. W dwóch pierwszych częściach trylogii poznajemy jego dzieciństwo, młodość i przygody, które przeżywa podczas wypraw z oddziałem stalkerów. W trzeciej części, „Prawo do zemsty”, Daniła wraca po długiej nieobecności do Schronu. Okazuje się jednak, że w czasie jego nieobecności świat, w którym dorastał, przestał istnieć, a jego mieszkańcy zostali zamordowani lub wywiezieni w nieznanym

kierunku. Wraz z grupą ocalałych żołnierzy Dobrynin wyrusza na kolejną wyprawę, tym razem po to, aby pomścić bliskich.

Trzeba przyznać, że bohaterowie Szabałowa są jednowymiarowi. To twardzi żołnierze, którzy kierują się prostymi zasadami. Pierwsza to prawo do życia. Druga, najczęściej stosowana, to prawo do użycia siły. Teraz przyswoili sobie jeszcze trzecią – prawo do zemsty. Jeżeli nawet mają dylematy moralne, to nie poświęcają im wiele uwagi. Najważniejsze, jak mówi Daniła, to spojrzeć wrogowi w jego gasnące oczy. Na bycie dobrym przyjdzie czas później. Wydawałoby się, że w kolejnych częściach, w miarę rozwoju fabuły, bohaterowie dojrzeją, zmieni się też narracja autora. Jednak nie. „Prawo

do zemsty” to wciąż postapokaliptyczna wersja wielkiej przygody

w stylu Jacka Londona, którym jako dziecko zachwycił się Daniła. Z drugiej zaś strony to twarda literatura, z dosadnym językiem i wartką akcją, w środku której są duzi chłopcy i magazyny pełne broni. Mimo tej strukturalnej prostoty nie sposób jednak nie poddać się urokowi powieści Szabałowa. W końcu to książki dla wojowników, nie dla filozofów. ■

JOANNA ROCHOWICZ

Denis Szabałow, „Prawo do zemsty”, Insignis, 2017.



ANDRZEJ
FĄFARA

Interpretacje



Z historią można robić niestworzone rzeczy, co udowodnił niedawno pewien rosyjski portal, anektując bez żenady bitwę pod Grunwaldem. Według informacji tam zamieszczonej, triumf nad zakonem krzyżackim odniosły latem 1410 roku wojska rosyjskie. „To pamiętna data w wojennej historii Rosji”, można przeczytać na tym portalu. Polacy, Litwini i Czesi występują w tej kuriozalnej notce jako sojusznicy zwycięzców. Szlachetny gest ze strony tegoż portalu, trzeba przyznać.

Rosjanie argumentują, że główny napór Krzyżaków w grunwaldzkiej bitwie wzięły na siebie pułki smoleńskie. Nie dodają, że były tylko trzy takie pułki na 50 wszystkich uczestniczących w walce. I że, owszem, dziś Smoleńsk znajduje się w granicach Federacji Rosyjskiej, ale wtedy stanowił część Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Sprawa jest szyta niemi grubymi. I wcale nie nowa. Czytałem kiedyś wypowiedź pani profesor z Litwy, która wspominała lekcje historii w czasach Związku Radzieckiego. Przyznała, że w ówczesnych podręcznikach często podkreślano obecność Rosjan na polach grunwaldzkich. Tylko tyle. O przypisywaniu sobie zwycięstwa nie było wtedy mowy. Pewnie dlatego, że oficjalnie obowiązywała przyjaźń polsko-radziecka, która na skutek ewentualnego przywłaszczenia grunwaldzkiej wiktoryi mogła zostać poważnie osłabiona.

Dziś przyjaźni już nie ma, a zatem można robić z historią, co się chce. Mieszkańcy Rosji nie muszą znać dokładnie okoliczności dotyczących bitwy pod Grunwaldem, więc spora liczba osób weźmie wspomniane rewelacje za dobrą monetę. Pół miliona ludzi, może milion. Portal jest mały, ale kraj ogromny.

Należy od razu dodać, że rozmaite, często naciągane interpretacje faktów historycznych to działalność dość popularna. Mnie zaciekawiła kiedyś od tej właśnie strony bitwa pod Orszą, a ściślej mówiąc – jedna z bitew pod Orszą, bo w sumie były trzy. We wrześniu 1514 roku wojska polsko-litewskie pobiły dwukrotnie liczniejszą armię Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. To jest ogólny konkret, co do którego nie ma raczej wątpliwości. Ale są jeszcze szczegóły, które można poddać interpretacji.

Niepodległa Białoruś w pewnym momencie uznała dzień bitwy pod Orszą za święto swojej armii. Nie trwało to długo, bo władzę objął Aleksander Łukaszenko, który doszedł do wniosku, że bitwa nie zasługuje na takie upamiętnienie. Święto armijne zostało przeniesione z września na kwiecień. Z kolei Litwa trzy lata temu, czyli w 500. rocznicę, świętowała Rok Bitwy pod Orszą. W Polsce orszańska wiktoria jest może mniej celebrowana, ale na Grobie Nieznanego Żołnierza widnieje stosowny napis. O bitwie przypomina też wspaniały obraz znajdujący się w Muzeum Narodowym.

Co ciekawe, rosyjski portal historyczny, który tak ochoczo przejął bitwę pod Grunwaldem, Orszy jakoś nie chce.





Wojskowe Zakłady Lotnicze Nr 4 S.A.

ul. Księcia Bolesława 1/3, 01-452 Warszawa, Polska

tel. +48 22 532 43 01, fax +48 22 532 43 04

www.wzl4.mil.pl, biuro@wzl4.mil.pl





MUZEUM WOJSK LĄDOWYCH w Bydgoszczy

ul. Czerkaska 2, 85-641 Bydgoszcz
tel. 261 41-20-26, fax 261 41-23-31

www.muzeumwl.pl

Znajdź nas na Facebooku 

Oddział w Toruniu

ul. Sobieskiego 24-28, 87-100 Toruń

tel. 261 43-24-66

fax 261 43-24-65

Oddział we Wrocławiu

ul. Obornicka 108, 50-961 Wrocław

tel. 261 65-74-23, 261 65-74-24

